

AGNIESZKA RUSIN

POZA CZASEM



LYA

AGNIESZKA RUSIN



LYA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

CZĘŚĆ I

Rozdział I. *Irlandia, Portrush, współcześnie*

CZĘŚĆ II

Rozdział II. *Londyn, początek XX wieku*

Rozdział III. *Irlandia, Portrush, współcześnie*

Rozdział IV. *Londyn, początek XX wieku*

CZĘŚĆ III

Rozdział V. *Irlandia, Portrush, współcześnie*

Rozdział VI. *Londyn, początek XX wieku*

Rozdział VII. *Irlandia, Portrush, współcześnie*

Rozdział VIII. *Londyn, początek XX wieku*

Rozdział IX. *Portrush, Irlandia, współcześnie*

Rozdział X. *Londyn, początek XX wieku*

Rozdział XI. *Irlandia, Portrush, współcześnie*

Redaktor prowadząca: Agata Tondera
Korekta: Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska, Agnieszka Muzyk, Sylwia Chojecka
Projekt okładki: Kamil Pruszyński
Skład: Andrea Smolarz
Ozdobniki w tekście: Artco, dhtgip / Shutterstock.com

© Copyright for text by Agnieszka Rusin, 2022
© Copyright by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2022
All rights reserved

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8240-945-1

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51
kontakt@books4ya.pl
www.books4ya.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Pisanie książki jest wielką przygodą.
Mam nadzieję, że taką przygodą okaże się dla Ciebie ta historia.
Wierzę w to, że możemy przeżyć coś niesamowitego,
jeśli tylko się na to odważymy.*



CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ I

Irlandia, Portrush, współcześnie

Amanda z niepokojem spoglądała przez okno jadącego pociągu. Portrush jawiło się jej jako niepewna przyszłość. Zresztą sam fakt, że zamieszka w obcym kraju, powodował u niej bóle brzucha. A Irlandia Północna kojarzyła jej się jedynie ze słowami piosenki Kobranocki: *Kocham Cię jak Irlandię*. Amanda wiedziała, że ten kraj jest zielony, dziki i wietrzny. A ona kochała to, co dotąd znała: swój pokój w domu otoczonym świerkami i pasmem gór. Teraz obraz ten powoli stawał się wspomnieniem. Ze słuchawkami na uszach, zatopiona w przebojach Rihanny, pozostawała obojętna na piękne widoki mijane po drodze. Przyłot do Belfastu był dla niej wielkim wydarzeniem. Pierwszy w życiu lot, i to w nieznane. Wolałaby słoneczne Włochy lub Grecję pachnącą oliwkami. Jednak... Życie nie pozostawiło jej wyboru. Dobrze znała angielski, więc pod względem komunikacyjnym nie przewidywała kłopotów. Jednak cała reszta budziła w niej przerażenie i niepokój. Jak się tu odnajdzie? Jak zdoła żyć w kraju, w którym latem maksymalna temperatura powietrza nie przekracza siedemnastu stopni? I do tego często pada... Na myśl o tym Amanda wzdrygnęła się, z trudem powstrzymując łzy. Cierpiała. Tęskniła. Bardzo się bała. W dodatku opuściła Polskę ze złamanym sercem, głęboko przekonana o tym, że miłość to banały i mrzonki. A byle koleżanka może zwinąć jej sprzed nosa chłopaka.

Po dobrej godzinie dotarli na miejsce. Mimo że był czerwiec, Amanda poczuła się, jakby panowała tu wczesna wiosna. Było chłodno, a wszystko wydawało się nie takie, jak dotąd znała. Nawet zapach powietrza był dziki, morski...

Portruch ku jej zaskoczeniu okazało się miejscem uroczym – i mimo całej niechęci Amanda musiała to przyznać.

– Jesteśmy na miejscu. – Jej tata, Mirek, wyglądał na zadowolonego. Do pracy tutaj ściągnął go jego znajomy, Tadek.

Mama Amandy, Kasia, sprawiała wrażenie zmęczonej. Lot samolotem i niepewność, czy słusznie postępują, mocno odbiły się na jej delikatnej twarzy. Mimo to starała się nie tracić rezonu:

– To piękne miejsce, może jego urok sprawi, że uda się nam tu zadomowić?

Amanda miała ochotę powiedzieć swoje, ale się powstrzymała. Rodzice wyrwali ją z dotychczasowego spokojnego życia. Życia, które kochała i w którym czuła się bezpiecznie. Niestety szybko się poddali, zostawiając za sobą przeszłość. Oboje stracili pracę. Zabrakło pieniędzy na spłatę kredytu na dom. Wszystko stracili, ale nie siebie. I wtedy zapadła decyzja. Tadek załatwił im w kamienicy na trzecim piętrze mieszkanie, z którego rozpościerał się bajkowy widok na poszarpane klify otaczające ocean. Amandzie przypadł w udziale malutki pokoik. Z jego okna mogła podziwiać widoki jak z pocztówki. I to było w tym najpiękniejsze. Gdy spoglądała przez okno, cały żal i strach mijały, choć nie na długo. Nie przywiozła ze sobą wielu rzeczy. Za to mnóstwo swetrów. Wyjęła z walizki telefon i tablet. Niestety nikt z przyjaciół do niej nie napisał.

– Wspaniale... „Napiszemy, będziemy o tobie pamiętać” – przedrzeźniała ich na głos, choć tak naprawdę czuła się zawiedziona. – Zostałam totalnie sama. – Po jej bladej twarzy spłynęły łzy.

Od dawna nic nie układało się po jej myśli. A złamane serce wciąż bolało. Pamiętała niedawne pierwsze pocałunki... Jego ciepły oddech... I to, co obiecywał... I jak się zachował, gdy wyznała, że jeszcze nigdy w życiu tego nie robiła...

„A bądź sobie z nią!”, pomyślała i zacisnęła pięść. Cwana Ewka świetnie znała swoje atuty. I wykorzystała je, gdy nadarzyła się okazja.

„Niech was szlag trafi...”, stwierdziła w końcu, zagryzając boleśnie wargę. Wciąż czuła upokorzenie i niemal fizyczny ból, który próbował ją

złamać.

– Amando, idziemy się przejść i coś zjeść. – Mama, już nieco pogodniejsza, nagle pojawiła się w drzwiach.

– Ja zostaję, chcę odpocząć. Nie mam na nic ochoty.

– Musisz coś zjeść, poza tym spotkamy się z kolegą taty. Tadeusz ma syna i córkę w twoim wieku. No więc jak? Dobrze by było, gdybyś tu kogoś poznała. Jesteś ostatnio taka przybita. Czuję, że nie mówisz mi o wszystkim...

Amanda usiadła na łóżku. Milczała, spoglądając przez okno gdzieś w dal.

– To nic, naprawdę. Masz rację, powinnam wyjść do ludzi. – Pokiwała głową. – Włożę tylko inne spodnie – odparła, nie chcąc zawieść mamy.

– Cudownie, w takim razie czekamy na ciebie na dole. Czuję, że tutaj wszystko się nam ułoży. Wyglądałaś za okno? Jak tu pięknie!

– Tak, nawet bardzo... Ale co ja będę tu robić? – Twarz Amandy posmutniała.

– Jak to co? Przecież kochasz fotografować i malować. Możesz prowadzić blog, pokazać wszystkim, jak tu jest niezwykle. Będziesz się dalej uczyła angielskiego. Po wakacjach zaczniesz szkołę.

– Może masz rację. Chcę malować...

– Więc maluj, rób, co chcesz, ale nie zapominaj o tym, że prawdziwe życie toczy się wokół ciebie. Nie w telefonie czy laptopie. I nie jesteś sama... A może chodzi o chłopaka? Skrzywdził cię?

– Mamo, błagam...

– Martwię się... – Mama pogłaskała ją po głowie.

– To przestań. – Amanda zupełnie nie miała ochoty na zwierzenia. Przegryzała ból samotnie, jakby się go wstydziła.

Mimo że Amanda skończyła osiemnaście lat, ten czuły dotyk sprawił jej przyjemność. I przez moment wydawało się jej, że mama świetnie wie, co się ostatnio wydarzyło.

– Musisz iść do przodu. Nie możesz się załamywać. Jesteś bardzo wrażliwa, ale też silna. Znam cię, bo jesteś moją Amandą...

– Masz rację, mamó. Czas zacząć robić coś sensownego. Kupię sztalugę i farby. Spróbuję znowu malować.

– Dobrze, moja artystko. Odegnaj złe myśli i złych ludzi. A teraz przebieraj się. Idziemy poznać okolicę i coś zjeść. Umieramy z ojcem z głodu.

Amanda wyjęła z walizki jasne džinsy. Wciągnęła je na siebie i spojrzała w wiszące nad biurkiem lustro. Długie, proste włosy w kolorze słońca i delikatne piegi rozsypane na nosie nadawały jej uroku. Amanda włożyła na głowę mały, słomiany kapelusz i wyszła z pokoju.



Portrush urzekło swym niepowtarzalnym wdziękiem, było otoczone wodą i klifami. Natura nie poskąpiła temu miejscu dzikości ani piękna. Amanda czuła się tu jak na obcej, niezwykłej planecie.

Rodzina Janasów podążała deptakiem wzdłuż portu. To tutaj mieli spotkać kolegę ojca, Tadek Domańskiego. I wtedy się pojawili. Domański z żoną, a także wysoki, szczupły blondyn i zgrabna, śliczna blondynka.

– Jak się cieszę, że jednak się zdecydowaliście. Czekaliśmy, aż przyjedziecie. Mieszkanie wam odpowiada? – Tadek klepał Mirka Janasa po plecach.

– Tak, trzeba było w końcu coś postanowić. Dziękujemy. Teraz się upewniamy, że to była dobra decyzja. Nie sądziłem, że Portrush będzie aż tak ładne.

– Tak, Irlandia jest niezwykła. I mało tu mieszkańców, nie licząc turystów. A to pewnie wasza córka. – Tadek spojrzał na Amandę. – Ładna dziewczyna, podobna do mamy. – Był uprzejmy i dość gadatliwy. Wraz z żoną i dziećmi wyjechał z Polski ponad osiem lat temu.

– Tak, to nasza Amanda. A twoje dzieci jak wyrosły!

– Jessica i Igor. Nasza duma. Amando, jesteście z Jessicą w podobnym wieku. Tylko Igor ma już dwadzieścia lat – zauważyła ich mama, równie wysoka, co wysportowana.

Amanda nabrała otuchy, zauważając uśmiech dziewczyny, choć imię Jessica wydało jej się przesadzone. Igor natomiast przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Amandę to peszyło. Uznała, że jest wścibski i nachalny, a nawet zbyt pewny siebie. Spojrzała więc z obojętną miną w bok, udając, że słucha zachwyków rodziców.

– Musicie koniecznie poznać okolicę. Wszystko wam pokażemy. Portrush jest bardzo malownicze. Zobaczycie, co się będzie działo w Halloween. I te klify przy plaży... – Maria, żona Tadeusza, pałała entuzjazmem. Nawet Janasom się to udzieliło.

– Ja jej wszystko pokażę. – Igor nagle przemówił, strzelając do Amandy wzrokiem. – Zaprowadzę cię na najpiękniejszą plażę, White Rocks. Jest szeroka, piaszczysta, w czasie sztormu po prostu bajkowa.

– I te skały z ogromnymi jaskiniami – wtrąciła Jessica – musisz to po prostu zobaczyć. Są niesamowite. Można się w nich nieźle schować.

– Dzięki. Może się tam wybiorę... – odparła bez większego entuzjazmu.

– Oczywiście, że pójdzie z wami, prawda, Amando? – Mama zawsze musiała wtrącić swoje.

Amanda zrobiła grymas, który miał wyrażać uśmiech i aprobatę.

– Wybaczcie. Jestem zmęczona, chyba już wrócę do pokoju. Możemy jutro pójść na plażę, jeśli się zgodzisz. – Amanda spojrzała na Jessicę z nadzieją. Dziewczyna miała równie długie włosy, co ona, lecz ciemniejsze. Cienkie warkoczyki dodawały jej uroku i charakteru. Na jej dłoni Amanda dostrzegła mały tatuaż: *I love surfing, I catch the moment*.

– Jasne. Bywam tam prawie codziennie i chętnie cię zabiorę.

– Fajnie.

Amanda przytaknęła. Dziewczyna wydawała jej się miła. Biła od niej siła, której Amanda teraz tak bardzo potrzebowała. Igor natomiast milczał. Kiedy na niego spoglądała, za każdym razem napotykała przenikliwe

spojrzenie, wyrażające ciekawość i podejrzliwość. Było to męczące i kłopotliwe. Jakby w niewidoczny sposób przekraczał jej granice. W końcu Amanda pożegnała się i ruszyła w stronę mieszkania. Wyraźnie odetchnęła, gdy się już oddaliła od Domańskich. Gadatliwy ojciec i wścibski syn. Jedynie Jessica wzbudzała jej sympatię.

Ulica, którą szła, zaczęła się nagle dziwnie zwężać. Cichy port, w którym cumowały jachty i żagłówki, przyciągał swym urokiem. Jednak tutaj najbardziej urzekały Amandę klify. Spojrzała za siebie. Rodzice wciąż dyskutowali z Domańskimi. Igor chyba instynktownie wyczuł jej wzrok, bo odwrócił się i jej pomachał. Amanda poczuła się nieswojo. Jest w nas coś takiego, na co nie mamy wpływu. Niektórzy ludzie przypadają nam do gustu, inni przeciwnie. Z Igorem tak właśnie było, choć kierowało nią zaledwie przeczucie. Postanowiła nie wracać jeszcze do domu. Chciała podejść bliżej klifu. Przeszła spory kawał drogi, zmierzając w kierunku plaży White Rocks. Coś ją do niej przyciągało, nie pozwalając zawrócić. Niebo nagle pociemniało, przywołując szare chmury. Amanda obserwowała, jak pierwsze krople deszczu ciemnymi kropeczkami zdobią chodnik tuż przed jej stopami. Po chwili jednak rozpadało się na dobre. Dziewczyna przyspieszyła, nie lubiła moknąć. O tej porze roku w Polsce leżałaby na plaży i prażyła się w słońcu. Przypuszczalnie. Choć to też nie było pewne.

„Nigdy się nie przyzwyczaję do tego miejsca”. Poczowała złość i rozczarowanie kapryśną pogodą.

Wiatr zaczął przybierać na sile. I wtedy go zobaczyła. Stał na brzegu klifu i wpatrywał się w dal. Amanda aż przystanęła. Wysoka sylwetka młodego mężczyzny przyciągnęła jej uwagę. Miał na sobie długi płaszcz, a jego ciemne, półdługie włosy falowały wraz z porywami wiatru. Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, czy nie skoczyć w otchłań oceanu.

– Co on wyprawia? – Zaintrygowana podeszła do balustrady. Poczowała dziwny niepokój o nieznanomego. I wydawało się jej, że tylko ona go zauważyła. Amanda uznała, że to zapewne jakiś dziwak. Młody szaleniec

albo poeta szukający natchnienia. Obserwowała go jeszcze chwilę w cichym zachwycie.

Do wiatru dołączył deszcz. W końcu ruszyła w stronę domu. Z nosa i czoła skapywały jej krople deszczu. Wszystko wydawało się tu inne, nawet ten chłopak na klifie. Jakby na coś czekający... Kojarzył jej się z romantyczną postacią literacką, równie tajemniczą, co urzekającą. Deszcz niesiony wiatrem uderzył w Amandę całą siłą. Miała wielką ochotę zakląć. Przemoczona do suchej nitki pomyślała, że z klifu musi rozpościerać się piękny widok na okolicę. Sama by się na niego wdrapała, gdyby nie ta dziadowska pogoda. Zaintrygowana spojrzała ponownie w stronę oceanu, lecz chłopaka na klifie już nie było. Jakby rozmył się we mgle. Nie zdążyła zobaczyć, czy nieznajomy skoczył do wody, czy po prostu odszedł. Wpatrywała się jeszcze przez chwilę w tamto miejsce, lecz dostrzegła tylko silne fale uderzające o skały.

„Gdzie zniknąłeś?” Zmrużyła oczy z niedowierzaniem.

– Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do tego miejsca – wycedziła przez zęby i zawiedziona pobiegła do domu.

Kiedy wpadła do mieszkania, rzuciła z siebie mokre ubranie i wskoczyła pod ciepły prysznic. Potem zaczęła się zastanawiać nad zakupem sztalugi i farb. Zapragnęła znowu malować, uwielbiała tak spędzać wolny czas. Tworząc.

Nazajutrz udała się na Ramore Ave, by popytać o sklep malarski. Niestety, w sklepie papierniczym, jedynym w okolicy, kazano jej zamówić wszystko, czego potrzebuje, online. Amanda nie była z tego powodu zadowolona. Tym bardziej że czas oczekiwania na zamówienie z Londonderry wynosił dwa tygodnie. Tutaj życie wyglądało inaczej, wolniej, i musiała się do tego przyzwyczaić.

Dni w Portrush upływały wolno. Rodzice Amandy zaczęli pracę w Portrush Atlantic Hotel. Pracowali na zmiany, po dziesięć godzin dziennie. Dziewczyna spędzała więc sporo czasu sama. Jednak się nie nudziła. W dodatku Igor nie odstępował jej na krok, choć wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że woli towarzystwo jego siostry. Odwiedzał ją często

pod byle pretekstem. Amanda, chcąc nie chcąc, próbowała go zaakceptować.

– Dlaczego ciągle tu przesiadujesz? To niezdrowo nie wychodzić na spacer. Unikasz mnie? – Siedział na kanapie naprzeciwko niej. Igor należał do upartych chłopaków, w dodatku takich, którym się wydawało, że wszystko wiedzą najlepiej.

– Posłuchaj. Nie możesz do mnie przychodzić, kiedy ci się spodoba. Potrzebuję dużo czasu dla siebie. Maluję i fotografuję. Poza tym jestem typem introwertyczki, więc nie myśl, że nagle stanę się duszą towarzystwa. Raczej się już nie zmienię.

– Wcale tak nie myślę. Uwielbiam twoją nieśmiałość. Pisziesz książkę, że tak się tu zamykasz?

– Mówił ci już ktoś, że jesteś wścibski? – Amanda obrzuciła go wściekłym spojrzeniem. Igor był nieźle zbudowany, atrakcyjny i pewnie podobał się wielu Irlandkom. Ale nie jej. Podobnie jak jego końskie zaloty.

– Kiedy się złościsz, jesteś jeszcze ładniejsza. – Pokazał w uśmiechu białe zęby. – Może pobiegamy razem?

– Nie, nie pobiegamy. Jestem zajęta.

– W takim razie przyjdę po ciebie po południu. Szesnasta może być? Pobiegniemy w stronę klifu.

Amanda już miała odmówić, jednak bardzo chciała zobaczyć z bliska tutejsze klify. Intrygowały ją. Budziły podziw i respekt.

– Niech ci będzie. Tylko nie myśl, że mnie prześcigniesz.

– Nie myślę tak. Więc się zgadzasz?

– Chcę zobaczyć te klify. Tylko ze względu na nie się zgadzam.

– Naprawdę? – Igor wydawał się rozczarowany, jednak nie rezygnował.

– Nie ciągnij mnie za język, bo to nic nie da. Za chwilę mogę się rozmyślić.

– Nie możesz, jesteśmy już umówieni – odparł, po czym z zadowoloną miną zniknął za drzwiami.

Amanda pokiwała tylko głową. Gdyby to Rafał za nią tak biegał, kiedy jeszcze mieszkała w Przesiece. Na tę myśl posmutniała, a po chwili pożałowała wspomnienia o nim. Dość! Porzucił ją, a nazajutrz zaczął chodzić z jej koleżanką z klasy. To paskudne uczucie. Upokorzenie nie chciało z niej wyparować. No ale czy wspomnienia można tak po prostu wymazać? Tym bardziej złe? Od kiedy tu przyjechała, tylko jedna koleżanka z klasy maturalnej, Gosia, pamiętała o niej i czasem przesyłała zdjęcia i pozdrowienia. Amanda zaczynała powoli zamykać za sobą tamten rozdział życia, a przyjazd do Portrush traktować jak wybawienie.



Po południu Igor podjechał po Amandę punktualnie co do minuty.

– Mieliśmy pobiegać, po co nam samochód? – Patrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Musimy tam podjechać, to kawałek stąd. Chyba że nie biegniemy na klify.

– Biegniemy. Jasne. Myślałam, że to niedaleko. Chyba że się boisz, że mi nie dorównasz.

– Ja? Nigdy! Ale lepiej kawałek podjedźmy. – Mrugnął do niej.

Amanda przewróciła oczami.

– Tylko niech ci nie przyjdą do głowy głupie pomysły.

– Jakie na przykład? – Przyglądał się jej, zapinając pasy. Amanda powoli ogarniała to, że siedziała po lewej stronie, a on po prawej.

– Jesteś leworęczny?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Pewnie się zastanawiasz, jak mogę lewą ręką zmieniać biegi? To automatyczna skrzynia.

– Ale jedziemy po drugiej stronie jezdni.

– Tak, tutaj się tak właśnie jeździ. Przyzwyczaisz się.

– Dziwnie tutaj jest. Na razie staram się przystosować. Wierz mi. Los rzucił mnie tutaj bez pytania. Więc staram się, jak mogę, by nie oszaleć. Odnaleźć się... no i jakoś żyć.

– Pewnie zostawiłaś tam chłopaka, co? W Polsce... – Igor spojrział na nią z uwagą.

– Przeciwnie. To on mnie zostawił. Daleko jeszcze? – Amanda skierowała wzrok na rozlewający się na lewo ocean.

– Ja nigdy nie zostawiłbym takiej dziewczyny jak ty.

– Łatwo mówić takie słowa. To nie była wielka miłość. I raczej była krótka. Ale... straciłam serce do tych spraw.

– Proszę, tylko przez to jedno niepowodzenie nie skreślaj mnie od razu.

Amanda czuła na sobie jego spojrzenie, od którego zaczynało jej się robić ciepło.

– Lubię cię, jesteś dobrym kolegą. Niech tak pozostanie, okej?

– Na razie się na to zgadzam. – Igor nieoczekiwanie ścisnął jej dłoń, lecz Amanda ją cofnęła.

– Chyba dojeżdżamy – zmieniła temat.

Zatrzymali się na parkingu. Igor nagle spoważniał. Jego wysiłki, by Amanda zwróciła na niego uwagę, na razie nie przynosiły efektów. W dodatku znowu zaczęło padać.

– Cóż, niech tak będzie... – westchnął. – Oto nasze klify na White Rocks. Zabrałaś coś przeciwdeszczowego?

– Nie, ale co mi może zrobić letni deszcz? Widziałam już ten klif, ale z daleka. Jest piękny. I wydawało mi się, że ktoś na nim stał i rozważał, czy skoczyć do oceanu.

– Samobójców i dziwaków tu nie brakuje, zresztą jak wszędzie – skwitował.

Tymczasem słońce raz rozświetlało okolice, a raz tonęło w szarzyźnie chmur. Po chwili jednak całkowicie się wypogodziło.

– No i proszę. Idealna pogoda na bieganie. I kto tu mówi o deszczu? – przekomarzała się Amanda.

– Tutaj aura jest bardziej zmienna niż kobieta. Sama się przekonasz. Więc jak, zaczynamy? Ale uprzedzam, momentami będzie ślisko.

– Zaryzykuję. To jak? Ruszamy? Chcę wbiec na ten klif.

– Bywa niebezpieczny. Ale spokojnie, przy mnie nic złego cię nie spotka.

Amanda przemilczała to wyznanie. I zaczęła biec pierwsza. Igor ruszył za nią. Mieli do pokonania spory odcinek, bo na klif prowadziła trasa ubita ze żwiru.

– Jest ogromny, wspaniały... – Amanda zaczesła włosy w kitkę, która teraz poruszała się w takt jej biegu.

– Tutaj jest pełno takich boskich miejsc, w które możemy się udać. Niedaleko są ruiny nawiedzonego Dunluce Castle, pole golfowe, możemy też ponurkować...

– Dzięki, ale raczej umówię się z Jessicą. Zwłaszcza do tego nawiedzonego miejsca. Wiesz, taki babski wypad.

– Znowu dajesz mi kosza – zaśmiał się. – To nic. Poczekam.

– Poczekasz? Igor, już mówiłam, że nie szukam chłopaka. A zmieniając temat, ale jestem głupia. Nie zabrałam telefonu.

– A co? Prowadzisz blog?

– Nie, ale maluję i kocham fotografować. Poza tym taki cud natury zasługuje na uwiecznienie.

– Coraz bardziej mnie zaskakujesz. Serio. – Igor spojrział na nią z uznaniem.

– To nic takiego. Mam pasję jak wiele innych osób. Poza tym za dużo gadasz.

– Okej, zrozumiałem, zamykam się.

– Ciekawe na jak długo. – Amanda uśmiechnęła się pod nosem, nie odrywając wzroku od pobliskich uroków Portrush.

Kiedy w końcu dotarli na szczyt, nie mogła wyjść z podziwu. Widok rozpościerał się na ocean, którego fale rozbijały się o ściany klifu.

– Mamy szczęście, bo nie ma mgły. Jak się czujesz, nie bołą cię nogi?

– Trochę, ale było warto się tu dostać. Teraz już sama będę mogła tu przychodzić.

– Sama? Wystarczy, że powiesz, a cię podrzucę.

– Igor, ale może ja chciałabym czasem przyjść tu sama?

– Jasne.

– Dzięki. Cudownie byłoby tu pomalować w samotności.

– Szkoda, że nie możesz namalować mnie.

– Nie przyjmuję szczególnych zamówień, a to by takie właśnie było. – Zrobiła zabawną minę, po czym dalej wpatrywała się w otchłań oceanu. W końcu zdecydowała się podejść bliżej.

– Musisz być ostrożna! Co roku giną tu ludzie... Ciekawość i nieuwaga mogą kosztować cię zbyt wiele. Nie wchodź na otwartą część klifów. Nigdy.

Amanda lekko pobladła z przerażenia, a Igor, widząc to, dodał:

– Przepraszam, nie chcę cię straszyć.

Dziewczyna tylko odparła:

– Lepiej już wracajmy. Popatrz na niebo. Znowu zaczyna się chmurzyć.

Nad klifem faktycznie zaszło słońce.

– Chyba nadchodzi burza. – Igor chwycił ją za rękę. Zaczęli się wycofywać.

– Czy tutaj zawsze jest tak zmienna pogoda? Jak tu żyć? – zapytała.

– Tak, i nie pocieszę cię, bo tu często pada. – Odparł, puszczając do niej oko. – Ja też czasem marzę o gorącym piasku i morzu.

– Co cię tu tak naprawdę trzyma?

– Co? Tu jest pięknie. Irlandia może jest chłodna i dzika, ale niepowtarzalna. Pokochałem to miejsce i ty też pokochasz.

Amanda z rezygnacją pokiwała głową.

– Przyznaję, jest tu niezwykle, ale nie będę mieszkała w Portrush do końca życia. Jestem tu, bo tak zdecydowali rodzice. A moje życie... kto to wie...

– Życie lubi nas zaskakiwać. Zwłaszcza krzyżować plany wbrew naszej woli.

Amanda wyglądała na zmęczoną. Jej jasne włosy rozwiewał wiatr.

– Długo będziemy stąd schodzić?

– Możemy zbiec, jeśli wolisz.

– Chyba wolę – rzuciła, po czym zaczęła biec. Po chwili się rozpadało. Ale Amanda nie zrezygnowała. Marzyła o ciepłym prysznicu i kakao. W końcu zbiegli na sam dół. Igor odwiózł ją niemal pod drzwi domu.

– Dziękuję za miłą wyprawę. Było fajnie mimo niepogody.

– Do usług. Dokąd mam cię zabrać następnym razem?

– Na razie idę do pokoju. – Uśmiechnęła się do niego. – Trzymaj się.

– Pa – odparł, kiedy już zniknęła w środku. Igor wiedział, że tak łatwo z niej nie zrezygnuje. Była niezwykła. A on miał wobec niej swoje plany.



Kiedy Amanda leżała wieczorem w łóżku, zastanawiała się, co tu właściwie robi. Co robi w miejscu, w którym ciągle pada albo się chmurzy? Tęskniła za słońcem i ciepłym, choć kapryśnym polskim latem. W dodatku koleżanka przesłała jej zdjęcie byłego chłopaka z dziewczyną, dla której ją zostawił.

– Co za dupek – wyszeptała. Przecież to była miłość chwilowa, może tylko zauroczenie, jednak i tak ją to zabolalo. Poczula się jeszcze bardziej samotna, zapomniana, nieszczęśliwa. Czy to kiedyś minie? To straszne, przepełniające ją uczucie? Niespokojne myśli nie pozwalały jej zasnąć. A kiedy w końcu umęczona własnymi lękami przysnęła, śnił jej się tamten chłopak z klifu. Obserwowała go. Nagle noga ześlizgnęła mu się ze skały

i zaczął spadać. A ona nie mogła nic zrobić. Obudziła się przerażona. I rozmyślała o nim do rana.

Kolejne dni upływały Amandzie na urządzaniu pokoju i robieniu szkiców. Wreszcie dotarły zamówione farby i sztaluga – i to sprawiło jej naprawdę wiele radości. Amanda od września miała zacząć wieczorowe studia licencjackie z języka angielskiego. Zawsze bardzo dobrze się uczyła i marzyła o kontynuowaniu nauki. Angielski, malowanie... To było to, co wywoływało uśmiech na jej twarzy.

W piątek rano odwiedziła ją Jessica. Radosna i śliczna.

– Czekałam, aż do mnie wpadniesz. Ale to góra musiała przyjść do Mahometa. Co porabiasz? – zapytała.

– Nic takiego, głównie maluję. Jedyłą zaletą mojego przyjazdu do Portrush są wspaniałe widoki.

– Słyszałam, że wyprawa na klif się udała. Mój brat był zachwycony.

– Igor jest w porządku. Lubię go.

– On ciebie też, bardzo. Dlatego proszę, jeśli nic do niego nie czujesz, nie dawaj mu nadziei. Nie chcę, by znowu cierpiał.

– Nie daję mu nadziei, wręcz przeciwnie. – Amanda uniosła wysoko głowę. – A co? On też źle ulokował swoje uczucia?

– Jak każdy z nas, kiedyś. Samo życie... Dziś zapowiada się słoneczny dzień, dlatego zabieram cię w pewne ekscytujące miejsce... – Jessica promieniała uśmiechem.

– Sama nie wiem, chciałam pomalować.

– A kto ci broni? Możesz malować sobie do końca życia, ale surfing jest tylko jeden.

– Surfing? Ja nigdy nie...

– Domyśliłam się. Dlatego porywam cię nad ocean. Szykuj się, dziś są cudownie wysokie fale i silny wiatr. No co tak patrzysz, ubieraj się!

– Ale w co mam się ubrać? – Amanda wyglądała na zagubioną. Jej życie toczyło się w znacznie wolniejszym tempie.

- Najlepiej w wygodny dres. I zabierz ze sobą strój kąpielowy.
- A po co?
- Po co?! Teraz mieszkasz nad oceanem, dziewczyno!
- No już dobrze, zaraz go poszukam.



W czasie drogi Jessica opowiadała Amandzie o tym, jak cudowną przygodą jest surfing.

- To stąd twój tatuaż? Kochasz surfowanie.
- Od kiedy tu mieszkam, co dnia przychodziłam nad ocean. Urzekł mnie. Aż w końcu któregoś dnia spotkałam grupkę młodych ludzi. Mieli wielkie, kolorowe deski i pasję w oczach. Ja, dziewczyna z Polski, gdzie morze serwuje wysokie fale tylko podczas sztormu, zapragnęłam też tego spróbować. No i dołączyłam do nich. Nauczyłam się surfować, zrobiłam sobie tatuaż, a potem...
- Co?
- Zakochałam się w tym już na całe życie... Nie zrozumiesz mnie, dopóki sama nie spróbujesz.
- Boskie masz te tatuaże, bolało?
- Trochę... Ale bardzo chciałam je mieć. Dzięki nim czuję, że przynależę do czegoś. One dają mi siłę.
- Rozumiem.
- Naprawdę? Igor mnie zbeształ za to, że je sobie zrobiłam. Ale to moje ciało. I nikomu nic do tego.
- Chciałabym mieć w sobie taką siłę i odwagę.
- Masz je. Ale jeszcze się nie ujawniły. Zaufaj mi. Ze mną było podobnie. Byłam niepewna siebie, załęknioma. Bałam się zagadać do ludzi. Ale ocean mnie zmienił.

Dojechały na plażę starym jeepem Domańskich, z deską do surfowania rzuconą na tył, długą na dwa metry. Powietrze przesycone było morską bryzą, a siła uderzeń fal przybierała na mocy. Amanda stała na plaży i chłonęła te niesamowite widoki. Pierwsi chętni wpadali do oceanu na deskach, szukając szczęścia i pomyślnej fali. Jessica pobiegła do przebieralni. Zrzuciła z siebie koszulkę i krótkie spodenki. Miała wysportowaną sylwetkę, a Amanda odniosła wrażenie, że musi być zahartowana, skoro nie jest jej chłodno. Kiedy stanęła przed Amandą, miała na sobie długą piankę surfingową.

– Czy to bardzo trudne? – Amanda poczuła ukłucie zazdrości wywołane beztroską i urodą Jessiki oraz tym, że większość mężczyzn na plaży zerkała właśnie na nią.

– Nie. Sama się przekonasz. Windsurfing też jest boski, ale nie tutaj i nie dziś. Widzisz tego chłopaka? – Jessica nagle oniemiała. Amanda spojrzała na ocean, próbując wyłowić, kogo miała na myśli.

– Mówisz o...?

– Ten na zielonej desce. To Aidan. Jest niesamowity, najlepszy w surfowaniu. Uczy mnie. Rozpływam się, gdy jest blisko. A kiedy na mnie patrzy...

– Widać, że wpadł ci w oko. Faktycznie jest niezły.

– Niezły? Dziewczyno, to pierwsza liga. Niestety nie dla mnie. Ale popatrzeć można, prawda?

– Dlaczego nie dla ciebie?

– Nie zwraca na mnie uwagi.

– Niemożliwe. Wszyscy faceci tutaj się na ciebie gapią. Może to gej?

– Aidan? Nie – zaśmiała się. – Wiesz, Amando, czuję, że się zaprzyjaźnimy – wyznała niespodziewanie.

– Chciałabym tego. I czułam podobnie, gdy cię poznałam. Nigdy nie miałam wielu przyjaciółek. A obecnie ich stan jest na poziomie zero.

– A więc mamy szansę. To jak, przyjaciółki? – Jessica wyciągnęła pięść do przybicia i pakt przyjaźni został zawarty. Jednocześnie cały czas nie

odrywała wzroku od właściciela zielonej deski.

Amanda natomiast podziwiała wzburzony ocean. Ogromny huk rozbijających się o taflę oceanu fal wywoływał ciarki na całym ciele. Potęga, majestat i siła. To widziała i to czuła. Piękno, które urzekało i przyciągało swym magnetyzmem. Miała wrażenie, że jego siła za chwilę ją wciągnie, porywając na dobre... I wtedy spojrzała na klif. Rozpryskujące się fale przysłaniały jego ściany, jednak i tak go dojrzała. Znowu tam był. Tajemniczy chłopak wpatrujący się w dal, jakby szukał statku, który miał nadpłynąć z sąsiedniego portu. Amanda obserwowała go z plaży. Nie widział jej. Za to ona uznała, że jest zjawiskowy. Nagle wyciągnął lornetkę. Najwidoczniej czegoś lub kogoś wypatrywał. Ubrany w przedziwny długi płaszcz, wzbudzał w niej narastającą ciekawość. Szybko wyjęła telefon i zrobiła mu zdjęcie. Nie wiedziała dokładnie dlaczego, jednak on intrygował ją bardziej, niżby tego chciała.

– Co robisz? – Jessica szykowała się do biegu w ocean.

– Podziwiam klify... – odparła speszona Amanda.

– Tak, są totalnie niesamowite. Pewnie niedługo je namalujesz. Plaża White Rocks robi niesamowite wrażenie. Piękniejszej nie znam. Jutro pokażę ci jaskinie i groty...

– A kojarzysz tego chłopaka stojącego w płaszczu na klifie?

Jessica wyteńczyła wzrok.

– A tak. To tutejszy dziwak. Choć przyznaję, bardzo przystojny.

– Dlaczego mówisz, że to dziwak?

– Bo to jest dziwak, uwierz mi. Pojawił się w Portrush jakiś czas temu i wiecznie przychodzi w jedno miejsce. Gapi się na ocean godzinami... Kręci się po okolicy bez celu. Z nikim nie rozmawia. Nie wiadomo, czy jest do końca normalny. – Jessica pokazała gest koło głowy.

– Znasz go?

– Ja? – Parsknęła śmiechem. – Nie i nie chcę go znać. Potrzebuję normalnego chłopaka. Takiego, który mnie pocałuje, weźmie na kolację, popływa ze mną na golasa w oceanie... Ty lepiej też daj sobie z nim spokój.

– Jasne. Tylko pytam z ciekawości, bo już go wcześniej widziałam. Wiesz, gdzie on mieszka?

– Nie wiem, pewnie śpi w trawach na klifie. Odpuść! Lepiej popatrz, jak surfuję!

Jessica chwyciła za deskę i z rozmachem rzuciła się w stronę oceanu. Wbiegła po kolana do wody, a potem położyła się na desce. Płynęła, szukając sprzyjającej fali. Aidan już ją wypatrzył. Krzyczał coś do niej, a ona promieniała. Amanda podziwiała, jak pięknie jej koleżanka wygląda na desce i na wodzie. Właśnie tworzyła się kolejna duża fala. Jessica wykorzystała okazję i szczęśliwie złapała falę. Płynęła niczym wodna bogini, do czasu aż nagle spadła, znikając pod wodą. Amanda krzyknęła z przerażenia. Wprost umierała ze strachu, bo Jessiki długo nie było widać. W końcu Aidan zdecydował się za nią zanurkować. Fale nie ustępowały. Amanda też wbiegła do wody i zaczęła płynąć w ich stronę. Wtedy dostrzegła, że chłopak z klifu obserwuje ją przez lornetkę. Zanurkowała. Nie widziała pod wodą ani Jessiki, ani Aidana. Kiedy wypłynęła, by nabrać powietrza, nakryła ją kolejna fala. Resztkami sił zdołała wypłynąć na brzeg. Po chwili dostrzegła leżącą na plaży Jessicę, ktoś jej robił sztuczne oddychanie. W końcu dziewczyna zaczęła głośno kaszleć. Żyła. Amanda poczuła ulgę.

– Mówiłaś o cudownej przygodzie. A o mało się nie utopiłaś. I to w dniu, kiedy zostałyśmy przyjaciółkami. Tak się nie robi. To zwyczajne świństwo!

– Daj spokój. Wskoczyłaś za mną do wody?

– Oczywiście. Bałam się, że się utopiłaś. Że już po tobie... Tak się bałam.

– Przepraszam. Ja też się bałam. Bardzo. Na szczęście Aidan mnie wyłowił. Tylko błagam, nie mów o niczym Igorowi ani moim rodzicom. Nikomu. Zakażą mi surfować. A ja tak to kocham.

– Ale te fale... Są zbyt duże. Nie możesz sobie znaleźć mniejszych?

– Wariatka z ciebie – dyszała, ale zdołała się uśmiechnąć. – Przecież życie to jedna wielka fala, która nas porywa w nieznane. – Jessica przymknęła oczy. Nie było w niej przerażenia ani rezygnacji. – Czy warto

przed nią uciekać tylko po to, by mniej bolało? – wyznała, po czym chwyciła przyjaciółkę za rękę.

Amanda zamilkła. Wiedziała, że się nie da. Że nie da się uciec przed prawdziwym życiem i jego wszystkimi barwami. Spojrzała odruchowo w stronę klifu, ale jego już tam nie było – dziwaka. Ona też czasem się tak czuła. W dodatku miała ochotę uciec przed każdą większą falą w jej życiu.

– Na dziś masz dosyć. Nieźle cię przeciągnęło. Ale musisz jeszcze potrenować. Mogłem ci nie oddawać tej fali. To jeszcze nie twój czas. – Aidan instruował Jessicę, a Amanda dzięki biegłej znajomości angielskiego pojmowała jego słowa w mig.

– Bzdura. Nie zrezygnuję.

– Nie masz rezygnować, ale nabrać pokory.

Jessica straciła nagle dobry humor. Jego uwagi ją zabolowały. Aidan był starszy od Jessiki o jakieś sześć lat. I odpowiadał za to, by przekazać jej swoją wiedzę.

– A ty też surfujesz? – zwrócił się nagle do Amandy. – Masz dobrą sylwetkę.

– Ja? – wybąkała. – Nie. Ja przyszłam tylko popatrzeć.

– To przyjdź jutro. Nauczę cię.

– Nie, nie. – Amanda machała rękami jak spłoszony ptak. – To nie dla mnie.

– Skąd wiesz, skoro nie próbowałaś? Wystraszyłaś się? Wcale się nie dziwię, ale pamiętaj, że strach ma wielkie oczy, a porażki prowadzą do sukcesu.

– Możliwe, ale po tym, co widziałam...

– I tu popełniasz błąd. Życie trzeba chłonać, a nie przed nim uciekać. Pomyśl o tym. A teraz, dziewczyny, biegiem pod gorący prysznic. Obie jesteście przewiane i zmarznięte.

Amanda musiała przyznać, że ciepły prysznic był jak boska nagroda. Rozkosz.

Kiedy wracały do domu, Jessica milczała.

– Naprawdę się o ciebie bałam.

– Ja też się bałam. Już myślałam, że się nie wydostanę z tego kotła prądów. Ojciec zakazał mi surfować. Boi się o mnie. Mówi, że to dla szaleńców. Ale ja tylko wtedy czuję, że żyję. I jestem naprawdę wolna...

– A jeśli on ma rację? Jeśli coś złego się stanie?

– Nie myślę w ten sposób. Chcę robić to, co kocham. Czyż nie to w życiu ma naprawdę sens? Wysokie fale i upadki, po których wstajemy i idziemy dalej? Nie martw się o mnie. Jessica Domańska zawsze spada na cztery łapy.

– Jesteś odważna. Ja się boję tych fal... Są nieprzewidywalne.

– Niepotrzebnie. Wtedy tracisz najwięcej, bo strach nie pozwala ci się odważyć na to, co może dać ci szczęście. To co, nie zdradzisz mnie? – Jessica patrzyła na przyjaciółkę błagalnym wzrokiem.

– Spokojnie. Ale błagam, uważaj na siebie. Jesteś moją przyjaciółką, prawda?

– Prawda. A teraz dość narzekań, idziemy na *chowder*.

– A co to za cudo?

– Pyszna zupa rybna z owocami morza. Po drodze wejdziemy do restauracji. Mam pieniądze.

– W restauracjach jest drogo. Może same coś ugotujemy?

– A co proponujesz?

– Jestem dobra w przyrządzaniu makaronów.

– W takim razie teraz idziemy na *chowder* i nie możesz mi odmówić. A potem przygotujesz pyszny makaron. Mama się ucieszy.

– Ale pod warunkiem, że gotuję u was, bo nie będę wozila ze sobą garnka.

– Zabawna jesteś. Jasne, że u nas. Już się nie mogę doczekać. – Jessice wrócił dobry humor. Zdawała się zapomnieć o porwaniu przez falę. Może to i dobrze. Amanda już wiedziała, czego z pewnością się od niej nauczy. Miłości do życia.



Popołudnie zapowiadało się obiecująco. Silny północny wiatr złagodniał, niebo przybrało błękitny kolor i pojawiło się słońce. Amanda chciała dobrze wypaść. Spaghetti byłoby zbyt oczywiste. Wybrała tagliatelle z suszonymi pomidorami, liśćmi szpinaku i oliwkami. Co prawda istniało ryzyko, że oliwki nie u każdego spotkają się z entuzjazmem, ale i tak zaryzykowała. Spakowała produkty do torby. Igor przyjechał po nią o szesnastej.

– Nie mogłem pozwolić, byś jechała bussem. Ponoć robisz pyszny makaron.

– Ponoć... – zaśmiała się. – Oby wam zasmakował.

– Jeśli ty go przygotujesz, to na pewno.

– To miło, że po mnie przyjechałeś – dodała, zerkając na piękny horyzont, ciągnący się wzdłuż drogi. – Muszę sobie znaleźć jakieś zajęcie. Nie mogę całymi dniami tylko się włóczyć po klifach albo po plażach.

– A co w tym złego?

– Niby nic, ale jak mam konkretne zajęcie, to moje myśli są bardziej poukładane. Rozumiesz? Nie korci mnie, by iść tam, gdzie nie powinnam.

– Tutaj jest mnóstwo cudownych miejsc. I warto dla nich zmienić przyzwyczajenia. Mam dla ciebie niespodziankę. Ale następnym razem. Tylko pytanie: czy masz lęk wysokości?

– Z tego, co wiem, to nie.

– Super. To jesteśmy umówieni.

– Umówieni? – Zmarszczyła czoło.

– Porwę cię w pewne tajemnicze miejsce.

– Nie wiem, czy mam ochotę na porwanie. Nie przepadam za takimi niespodziankami.

– Jeśli ci się nie spodoba, to się poddam.

Amanda spojrzała na niego z niedowierzaniem. Potem ironicznie odpowiedziała:

– Niemożliwe, ty?

– Żartowałem. – Wybuchnął śmiechem.

– No tak, zapomniałam, że u was to chyba rodzinne – stwierdziła, uśmiechając się pod nosem.



Popołudnie u Domańskich było przyjemne. Tadek leżał na kanapie, a jego żona obok niego. Totalny luz. Jessica przygotowywała napoje, a Amanda makaron.

– Bardzo się cieszę, że dziś nie muszę gotować, choć to ty jesteś naszym gościem i to my powinniśmy coś dla ciebie przyrządzić.

– Ja bardzo lubię czasem coś upichcić. Nie ma problemu.

– Nie myślałaś może o wakacyjnej pracy, Amando? – Tadek nagle uniósł głowę znad kanapy. – Szukają kogoś na kilka godzin dziennie do antykwariatu przy porcie. Jesteś zainteresowana?

– Możliwe. – Amanda się ożywiła.

– Całkiem dobrze płacą. Jakies dwa funty na godzinę. Albo trzy, trzeba dopytać. A ty ponoć świetnie znasz angielski.

– W zasadzie tak. – Uśmiechnęła się. – Dziękuję, jutro tam zajrzę.

– Poczekaj, powinienem mieć ten adres. – Tadek podniósł się i ruszył w stronę korytarza. Ich mieszkanie było większe od tego, które wynajmowali rodzice Amandy. – Mam, proszę – dodał z zadowoleniem, po czym podał jej zapisaną kartkę z adresem i telefonem. – Prowadzi go pewien starszy pan, jest zegarmistrzem, ale też świetnym księgarzem.

– A Jessica nie chce tej pracy? – Amanda wolała dopytać.

– Ja? Nie, dziękuję. – Przyjaciółka się skrzywiła.

– Lubię takie miejsca z duszą, a czuję, że to takie właśnie będzie.

– Wydajesz się podekscytowana, aż miło słyszeć. Jessica ma w głowie tylko ocean. A Igor chadza własnymi drogami.

– Jestem dorosły, mam, jeśli nie zauważyłaś. I mam prawo do chadzenia własnymi drogami...

– No tak, nikt tego nie neguje, ale kończysz studia. Powinieneś rozejrzeć się za pracą. – Tadek podzielał zdanie małżonki.

– Czy możemy pomówić o tym później? – Spochmurniał.

– Zapraszam na makaron. Mam nadzieję, że lubicie suszone pomidory i oliwki. No i szpinak.

– Uwielbiamy. – Domańska cieszyła się najbardziej. Nie przepadała za gotowaniem.

Amanda spędziła u nich miłe chwile, jednak Igor nie odstępował jej na krok.

– Jest bardzo miło, ale będę już wracała do domu.

– Następnym razem przyjedziesz do nas z rodzicami i to my coś ugotujemy, prawda, Jess?

– Jasne. No i mamy do zwiedzenia jeszcze sporo miejsc. – Dziewczyna mrugnęła tajemniczo do Amandy.

– Odwiozę cię. – Igor zerwał się od stolika, kiedy Amanda zaczęła szykować się do wyjścia.

– Nie, dzięki. Wrócę bussem. Może przy okazji zajrzę do tego antykwariatu. – Spojrzała na Tadka.

– Nie zwlekaj, bo zatrudnię kogoś innego.

– Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.



Antykwariat Books & Cafe dało się zauważyć już z daleka. Granatowe okiennice, kwiaty w oknach i ten wielki szyld nad drzwiami w kolorze złota. Amanda nie mogła uwierzyć, że wcześniej nie zwróciła na niego

uwagi. Bus zatrzymał się nieopodal budynku. Miejsce przyciągało urokiem i pewną tajemniczością skrytą za starymi okiennicami. Dziewczyna odetchnęła z ulgą, kiedy spostrzegła ogłoszenie o pracę. Potrzebowała kilku groszy dla siebie i sensownego zajęcia przez wakacje. Brzęczący dzwonek u drzwi obwieszczał nadejście klienta. Amanda po wejściu do środka przetarła oczy ze zdziwienia.

– Jak w tak małym pomieszczeniu może się zmieścić aż tyle książek i przedmiotów?

Było tu prawie wszystko, co miało swoją wartość, a czego ktoś kiedyś się pozbył. Woluminy w bardzo dobrym stanie, obrazy i porcelana. Wszystko zdawało się tu być jak z innej epoki. Antykwariat łączył się z sąsiednim pomieszczeniem otwartymi półokrągłymi drzwiami. Amanda zajrzała i tam. Jak się okazało, były tam same zegary, stojące i ścienne, głównie antyczne. Również zegar słoneczny. Wszystkie tykały w swoim własnym tempie. Najpiękniejszy wydał się Amandzie stojący nakręcany stary zegar, który wybijał godziny i półgodziny.

– Niesamowite – stwierdziła, podziwiając go.

– O tak, ten jest zupełnie wyjątkowy. – Nagle usłyszała niski męski głos. Amanda odwróciła się z zaskoczeniem. – Jestem Stary Jack, właściciel tego przybytku. Zawsze zagaduję do klientów, którzy podziwiają te cacka.

– Amanda Janas. O tak, są niezwykle. Właściwie to ja chyba do pana...

– Tak? – Stary Jack spojrzał na nią z ukosa, po czym poprawił małe, okrągłe okulary na nosie.

– W sprawie pracy...

– Tak?

– Bo jestem nią zainteresowana.

– Chyba jesteś za młoda na tę posadę.

– Za młoda? Dlaczego?

– Antykwariat jest jak małe muzeum, tutaj każdy przedmiot ma swoją duszę i historię.

– Ale ja naprawdę sporo wiem, po wakacjach zaczynam studia z anglistyki.

– Mądrała. A więc czym się interesujesz, Amando?

– Maluję obrazy i fotografuję. Jestem samotniczką. Lubię ciszę i spokój.

– Ciekawe... Jak widzisz, mam tu sporą liczbę książek, większość z nich ma nieocenioną wartość. I nie mam tu na myśli jedynie wartości pieniężnej.

– Rozumiem. Zauważyłam piękne wydanie sióstr Brontë, Jane Austen i *Podróży Guliwera*, uwielbiam je.

– Tak... Widzę, że masz bystre oko. I ujęłaś mnie tym, że zajrzałeś do moich zegarów. Dam ci szansę i pracę na okres próbny, co ty na to?

– Biorę. – Uśmiechnęła się szeroko. – W nazwie jest Books & Cafe. Czy serwuje się tu też kawę?

– Cenna uwaga. Niestety chwilowo nie.

– To błąd. Trzeba ją podawać klientom, na przykład sprzedawać za funta.

– Myślisz, że to ich przyciągnie?

– Kawoszy na pewno. I turystów. A przy okazji sprzedamy im to i owo.

– Podoba mi się twoje podejście, Amando... Zapomniałem, jak się nazywasz.

– Janas, Amanda Janas, proszę pana.

– Mów mi tak jak wszyscy tutaj, czyli Stary Jack. A teraz powiedz, skąd jesteś. Świetnie mówisz po angielsku, ale nie jesteś stąd. Prawda?

– Przyjechałam z Polski.

– A więc witaj, Amando z Polski. – Stary Jack uściskał jej dłoń i do końca dnia oprowadzał po niezliczonych zakamarkach swojego antykwariatu. Pokazywał wszystko, co posiadał w sklepie, a Amanda starała się jak najwięcej zapamiętać.



Praca w Books & Cafe sprawiała Amandzie radość. Częstowała gości kawą i wypytywała, czego potrzebują. Z czasem zaglądnących do antykwariatu zaczęło przybywać. Klienci szukali rzadko spotykanych wydań woluminów, starych obrazów olejnych i podobnych rarytasów. Któregoś dnia zajrzał i on. Chłopak z klifu. Za każdym razem, kiedy się tu pojawiał, Amanda nie mogła oderwać od niego oczu. Wyróżniał się i nietrudno było to zauważyć. Wysoki i szczupły, z klasycznymi rysami. Półdługie ciemne włosy, męskie bokobrody i oczy. Ciemne jak dno studni. Jego łagodne rysy przyciągały jej uwagę nie mniej niż wyrafinowany strój. Już kiedy dojrzała go na klifie, miała wrażenie, że nosi coś w rodzaju fraka. Teraz mogła się upewnić, że się nie myliła. Pomimo że był czerwiec, Portrush nie należało do najcieplejszych miejsc. Wiało i padało tu częściej, niż słońce miało ochotę wyjść zza chmur. Spojrzenia Amandy nie mogły umknąć jego uwadze. Dostrzegł jej badawczy wzrok, a wtedy zmarszczył czoło i przeszedł w drugi kąt sali. Wysokie buty, obcisłe spodnie z lampasami, jasna kamizelka i coś jakby wstążka przewieszona na szyi. Kolorowa, z małym zegarkiem na końcu. Wyglądał jak z innej epoki. I nic nie było w stanie tego zmienić. Speszony intensywnością spojrzeń jej niebieskich oczu przeszedł do pomieszczenia z zegarami. Przesiadywał tam bardzo często nawet po kilka godzin. Stary Jack wdawał się z nim w ożywione dyskusje.

– Znasz go, Stary Jacku? – Amanda usychała z ciekawości. Nie chodziło tylko o to, że nieznajomy był bardzo przystojny. Bardziej intrygowało ją, kim jest i czego tu szuka.

– Kogo?

Amanda lekko poczerwieniała.

– A przychodzi tu taki chłopak we fraku. Przesiadyje przy zegarach. Jest dziwny.

– Uważasz, że jest dziwny? To zupełna nieprawda. Ale skoro tak cię interesuje, to widocznie musi być kimś.

– Zaraz interesuje...

Stary Jack zaśmiał się pod nosem.

– Wiesz, Amando, następnym razem zaproponuj mu kawę. Tacy jak on piją ją w południe.

Jednak przez kolejne dni padało, a nieznajomy nie pojawił się w antykwariacie. Tymczasem w niedzielę nieoczekiwanie wpadli Jessica i Igor. Mieli dla niej propozycję.

– Wiszący most nad oceanem. Musisz to zobaczyć i wejść na niego. – Podekscytowana Jessica nie mogła usiedzieć w miejscu. A kiedy Igor poszedł do samochodu, zachęcała Amandę, by ponownie wybrały się nad ocean. – Aidan pytał, kiedy zdecydujesz się na pierwszą lekcję surfingu.

– Zapomnij. Nie wejdę na deskę. To znaczy wejść to nic, ale widziałam, jak tamta fala cię porwała. Nie prosź mnie o to więcej.

– Strach ma wielkie oczy, a jutro będą małe fale. To chociaż pojedź ze mną, inaczej matka mnie nie puści.

– Sama nie wiem. Chcę malować.

– Ty znowu z tym malowaniem.

– A ty znowu z tym surfowaniem.

– Okej, jeśli spróbujesz choć raz, tylko jeden, to dam ci wreszcie spokój.

– Obiecujesz? – Amanda spojrzała na nią bez przekonania.

– Obiecuję.

Igor zatrąbił.

– Musimy jechać, kierowca się niecierpliwi.

Dziewczyny wybiegły przed budynek.

– To dokąd właściwie jedziemy? – Amanda cieszyła się ze wspólnej wyprawy.

– Do Ballintoy, na most linowy Carrick-a-Rede. Przejdziemy nim na wysepkę.

– Mam nadzieję, że nie będzie kołysało.

Jessica nic na to nie odparła.

– Jessica? Jeśli tam kołysze, to ja się z tego wypisuję.

– A co ma niby kołysać? Daj już spokój.

– Nic się nie bój. W razie czego złapię cię. Mam silne ramiona. – Igor nie omieszkał poszczycić się wyrzeźbionymi bicepsami.

– Wspaniale, teraz czuję się bezpieczniejsza. – Amanda zadrwiła z chłopaka, choć jego umięśniona sylwetka robiła wrażenie. – Nie martw się o mnie. Jestem dorosła. A ty nie jesteś moim opiekunem.

– Dajcie spokój, sprzeczacie się jak stare małżeństwo. – Jessica założyła słuchawki na uszy.

Czekało ich około pół godziny drogi. Kiedy minęli Portrush, klimat wciąż pozostawał niezmienny. Ocean odgrodził się klifami. Słońca było tu jak na lekarstwo. Jednak nie padało. Jechali wzdłuż wybrzeża. Niezapomniane widoki pobudzały wyobraźnię i zapadały na długo w pamięć. Kiedy dotarli na miejsce, Amanda stwierdziła, że nie wejdzie na most i poczeka na nich, podziwiając okolicę.

– Jeśli nie pójdziesz tam z nami, wezmę cię na ręce i przeniosę – zażartował Igor.

– Jeśli to zrobisz, znienawidzę cię! – oburzyła się Amanda.

– Chyba ostatni raz wybrałam się dokądś z wami. – Jessica pokręciła z niedowierzaniem głową. Potem ruszyła przed siebie.

Wzdłuż trasy ciągnął się biały płotek, a na ostatnim odcinku były blaszane schody. Kiedy dotarli do mostu, Jessica weszła na niego pierwsza. Pomachała do Amandy, która wciąż była pełna obaw.

– Idź pierwszy, a ja pójdę za tobą. Jestem zła, że dałam się namówić na takie szaleństwo... Zmusiłeś mnie!

– Śliczna złoźnica. Wolę cię mieć na oku. – Igor chwycił Amandę za rękę. – Pozwól mi być przy tobie.

Nie wiedziała, co zrobić ani co odpowiedzieć.

– Okej, więc trzymaj mnie za rękę, ale to tylko po to, bym mogła przejść.

– Dobrze i to – odparł, patrząc jej w oczy.

– Jeśli zaraz nie przestaniesz, to nigdzie nie pójdę.

– Nie przestanę czego?

– Gapić się tak na mnie.

Wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Igor chwycił jedno z pasemek i odgarnął je na bok.

– Nie możesz mi tego zakazać. To jak, idziemy?

Most wyglądał na taki, z którego lepiej nie korzystać. Był otoczony jedynie siatką i miał wąską kładkę. W dodatku wiatr zaczynał tu przybierać na sile.

– Jeśli mnie puścisz, spadnę. I się zabiję, a wtedy to wszystko będzie twoją winą.

– Jednak jesteś stuknięta... Przestań wreszcie panikować. Gdybyś tyle nie mówiła, już dawno bylibyśmy po drugiej stronie.

– Więc na co czekasz? Idź!

Igor ruszył przed siebie i pociągnął Amandę za sobą. Po kilku krokach uwolniła się z jego uścisku.

– Pójdę sama. Nie zatrzymuj się. No idź! – krzyknęła, by wreszcie pokonać most. Nie patrzyła w dół, gdzie falował ocean otoczony przez zimne skały.

– No i dałaś radę, czyli jednak można tędy przejść. Nie taki diabeł straszny, jak go malują...

– Więcej mnie nie namówisz na podobną wyprawę...

Igor tylko głośno się zaśmiał.



Wysepka okazała się mała, ale niezwykle urokliwa. Amanda uznała, że mimo wszystko było warto się tam dostać. Zielen traw mieszała się z szarością i błękitem oceanu.

– Jesteście wreszcie. – Jessica z natchnieniem pstrykała zdjęcia. – Mamy teraz czas na zwiedzanie, a potem wracamy.

– I znowu chyboczący mostek. – Głos Amandy zabrzmiał żałośnie.

– No coś ty... Nie wracamy tamtędy.

– Jak to?

– Igor ci nie wspomniał? No tak, przecież cały czas się kłóciliście... Na stały ład wrócimy łodzią.

– Nie mogłeś mi wspomnieć o tym istotnym szczególe? – Amanda była wściekła. – Wiedziałaś, jak się boję.

– Na pewno ci wspomniałem.

– O tym nie. Mam ochotę cię zabić! Na szczęście jest tu tak pięknie, że chyba zdołam ci wybaczyć.

– Uwielbiam cię. – Igor zaśmiał się w głos. – Pasujemy do siebie bardziej, niż sądziłem.

– Przestań już z tymi bzdurami.

– Mój brat ma chyba obsesję na twoim punkcie – stwierdziła Jessica, po czym zwróciła się do Igora: – Jeśli dalej tak będziesz robił, Amanda szybko będzie miała cię dość.

Po niecałej godzinie pogoda na wyspie zaczęła się zmieniać.

– Lepiej wracajmy. Zrywa się wiatr. – Amanda ruszyła przed siebie.

Igor cały czas jej nadszkiwał, co było dość męczące. Czowała się przez to nieswojo. I nic nie mogła poradzić na to, że tak bardzo mu się podobała.

Jessica podbiegła do niej i chwyciła ją pod rękę.

– Igor bywa męczący, wiem o tym. Przepraszam za niego.

– Nie masz za co przepraszać. Czasem nie mamy wpływu na to, co się dzieje, na zachowania czy uczucia innych.

– Musisz mu jasno wyznaczyć granicę, inaczej on nie odpuści tak łatwo.

– Nie strasz mnie. – Amanda się zaśmiała, mimo że w głosie Jessiki dało się słyszeć obawę.

– Nie miałam takiego zamiaru. – Uśmiechnęła się. – Ale on bywa trudny i uparty jak osioł. I chce mieć ciebie – westchnęła. – To taka ironia losu. Uciekamy przed tymi, którzy nas chcą, a gonimy tych, którzy nas nie

dostrzegają. Zupełnie jakby rozum nie mógł się zgrać z sercem. Nie sądzisz?

– A co ja tam wiem o miłości... Ale chyba coś w tym jest...

– Nie byłaś jeszcze z nikim? – Jessica spojrzała na przyjaciółkę z ciekawością.

– Wścibska jesteś, zupełnie jak twój brat.

– Nie martw się, kiedyś i ciebie dosięgnie strzała amora.

– Nie czekam na nią.

– I słusznie, sama przyjdzie, kiedy uzna, że to ten czas.

– A ty ilu chłopaków miałaś? O ile to nie sekret?

– Tak naprawdę to jednego. – Uśmiechnęła się. – Ale to nie była miłość, choć tak mi się wydawało.

– Ja poczekam, nie spieszy mi się. I o ile ktoś taki się znajdzie...

– Może nie z tego świata, ale się znajdzie – zażartowała Jessica. – Lepiej szykuj się na jutro. Lekcja surfingu. Obiecałaś mi, pamiętasz? – Pogroziła palcem.

– Jesteś bardzo pamiętliwa. Niech ci będzie, przynajmniej będę to miała z głowy.

– A może się zdziwisz i pływanie na desce stanie się twoją pasją!

– Na pewno nie!

– Zobaczymy. – Jessica się zaśmiała i ruszyła za Igorem do łodzi, którą przepłynęli na drugi brzeg.

Kiedy już wsiedli do samochodu, Amanda musiała przyznać sama przed sobą, że Irlandia coraz bardziej zaczynała roztapiać jej serce. I coraz mniej myślała o tym, co zostawiła w Polsce. W Irlandii wszystko wydawało się prostsze. I piękniejsze.



Następnego dnia Amanda poszła do Starego Jacka. Choć dał jej wolne, to i tak miała ochotę zajrzeć do antykwariatu. Polubiła to miejsce pełne cennych przedmiotów, które kiedyś do kogoś należały, a teraz szukały nowego właściciela.

– Te mechanizmy... muszą być bardzo skomplikowane – zagadała, gdy Stary Jack majsterkował przy jednym z zegarów.

– Czy nie dałem ci dziś wolnego? – Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Owszem.

– Cóż... tak, jest ich kilka. Linkowy, łańcuchowy. Miałem nawet taki z napędem bicia kwadransów.

– Stary Jacku, kochasz je... Te zegary.

– Cóż... tak, już tylko one mi zostały. Wyznaczają nam czas. Odmierzają w minutach, w godzinach, w dniach nasze życie i jego tempo, a potem wybijają godzinę naszego odejścia. Po to je stworzono.

– Bez nich byłby wielki chaos.

– Możliwe, bardzo możliwe. – Pokiwał głową. – A teraz... masz może ochotę na gorącą czekoladę? – Wręczył jej kubek z gorącą czekoladą, a potem oświadczył, że skoro już tu przyszła, to może pomóc mu rozpakować książki, które niedawno przywiózł kurier. Były to stare wydania między innymi *Frankensteina* autorstwa Mary Shelley.

– Oglądałam o niej film. Ta Mary była taka młoda, kiedy się zakochała, i tak wiele przeszła... – Amanda dotknęła twardej oprawy w kolorze ciemnej zieleni. Książka była w bardzo dobrym stanie.

– Owszem. Ale dzięki temu stworzyła dzieło. Mocne uczucia i emocje sprawiają, że wyzwala się w nas prawdziwy potencjał i wrażliwość na świat. Rodzą się uczucia, o których nie mieliśmy pojęcia. Kształtują nas i zmieniają na zawsze.

– Też chciałabym doświadczyć czegoś, co spowoduje, że przeżyję coś wyjątkowego.

– Wszystko jest możliwe, moja Amando. I rzeczy pozornie niemożliwe też są możliwe... – Uśmiechnął się pod nosem. – No... Za godzinę

zamykam. Może zdążymy je poukładać na regałach?

– Pewnie, że tak.

Nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi. I wtedy go ujrzała. Chłopaka z klifu. Choć przez osobliwy wygląd należałoby określić go mianem młodzieńca bądź kawalera. Amanda i Stary Jack byli jedynymi osobami w antykwariacie, więc kiedy ich zobaczył, a zwłaszcza Amandę, wyglądał, jakby chciał się wycofać.

– A, to ty. – Stary Jack zszedł schodami.

Amanda zastanawiała się, co może ich łączyć. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to zegary. Ostatnio się przy nich kręcił.

Tymczasem Stary Jack wraz z gościem przeszli do pomieszczenia obok. Amanda była ciekawa, co tam robią. Ale jeszcze bardziej interesował ją on. Młody mężczyzna nie wiadomo skąd. Próbowwała układać książki, lecz z ciekawości zeszła na dół.

– Amando, poznaj, proszę, tego niezwykłego człowieka. Młodego naukowca i wynalazcę. To Henry Oldmann. Pomaga mi reperować zegary...

Amanda słyszała tylko bicie swego serca, dosłownie wszędzie. Milczała. Była pod całkowitym urokiem. Wysoki, z dumnym spojrzeniem, które przebiegło po jej twarzy i zatrzymało się na oczach. Jego były ciemne i duże. Biło z nich przyjemne ciepło. Twarz jednak była poważna.

– Miło mi – powiedział, mrużąc powieki.

– Jestem Amanda Janas. Pracuję tu – wyznała jednym tchem, spoglądając intensywnie na jego frak i żabot.

Henry nachylił się i sięgnął po jej dłoń, a następnie ją pocałował. Amanda otworzyła usta z zaskoczenia.

– Znam cię z klifu. – Zdołała wyszeptać.

– Z klifu? Musiałś mnie z kimś pomylić... – Poczwała na sobie jego uważny wzrok. Miała wrażenie, jakby czytał jej w myślach. Wiedział, co za chwilę powie...

– Nie sądzę. Rozpoznałabym cię wszędzie. To znaczy... – Speszyła się. – To chyba przez to ubranie.

– Miło było mi pannę poznać, ale chyba się tu zasiedziałem – stwierdził nagle, zerkając na mały okrągły zegarek zawieszony na szyi. – Proszę mi wybaczyć, ale muszę się pożegnać. – Henry uklonił się, po czym wyszedł w pośpiechu, wyraźnie unikając wzroku Amandy.

– Czy on jest aktorem? – Amanda nie mogła dojść do siebie. – Wyszedł tak nagle. Czy powiedziałam coś nie tak? – Spojrzała na Starego Jacka, który zachowywał się nad wyraz spokojnie.

– Henry jest nieco inny. Nie przejmuj się nim. Wszyscy naukowcy i odkrywcy są dość ekscentryczni. Mają swój świat. On także...

– Jestem pewna, że widywałam go na klifie. Dlaczego zaprzeczył?

– Nie zna cię, pewnie go speszyłaś swoją ciekawością. Nie zwracaj sobie nim głowy. On jest, jak to mówią, z innej planety.

– Czemu tak dziwacznie się ubiera?

– Zadajesz za dużo pytań. Zamykamy na dziś.

Kiedy Amanda wracała do domu, znowu go ujrzała. Henry stał na klifie i wpatrywał się w dal.

– A jednak... – szepnęła zaintrygowana. – Dlaczego kłamałeś, Henry Oldmannie?

Poczuła do niego niechęć. Zignorował ją i potraktował jak wścibską pannicę. Amanda nie miała szczęścia do chłopaków, a ten był w dodatku dziwakiem. I to takim, który coś kręci albo ukrywa. Czego tym razem szukał na klifie? Miała ochotę podejść do niego i spojrzeć mu w twarz. Jednak uznała, że nie warto. W końcu, czy jeszcze kiedykolwiek go spotka? Niech sobie tam wystaje i robi, co chce. Może czegoś szuka albo coś bada? Jedno sobie jednak powzięła. Miała dość dziwnych znajomości, które mieszają w jej życiu. Wierzyła w to, że kiedyś spotka miłość, która na zawsze ją odmieni.

Wróciła do swojego pokoju i malowała do końca dnia. Klif, zielony jak południowe lasy, i tajemniczego mężczyznę zapatrzonego w dal. Henry – kimkolwiek był i cokolwiek by nie robiła – uparcie tkwił w jej głowie. Ciągnęło ją do tej tajemniczej i ekscentrycznej postaci. *Panno Amando* – na

to wspomnienie uśmiechnęła się szeroko. I te wielkie ciemne oczy... Nigdy takich nie widziała, tak ciepłych... Mogłaby w nich zatonać. I tego sobie życzyła. Spotkać kiedyś takiego mężczyznę jak on. Wyobrażała sobie, że dla wielkiej, prawdziwej miłości będzie w stanie pokonać wszystko.



Nazajutrz wraz z Jessicą udały się nad ocean. Fale były słabsze niż ostatnio. Amanda jednak i tak miała spore wątpliwości i odczuwała coś w rodzaju panicznego bólu brzucha.

– I jak? Jesteś gotowa? – Jessica była jak zawsze pełna entuzjazmu. – Obiecałaś mi, pamiętasz?

– Pamiętam. Jeden raz i dasz mi spokój. – Amanda spojrzała na nią z powagą i przekonaniem. – Surfing nie jest dla mnie. Nie lubię zimnej wody ani robienia rzeczy wbrew sobie.

– Marudzisz. Aidan znalazł dla ciebie świetną deskę, a tu masz strój. Ochroni cię przed zimnem oceanu, choć ja uważam, że woda jest idealna. Potrafisz nurkować, a to już sporo.

– To był mój pierwszy raz pod wpływem adrenaliny. Przeraziłam się, tonęłaś.

– Czy ja coś mówię? Super ci poszło jak na pierwszy raz. Serio. Jesteś niezwykła. I dziękuję ci.

– Przyjaciółki tak robią. Gdy jedna potrzebuje pomocy, druga wskakuje do oceanu. Czy nie?

– Jasne, że tak. Szkoda, że nie znałam cię wcześniej.

– Ale znamy się teraz. I ja chyba jednak nie dam rady z tym surfowaniem.

Amanda stała na wprost oceanu i czuła narastający strach.

– Masz w sobie siłę na pokonanie strachu. – Aidan pojawił się obok niej z deską w kolorze tęczy. – Najpierw odbędziesz krótkie szkolenie, więc nie

bądź taka przerażona – zaśmiał się. – Zobaczysz, pokochasz ten zapach i siłę oceanu.

Amanda spojrzała przed siebie. Fale dobijające do brzegu roztrzaskiwały się na miliony drobinek wodnych. Morska bryza przyjemnie otulała jej twarz. A może nadszedł czas, by pokonać swe lęki? Wraz z dwoma innymi osobami pilnie słuchała uwag Aidana. Potem były ćwiczenia na piasku.

– Zasada jest taka: płyniesz na desce pod prąd, a potem, gdy już wyczujesz, że to ten moment, wstajesz i łapiesz falę. Jasne?

– Jak słońce. – Amanda uśmiechnęła się ironicznie. W końcu robiła to tylko dla świętego spokoju.

Po przygotowaniu weszła do wody. Jessica mocno jej kibicowała. Ocean nie wydawał się ciepły pomimo letniego miesiąca. Na szczęście miała na sobie piankę. Przywiązana do nogi deska i tak nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa. Amanda położyła się na desce. Aidan płynął niedaleko niej, dla bezpieczeństwa. Czuła, jak łomocze jej serce. Dlaczego się na to zgodziła? Ogrom oceanu nagle zaczął docierać do jej świadomości. Płynęło się coraz trudniej. Prądy oceaniczne były niełatwym przeciwnikiem.

– Płyn dalej, dobrze ci idzie! – Aidan był obok.

Amanda nie odchrząknęła, zresztą i tak zagłuszyłby ją odgłos fal. A musiała oszczędzać siły. Dawno nie ćwiczyła i teraz zaczynała to odczuwać. Jednak nie chciała się poddać. Przeszła przez kołyszący most, to i tu da radę. Zawzięła się i płynęła dalej. I wtedy ją zobaczyła. Falę. Aidan klęczał na desce, a już po sekundzie na niej stał. Machał do Amandy i wreszcie zrozumiała. „Muszę wstać”.

– Jeśli nie odrzucę strachu, to nie wstanę. A niech to... – dedukowała, aż zdecydowała się zaryzykować. Chwyciła dłońmi deskę, podciągnęła się, aż w końcu stanęła. Szeroko rozłożone nogi pomogły jej złapać równowagę. Fala realnie niewielka, choć dla niej olbrzymia, zbliżała się bez wahania. Atakując.

– Dasz radę, dasz radę – powtarzała sobie. – Musisz spróbować...

Rozłożone ręce i zgięte nogi stanowiły świetny balans, a Amanda ku swemu przerażeniu zbliżała się do wodnej ściany. Nie wycofała się, pozwalając ponieść się chwili. Pochyliła się, jakby chciała się pokłonić potędze oceanu, i złapała pierwszą w życiu falę. Płynęła gnana siłą oceanu i bardzo jej się to spodobało.

– Juhu! – krzyknęła z radości.

Takich fal próbowała jeszcze złapać tego dnia kilka. Nie przeszkadzały jej już temperatura wody ani wiatr. Przełamała swe granice. Nagle pojęła, że warto było spróbować, a surfing to nie tylko moda. To totalne poczucie wolności i przeświadczenie, że wszystko jest możliwe. Z każdym wejściem do wody nabierała wiary we własne siły, a strach nagle zniknął. Pachniała oceanem i wiatrem północnym.

– A nie mówiłam ci, że to pokochasz? – Jessica była zachwycona.

– Teraz cię rozumiem. To jakaś magiczna siła nas tam woła. I trudno jej nie posłuchać.

– Dokładnie tak samo uważam. Czuję się uzależniona, zupełnie jakbym była częścią tej potęgi.

Przyjaciółki do późnego popołudnia biegały z radością do wody. Amanda już wiedziała, że nie zrezygnuje. Będzie łapała fale, by poczuć, że naprawdę żyje, że jest częścią tego skrawka ziemi. Nie wiedziała jednak, że od dawna ktoś ją obserwuje. Siedząc na zboczu klifu, gdzie wiatr rządził się swoimi prawami, Henry przyglądał się jej śmiałym poczynaniom.



Minęło kilka dni. Czas upływał Amandzie na lekcjach surfingu i pracy w antykwariacie. Jednak Henry gdzieś przepadł i więcej się nie pojawił. Ani na klifie, ani u Starego Jacka. Za to pojawił się Igor, który nie zrezygnował z prób zjednania sobie względów Amandy. Miał na sobie strój kolarski, a dziewczyna już się bała, co tym razem wymyślił.

– Dla ciebie też mam rower. Pojedziemy wzdłuż klifów. To będzie wspaniała wyprawa – poinformował, nie zważając na jej brak zainteresowania.

– Igor, nie dziś. To pewnie cudowny pomysł, ale mam już inne plany.

– Masz inne plany? Jakie? – Spojrzał na nią tak, jakby wygadywała niedorzeczności.

– Chcę malować. Nie mam ochoty na jazdę rowerem. Może innym razem.

– Żartujesz? Oferuję ci wspaniałą wycieczkę z przewodnikiem i podziwianiem widoków.

– Nie, nie żartuję, a właściwie to zaraz wychodzę z domu.

Igor miał zagniewaną minę, jednak Amanda tym razem nie zamierzała ulegać jego namowom.

– Nie byliśmy umówieni. Jesteś na mnie zły?

– Czy kiedykolwiek będę miał u ciebie szansę? – spytał z powagą, nie spuszczając z niej wzroku.

– Szansę? Jeśli kiedyś odebrałeś moje zachowanie jako nadzieję, to...

– Zależy mi na tobie. – Zrobił krok w jej stronę.

Amanda zerknęła w bok. Unikała wzroku, który zaczynał ją przytłaczać.

– Przykro mi, ale ja tak nie czuję. Lubię cię, ale to wszystko. Nie mogę ci niczego obiecać.

– W takim razie wszystko jasne. – Igor lekko poczerwieniał. Na jego twarzy złość mieszała się z upokorzeniem.

– Przecież możemy się kumplować.

– Ale ja nie chcę się tylko kumplować. Przecież czasem miłość zaczyna się od przyjaźni. Poczekam na ciebie. Nie zrezygnuję od razu.

Amanda nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Igor był typem chłopaka, który nigdy się nie poddawał. To już wiedziała. A ona lubiła jasne sytuacje, bez niedopowiedzeń.

– Powiedziałałam już, co czuję. To się nie zmieni. Nie szukam nikogo. Nie trać na mnie czasu. Irlandia jest pełna ładnych dziewczyn.

– Ale ja lubię tracić czas. Zrobię wszystko, by zasłużyć na twoje względy. Nie chcę innej.

Amanda spoważniała.

– Widzę, że słowo *nie* do ciebie nie trafia.

– Skradłaś moje serce. Nie zabronisz mi cię wielbić.

– Wielbić? – Amanda zaczęła się śmiać.

Igor zmarszczył w gniewie czoło i zbliżył się do niej aż za bardzo.

– Odsuń się. Proszę.

– Nie bój się mnie. Ale nigdy więcej się ze mnie nie śmiej. – Głos Igora zabrzmiał nieprzyjemnie.

– Znasz moje zdanie. Uważam, że tracisz cenny czas. Moja odpowiedź brzmi: zostaniemy przyjaciółmi. Choć teraz nawet to uważam za kiepski pomysł. Nie lubię, gdy ktoś mi się narzuca. Nie niszczy tego, co jest...

– Przepraszam, poniosło mnie. Masz rację. – Zmienił nagle ton. – Przyjaźń będzie dla nas najlepsza.

Amanda nie do końca była przekonana o szczerości Igora. Wyczuła to w jego zachowaniu i głosie. Jednak ten kierunek rozmowy był jej na rękę.

– Zapomnij więc o tym. Dam ci szansę. Ale nie przekraczaj więcej mojej granicy prywatności.

– Mówisz o?

– O dystansie. A co?

– Nie, nic. Racja. Dystans to... coś, z czym chyba mogę mieć problem.

– Chcesz się przyjaźnić? To pamiętaj o dystansie.

Igor spojrział na nią z grobową miną.

– To dokąd pojedziesz? – spytała, odsuwając niewygodny temat na bok. – Masz świetny strój. Wygląda na profesjonalny.

– Chyba pojedę przed siebie. Są jeszcze takie miejsca w Portrush, które czekają na odkrycie.

– Z pewnością. Opowiesz mi potem o nich?

– Opowiem.

– W takim razie udanej wyprawy. Muszę iść, mój bus zaraz podjedzie.

Amanda zarzuciła na plecy spory plecak, w którym zmieściły się podobrazie i farby. Sztalugę trzymała w rękach.

– Naprawdę masz zamiar z tym wsiąść do busa?

– Tak, a co?

– Sporo tego. To chyba ciężkie?

– To sztaluga. – Uśmiechnęła się. – Jest lekka, bo z aluminium. Typowa do malowania w plenerze.

– Tylko nie mów, że jedziesz na klif.

– Naprawdę muszę już iść.

– Mogłem cię podwieźć.

– Nie chcę. Poradzę sobie. Jedź, nie trać czasu przeze mnie.

Amanda minęła go w drzwiach, po czym wyszła z mieszkania. Igor podążył za nią. Czuł, jak mu się wymyka. Jednak za bardzo mu zależało, by tak po prostu zrezygnować z tej dziewczyny, nawet gdyby miał przed całym światem udawać tylko przyjaźń.



Niebo nad oceanem pojaśniało. Jego tafla migotała teraz tysiącem srebrnych odbić. Nawet wiatr chwilowo ustał, pozwalając niebu na okazanie jego błękitnych walorów. Amanda dojechała bussem na miejsce. W trakcie podróży nie brakowało ciekawskich oczu zerkających na sztalugę.

– Pewnie to jakaś malarka – usłyszała szept dwóch starszych pań, a wtedy uśmiechnęła się do siebie. Jakaż z niej była artystka? Więcej czuła w sobie pasji niż talentu, choć jej prace budziły zainteresowanie. Nigdy jednak nie miała własnej wystawy ani nie poddawała swoich prac ocenie

krytyków. Jak zatem mogła się określić? Przychodziło jej do głowy jedno: malarka amatorka z pasją.

Kiedy została sama na przystanku, poczuła, jak bardzo jest mała wobec potęgi natury. Klif przy plaży White Rocks, na którym miała zamiar malować, wymagał od piechurów wysiłku, by się na niego wdrapać. Wiatr rozwiewał jej jasne włosy na wszystkie strony. Jednak nie rezygnowała. Chwyliła za sztalugę i z plecakiem na ramionach ruszyła przed siebie. Droga częściowo asfaltowa, kamienna i polna wydawała się początkowo nie do pokonania. Amanda jednak nie zamierzała iść w głąb. Interesował ją skraj klifu, najbardziej wysuniętego w ocean, z którego roztaczają się najpiękniejsze widoki. Celowo wybrała się tu z rana, by uniknąć zbyt wielu ciekawskich spojrzeń. Po ponad godzinnym marszu dotarła na miejsce. Wysiłek się opłacił. Cieszyła się widokiem fal rozbijających się o skały. Szumem północnego wiatru i odgłosami dzikich ptaków. Rozłożyła sztalugę i zaczęła malować. Minęła jakaś godzina, ale pogoda nad klifem zaczęła się nagle zmieniać.

– Chyba nadciąga burza. A niech to – narzekła, zaczynając się pakować. Widok jednak był tak niesamowity, że Amanda postanowiła podejść bliżej skraju, by stamtąd dojrzeć więcej fal. Do samej krawędzi. I wtedy nagły podmuch wiatru porwał ją, pozbawiając równowagi. Zdążyła tylko krzyknąć. Omsknęła się jej noga. Amanda była niemal pewna, że się zabije. Ale ktoś pochwycił ją za rękę, mocno, wręcz boleśnie.

– Wciągnę pannę. Proszę podać mi drugą rękę! – Jego głos, szarpany porywami nagłego wiatru, z trudem docierał do jej uszu.

Amanda, sztywna ze strachu, wisiała teraz nad klifem.

– Proszę podać mi rękę! – krzyknął, a wtedy z trudem, pokonując paralizujący strach, wykonała ten ruch. Wybawca wciągnął ją na skałę, ratując życie. Amanda po wszystkim leżała na trawie bez ruchu dłuższą chwilę. Strach pozbawił ją wszelkich instynktów. Odjął na chwilę mowę. Gdy uniosła głowę i spojrzała przed siebie, widziała tylko wysokie buty, wystające znad bryczesów.

– Panno Amando... – Henry schylił się nad nią i objął w talii.

Powoli wstała. Błada wpatrywała się w niego bez słowa.

– Nic pannie nie jest? Nie można tak sobie wchodzić na skraj klifu. To śmiertelnie niebezpieczne. Tutejszy wiatr ściąga swą siłą w dół. Tutaj czasem giną ludzie. Proszę na siebie uważać następnym razem.

Amanda spoglądała na niego jak otumaniona.

– Nie wiem, jak to się stało. Chciałam popatrzeć na fale. Ale ta przerażająca siła, nie mogłam nic zrobić – odparła przejętym głosem. Kolor jej skóry powoli wracał do normy.

Ciemne oczy Henry’ego wpatrywały się w nią z powagą i troską.

– Na szczęście byłem w pobliżu.

– I chyba właśnie uratowałeś mi życie. Dziękuję, gdyby nie ty...

Henry przyglądał się jej w milczeniu.

– A mówiłeś, że nie bywasz na klifach.

– Cóż. Nie co dzień jest mi dane ratowanie panien z opresji. I nic takiego nie mówiłem. Bywam tu właściwie nieustannie. A tak poza tym to powinnaś mieć przyzwoitkę.

– Kogo? – Amanda wybałuszyła na niego oczy.

Henry zdawał się w nie wpatrywać, nie mogąc od nich oderwać wzroku.

– Przyzwoitkę – powtórzył, choć już bez przekonania.

– Dlaczego mówisz jak w teatrze? To jakaś gra? Kręcisz tu film?

Henry szybko uciekł spojrzeniem.

– Moja rola wybawcy właśnie się zakończyła. A teraz się oddalę. – Henry skłonił się z powagą. Wydawał się urażony. – Proszę na siebie uważać.

– Poczekaj. Przepraszam. Nie podziękowałam ci za uratowanie życia.

– Każdy dżentelmen by tak postąpił.

– Tego nie wiem. Nie znam żadnego. Ty jesteś pierwszy.

– Naprawdę?

– Tak. Dziękuję ci, Henry, kimkolwiek jesteś. Ocaliłeś mnie. To głupie z mojej strony, by wchodzić tu ze sztalugą i zachowywać się tak bez troski.

Ale te widoki...

– Tak, są niezwykle. Ten obraz też. – Zerknął na płótno. – Nie wiem, czy uchodzi pannie tu samotnie przebywać, lecz na pewno warto popatrzeć na taki efekt.

Kiedy Henry mówił, Amanda przysłuchiwała się każdemu słowu, które wypowiadał. Nie wyglądał na chorego, obłąkanego czy wariata. Zdawało jej się, że jest zupełnie naturalny w tym, co robi. Zdecydowanie był sobą.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? To znaczy nie widziałam tu nikogo. Sądziłam, że maluję w samotności.

– Akurat przechodziłem w pobliżu.

– Dziwne. Pojawiłeś się tak nagle. Zupełnie jakbyś spadł z nieba – wyznała, nie spuszczać z niego wzroku. Pragnęła go rozgryźć i zatrzymać jego spojrzenie choć na chwilę.

– Mieszkam w pobliżu, wypatrzyłem pannę przez lornetkę. – Henry sięgnął do kieszeni spodni. Stara lornetka w kolorze mosiądzu przypominała teatralną atrapę.

– Obserwowałeś mnie?

– Zawsze panna zadaje tyle pytań?

– Zazwyczaj nie. Ale dziś jest inaczej. Ona naprawdę działa? Wygląda na zabytkową.

– Dlaczego miałyby nie działać? – Henry patrzył na nią ze zdziwieniem.

– Nie wiedziałam, że jeszcze takie można kupić. Mogę przez nią popatrzeć?

– To męska lornetka.

Amanda nie przewidziała takiej odpowiedzi. Męska lornetka, to brzmiało dość osobliwie.

– Chcesz powiedzieć, że kobieta nie może przez nią popatrzeć?

– Tak uważam.

– To jakiś absurd – zaśmiała się w głos.

– Nie dla mnie. Proszę lepiej wracać do domu. Nadciąga mgła, a tu, na klifie, jest ona szczególnie niebezpieczna.

Niebo faktycznie poszarzało i zrobiło się chłodniej.

– Jesteś inny. Nie znałam dotąd nikogo takiego jak ty. – Amanda wyciągnęła rękę w jego stronę, jakby chciała go dotknąć.

– Inny?

– Wyjątkowy. – Jej błękitne oczy wreszcie napotkały jego spojrzenie. Było bardzo wymowne, jakby w milczeniu podziwiał jej urodę. Trwali tak przez chwilę, dopóki grupka głośnych turystów nie zaczęła się do nich zbliżać.

Henry pospiesznie schował lornetkę do kieszeni, a następnie uklonił się Amandzie i ruszył w swoją stronę. Jego strój przypominający stary frak budził niesamowite zainteresowanie nie tylko u Amandy. Mijający go turyści również się za nim oglądali.

– Poczekaj, Henry! Już idziesz?

On jednak nie zareagował.

„Brakuje mu tylko cylindra”, pomyślała, patrząc za nim tak długo, aż zniknął z pola widzenia.

Amanda była nim urzeczona. To spojrzenie. Pełne ciepła i czegoś, co było jak magnes, który zaczynał przyciągać ją do niego. Bolesnie zapragnęła go znowu spotkać. Choć jeden raz. By znowu spojrzął na nią tak jak przed chwilą. Henry jednak zniknął wśród dzikich traw, a nad klifem rzeczywiście zaczynała pojawiać się mgła.

„Naprawdę czas na mnie”. Amanda tym razem musiała nieść i sztalugę, i świeżo namalowany obraz. A po chwili przypomniała sobie, jak Henry powiedział, że mieszka w pobliżu. „To musiało być w kierunku, w którym odszedł”, rozważała, jednak gęstniejąca mgła uniemożliwiła jej dalsze dociekania. Powrotna droga była niełatwa. Henry zjawił się nie wiadomo skąd i nieoczekiwanie zawrócił jej w głowie. Amanda nie była w stanie zapomnieć jego dotyku, gdy wyciągał ją znad przepaści, ani spojrzenia, pod którym mogłaby się niemalże rozpuścić.

„Co się ze mną dzieje? Nie mogę normalnie myśleć...”, wzdychała, rozglądając się wokół. „Skoro nie udajesz, to kim naprawdę jesteś? Henry Oldmannie, skąd się tu wziąłeś? Bo raczej jesteś z innego świata. I jeszcze jedno jest pewne...”, kiwała głową, przytakując własnym myślom. „Masz najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam u chłopaka. Lecz chyba lepiej dla mnie, bym cię więcej nie spotkała”.

Pogoda zmieniała się z minuty na minutę. Wisząca nad klifem mgła szybko rozprzestrzeniała się nad Portrush. Gęstniała, coraz bardziej przysłaniając widok. Amandę dopadł strach. Była na otwartej przestrzeni, gdzie bardzo łatwo zablądzić w taką pogodę. Kilka kroków w niewłaściwym kierunku i można napotkać krawędź klifu. W dodatku była zupełnie sama. Nikt za nią nie szedł, nikt jej nie mijał.

„Uratował mnie, a potem zniknął. Faceci. Niepotrzebnie go tak wypytywałam. Ale czuję, że on skrywa jakąś tajemnicę. Wiem to. Tajemniczy Henry znad klifu. Muszę podpytać o niego Starego Jacka. Naukowiec? Ciekawe, co wynalazł. To najdziwniejszy facet, jakiego w życiu spotkałam. I niestety najprzystojniejszy. *Panno Amando*. Kto dziś tak mówi? NIKT! Dziewczyno, pomyśl. On jest inny. A Jessica chyba niestety miała rację i lepiej daj sobie z nim spokój”.

Szła przed siebie, a myśli nie dawały jej spokoju. Chciała zdążyć, zanim z powodu gęstniejącej mgły zupełnie straci orientację. Ze sztalugą szło jej się coraz ciężiej. Wtedy pojawił się Igor. Natręt, który teraz spadł jej z nieba.

– Ostrzegałem cię. Nie chodź sama na klif. Cud, że z niego nie spadłaś.

– Tak, wielki cud – odszepnęła. – A co ty tu robisz?

– Ratuję ci skórę. Daj, wezmę to coś.

– Sztalugę. Dziękuję ci. Naprawdę zaczynałam się bać.

– Do usług i możesz mi podziękować całusem. – Spojrzał na nią w taki sposób, że Amanda była pewna, iż nie żartuje.

– Przestań. To nie jest śmieszne.

– A kto mówi, że jest?

– Nie pocałuję cię. Zapomnij. I nie podoba mi się twoja gra. O nic cię nie prosiłam.

– Uważasz, że to gra?

– A nie? Wracam do domu. – Amanda ruszyła przed siebie. Była na niego zła. Nie przewidziała jednak, że Igor z wściekłości rzuci sztalugą o ziemię.

– Co robisz?! Oszalałeś? Wiesz, ile za nią zapłaciłam?

– Żałujesz mi jednego całusa?

– Co? Jesteś okropny! Mam cię dość!

Igor zdjął kaptur. Jego twarz była wilgotna od mgły. Podszedł bliżej Amandy, chwycił ją za głowę i przysunął do siebie.

– Sam biorę to, co mi się podoba – odparł, po czym zaczął ją całować.

Amanda nie mogła się wyzwolić z jego silnego uścisku. Szamotała się, lecz nie miała szans.

– Zostaw ją! – Nagle czyjś głos uwolnił ją z niechcianych objęć.

Zaskoczony Igor odsunął się od Amandy i spojrzał na mężczyznę.

– Henry? – Przestraszone spojrzenie dziewczyny nappełniło się nadzieją.

– Kto to? Ty go znasz? – Igor wciąż okazywał złość.

– Zostaw ją, bo będę musiał cię wyzwąć. – Henry miał w oczach coś nieobliczalnego.

– Że co? – Igor zaczął się śmiać.

– Daj spokój, Henry, nie reaguj. Proszę, odprowadź mnie do domu. Tylko tyle...

– Nie zgadzam się. Nigdzie z nim nie pójdziesz. – Igor nie dawał za wygraną.

– Odczep się ode mnie! – krzyknęła Amanda. – Co w ciebie wstąpiło? Ostrzegam, jeśli nie dasz nam spokoju, twoi rodzice dowiedzą się o wszystkim jeszcze dziś. – Pomimo że cała drżała ze strachu, nie dawała tego po sobie poznać.

Igor zbliżył się do niej. Wyglądał agresywnie. Jednak Henry też był szybki. Zaskoczył go. Nagle wyjął spod płaszcza pistolet.

– Odejdź w spokoju. Ta panna ma dość twojego towarzystwa, a ty zaraz możesz mieć dość i mojego.

– Oszalałeś? Każ mu to odłożyć. – Igor przestraszonym wzrokiem patrzył na Amandę.

– Tylko jak sobie pójdiesz.

– Co? Oboje oszaleliście. A ty zachowujesz się tak, jakbyś nigdy się nie całowała. A może po prostu nie umiesz się całować? – Igor nie potrafił odpuścić.

Henry w końcu nie wytrzymał. Miał dość wysłuchiwania tych obraźliwych uwag. Zbliżył się do niego i uderzył tak, że Igor upadł.

– Dobrze ci radzę, nie igraj z losem. Nie jesteś dżentelmenem. Raczej zwykłym łachudrą. Amando, idziemy. – Henry podniósł z ziemi sztalugę i chwycił dziewczynę pod rękę.

Ogłupiały Igor leżał na ziemi i obserwował, jak oboje znikają gdzieś we mgle. Amanda ze zdenerwowania nie mogła dojść do siebie.



Henry, pomimo że jeszcze przed chwilą trzymał w ręku pistolet, teraz wydawał się nad wyraz spokojny.

– On nie jest godzien twoich wdzięków. Zapewniam cię.

– Och, Henry. – Amanda objęła go i zaczęła płakać. – Dlaczego odszedłeś? Szukałam cię. Nie wiem, skąd on się tu wziął. Zjawił się nagle, niby chciał mi pomóc. Nic już z tego nie rozumiem. Co się z nim dzieje?

Na jej ustach pojawiła się krew.

– Zranił cię. Przysięgam, że...

– To nic. Pewnie kiedy próbowałam się uwolnić.

– Nic nie mów. – Henry wyjął z kieszeni białą chusteczkę.

Amanda przyłożyła ją do ust i przy okazji dostrzegła inicjały H.O. wyhaftowane złotą nicią.

– Nie potrafię cię rozgryźć. Takie chusteczki nosiły dawniej panny z dobrych domów.

– Skoro tak twierdzisz, panno Amando.

– Czy możesz mi mówić po prostu Amando? Naprawdę dość dziwnie się czuję z tymi wszystkimi tytułami.

Henry zamilkł.

– Oczywiście. Jak sobie życzysz. Zbliżamy się już do głównej drogi.

– Wybacz mi, Henry. Byłam nieuprzejma. A przecież dziś pomogłeś mi dwukrotnie. Jak ci się odwdzięczę?

– Każdy by tak zrobił na moim miejscu.

– Nie każdy i dobrze o tym wiesz. – Amanda patrzyła na niego w taki sposób, jakby chciała wyczytać o nim całą prawdę. – Powiesz mi, kim jesteś? – Dotknęła jego policzka. Zaskoczony chłopak spojrzał jej głęboko w oczy.

– Kimś, kto uratował twoją cześć i twoje życie. – Henry nieoczekiwanie dotknął jej dłoni. – I niech to spotkanie na tym się zakończy.

– A jeśli ja nie chcę, by się skończyło? – Jej głos drżał. – Daj się choć zaprosić na gorącą herbatę.

– Twoja bezpośredniość, Amando...

– O, widzę, że się szybko uczysz. – Uśmiechnęła się do niego. – Amando – powtórzyła. – W twoich ustach moje imię brzmi tak niebiańsko. Jesteś... tak inny...

Ich spojrzenia krzyżowały się co chwilę. Przyglądali się sobie w milczeniu, jakby słowa były zbędne.

– Zdaje się, że mgła powoli się podnosi. Obyś dotarła do domu bezpiecznie. I proszę, nie wybieraj się więcej sama na klif.

– Poczekaj, Henry. Nie odchodź jeszcze. Powiedz chociaż, gdzie mieszkasz.

– Blisko klifu. Ale nie jestem gościnny. Wybacz mi.

– Spotkamy się jeszcze?

– Amando, ja nie wiem, czy będę mógł.

– Nie wiesz? Przyjdź chociaż na gorącą czekoladę do Starego Jacka.

Jednak Henry nie odpowiedział. Skinął tylko głową. Odwrócił się i szybko oddalił, znikając gdzieś we mgle.

Amanda wyglądała na rozczarowaną. Miała ochotę pobiec za nim i rzucić mu się w ramiona. Pragnęła go poznać. Intrygował ją tak bardzo, że do końca dnia nie umiała znaleźć sobie miejsca ani zasnąć. I miała wielką nadzieję w sercu, że jeszcze go spotka. Był najbardziej fascynującym młodym mężczyzną, jakiego dotąd poznała. Miał w sobie coś, czego nie potrafiła zrozumieć, ale co jednocześnie ją do niego przyciągało. To spojrzenie. Jego siła. I delikatność.

Nazajutrz wypadła jej z kieszeni biała chusteczka. „Kto teraz używa podobnych rzeczy?”, pomyślała. A potem włożyła ją pod poduszkę.

„Ciekawe, kim naprawdę jesteś, Henry, i co ukrywasz...”



Pogoda w Portrush od tamtego dnia zmieniła się na jeszcze gorszą. Wciąż padało, niemal codziennie. Amanda uciekała do antykwariatu w nadziei, że pojawi się tam Henry. Niestety, tak się nie stało.

– Czy Henry często tu przychodzi? – Próbowała dowiedzieć się czegoś od Starego Jacka.

– Ten chłopak od zegarów?

– Tak, właśnie ten.

– Czy coś cię łączy z tym kawalerem? Już o niego pytałaś wcześniej.

– Nie... – Jej twarz nagle się zaróżowiła. – Chcę mu tylko coś oddać.

– Rozumiem. Cóż... niestety nie wiem. To człowiek przedziwny.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Od kiedy ją ocalił, większość jej myśli krążyła wokół niego. Tajemniczego chłopaka z klifu.

– Ale skoro tak bardzo chcesz go spotkać, to pewnie tak się stanie. O ile czas pozwoli...

– O ile czas pozwoli?

– Czas to bezcenna rzecz. Decyduje o wielu sprawach. Nie na darmo mówi się, że ktoś trafił w dane miejsce o właściwym czasie.

– A czy czas może być niewłaściwy?

– Na pewno znasz odpowiedź na to pytanie...

Amanda przypomniała sobie Igora na szlaku. Jego pocałunek, tak nachalny i niechciany. I Henry'ego. Tak bardzo chciałyby poznać smak jego pocałunku. Lecz nie miała nawet pewności, czy go jeszcze kiedyś spotka.

Zamknęła się w domu i próbowała malować. Igor chyba na dobre dał jej spokój, bo więcej się nie pojawił. Jessica również. Amanda zastanawiała się, czy brat powiedział jej o tym, co zaszło. Była pewna, że tego nie zrobił. Tak samo jak była pewna tego, że mógł ze złości wymyślić jakieś kłamstwa na jej temat.



Wiść o chorobie mamy Amandy przyszła niespodziewanie. Kasia zasłała w pracy, a po badaniu krwi okazało się, że ma złe wyniki. W końcu postawiono diagnozę: rak. Ta wiadomość spadła na rodzinę Janasów jak grom z jasnego nieba.

– Ale to niemożliwe. Przecież mama nigdy nie chorowała. – Amanda zanosila się łzami.

– Mnie też trudno w to uwierzyć. W dodatku nie wiem, czy będzie nas stać na leczenie. Nie mamy żadnych oszczędności... – odparł Mirek.

– Ale mama wyzdrowieje, prawda? Powiedz, tato, że tak będzie.

– Jesteś już dorosła, więc nie będę cię okłamywał. To rak żołądka. Rokowania są nie najlepsze. Zrobimy jednak wszystko, by jej pomóc. Wszystko...

– Jest coś takiego jak rak żołądka? – Amanda mówiła przez łyzy.

– Niestety tak.

Ojciec Amandy posiwiiał i postarzał się w kilka dni. Wiadomość o chorobie żony niesamowicie go przytłoczyła. Zaczęło się umawianie wizyt, czekanie i w końcu operacja. Potem leczenie zostało uzupełnione chemioterapią. Od tej pory nikt z rodziny nie funkcjonował normalnie. Amanda jednak nadal pracowała w antykwariacie, to był jej azyl. Ojca w domu prawie nie było. Nie pozwolili jej chodzić do szpitala zbyt często. Mama po chemii była bardzo słaba. Źle się czuła, wymiotowała. Ale wciąż była ukochaną mamą.

– Amando, posłuchaj, chcę, żebyś mnie ogoliła. Zanim włosy same mi wypadną, a ja... ja tak wolę. Tata kupił maszynkę. Zrobisz to dla mnie? – Katarzyna próbowała się uśmiechać.

– Dobrze, mamó. Ponoć te, które odrastają, są jeszcze ładniejsze. Wiem, że tak będzie.

Amanda płakała i goliła mamie włosy. Wiedziała, że tak będzie lepiej, choć było to najtrudniejsze zadanie w jej całym młodym życiu. Jasne pukle włosów spadały na podłogę.

– Jak wyzdrowiejesz, namaluję twój portret. Będiesz na nim piękna, jak zawsze.

– Namaluj go teraz, córeczko. Kto wie, co będzie...

– A co ma być? – Amanda poczuła ból w piersiach. – Wrócisz do zdrowia, mamó. Ludzie wygrywają z rakiem. Nie ty jedna musisz z nim walczyć. Nie pozwolę ci odejść. – Robiła wszystko, by głos, który łamał się w gardle, dał się słyszeć naturalnie.

– Jesteś taka mądra, córeczko. Moja śliczna. Pamiętaj, nigdy nie rezygnuj z marzeń i podążaj za głosem serca, choćby świat ci mówił, że to niedorzeczne. Rób wszystko, byś była szczęśliwa.

– Mówisz tak, jakbyś miała... – W końcu Amanda nie wytrzymała.

– Popłacz sobie. Łzy nie są niczym złym. Oczyszczają nasze emocje. – Sama z trudem je powstrzymywała. – A teraz, proszę, idź do Jessiki. Pytała

o ciebie. Musisz żyć normalnie, Amando.

– Nie chcę! Nie pójdę tam. Jak chce, sama może do mnie przyjść.

– Coś się stało? Dlaczego tak reagujesz? Igor też dawno do nas nie zaglądał. Przez moją chorobę tracę tyle istotnych spraw. Pokłóciliście się?

– Mamo, proszę. Nie mówmy o nim.

– Powiedz mi, Amando, co się dzieje?

– Nic.

– Nie kłam. Znam cię. A więc?

– Jest grubiański. Nie znoszę go.

– Wydawało się, że się lubicie.

– Bo tak było. Ale to już koniec. I o nic więcej mnie nie pytaj.

– Amando... – Mama próbowała czegoś się dowiedzieć, lecz ona wyszła już z pokoju. Wytarła nos, włożyła trampki i zdecydowała, że pojedzie nad ocean.



Minęło kilka dni. Myśli o Henrym dawały Amandzie ukojenie, lecz ten jakby się zapadł pod ziemię. W końcu wpadła na pewien pomysł. Jeszcze przed otwarciem antykwariatu poszła do sklepu pani Bevin i kupiła lornetkę.

– Muszę przez nią świetnie widzieć – mówiła gorączkowo Amanda.

– Zapewniam cię, że ta jest najlepsza. Zobaczysz wszystko, a może i więcej, niż powinnaś – zaśmiała się kobieta. Była korpulentna i rumiana na twarzy. – Dokąd się wybierasz, kochaniutka? Pewnie na klify, co?

– Tak, muszę coś sprawdzić.

– Ubierz się odpowiednio. Wiesz, że pogoda w Portrush nas nie rozpieszcza. A jak się czuje mama? Wybacz, lecz słyszałam to i owo. Tutaj wszyscy się znają.

– Dobrze. Ona wyzdrowieje.

– Oczywiście, że tak. Pozdrów ją ode mnie.

Zaraz po pracy Amanda pojechała na klif. Pogoda była sprzyjająca. Lornetka miała jej pomóc w poszukiwaniach. Pamiętała, jak Henry powiedział, że mieszka w pobliżu klifu. Nie mógł więc rozplątać się w powietrzu. Jednak poza turystami i gęstwiną barwnych traw nie znalazła nic ciekawego.

– To beznadziejne. Gdzie on zniknął? Chyba nie wyjechał. Nie mógłby tak bez pożegnania...

Amanda się nie poddawała. Ruszyła w głąb klifu. Był naprawdę rozległy. Tego dnia niestety nie znalazła Henry'ego. Ani kolejnego. A potem znowu zaczęło padać. To ją dobijało. W taką pogodę nie lubiła ani Portrush, ani całej Irlandii. Lecz nie mogła odpuścić. Nie chciała. Postanowiła poczekać na lepszą aurę. Wtedy pojawił się Igor. Wyglądał jak pies z podkulonym ogonem. Amanda nie chciała z nim rozmawiać, jednak ojciec wpuścił go do domu.

– Cześć. Dawno cię nie widziałem.

Amanda milczała, ignorując go.

– Chciałem cię przeprosić.

– Chciałeś czy przepraszasz? – mówiła do niego, lecz patrzyła przez okno.

– Przepraszam. Zachowałem się jak ostatni drań.

Amanda znowu zamilkła. Była zła i zmęczona.

– Nie chcę o tym więcej mówić. Możesz sobie już iść?

– Będziemy się jeszcze przyjaźnić?

– Przyjaźń to poważna sprawa. My nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Dlaczego?

– Dobrze wiesz. Przyjęłam twoje przeprosiny, ale chcę, byś już sobie poszedł. – Tym razem spojrzała mu prosto w twarz.

– To przez niego? Prawda? – Igor stał z markotną miną.

– O kim mówisz?

- O tym dziwnym gościu z pistoletem. Nikomu o nim nie powiedziałem.
- Ja też nikomu nie powiedziałam o tym, co zrobiłeś, i lepiej niech tak zostanie.
- Powiesz choć, kto to jest?
- Ktoś z manierami, pomógł mi. Uratował mi życie.
- Czy ty w ogóle go znasz? A może to zwykły przestępca?
- Przestępca? Co ty wygadujesz? Zresztą to nie twoja sprawa.
- Ja przynajmniej jestem, jaki jestem. Znasz mnie. A on? A jeśli ten dziwak cię skrzywdzi?
- Henry nie jest dziwakiem. A nawet jeśli mnie skrzywdził, to nie bardziej niż ty... – Spojrzała na niego z wyrzutem.

Igor zacisnął pięści i ze złością opuścił mieszkanie. Amanda nie chciała więcej jego wizyt. Chłopak stał jej się obcy. A na wspomnienie wymuszonego pocałunku robiło jej się niedobrze.



Tydzień później stan Kasi Janas się pogorszył. Tata Amandy odchodził od zmysłów. Ona za to, by przegonić żal i strach, wędrowała samotnie po okolicy. Nawet Stary Jack się o nią martwił.

- Nic nie poradzisz, musisz wierzyć, że wszystko się ułoży – radził, popijając kawę.
- A jeśli się nie ułoży? Jeśli ona odejdzie?
- Wtedy pomyślisz, co dalej. Życie samo da ci wskazówki. Wystarczy się w nie wsłuchiwać. Choć odejście bliskiej osoby nigdy nie jest proste ani bezbolesne. O! – dodał po chwili. – Chyba pojawił się wyczekiwany Henry.

Amanda natychmiast odwróciła się w stronę drzwi. To był on. Henry. W swoim stroju, z bokobrodami i półdługimi, nieco rozwichrzonymi włosami. Na początku zdawał się nie dostrzegać Amandy, jednak po chwili

jego ciemne oczy napotkały jej wyczekujące spojrzenie. Zeszła schodami, by do niego podejść. Jednak on ruszył do sali z zegarami, jakby jej unikał.

– Witaj. Mam wrażenie, że niewystarczająco ci wtedy podziękowałam.

– Przyjąłem podziękowania. Są odpowiednie.

– Powiedz, dlaczego mnie obroniłeś? Dziewczynę, której nawet nie znasz.

– Musiałem ci pomóc. Przyjmij, proszę, moją przyjaźń. – Skłonił się lekko.

– Przyjaźń? – W jej oczach zagościło rozczarowanie. Miała nadzieję usłyszeć coś innego. Coś więcej.

– Nie chcesz jej, Amando?

– Dlaczego już nie panno?

– Przecież nie chciałaś, bym tak mówił. Zmieniłaś zdanie? – Henry zbliżył się do niej. Poczowała delikatny zapach wody kolońskiej. Podobnej używał kiedyś jej dziadek, Franciszek.

– Sama nie wiem – wyszeptwała. Patrzyła na jego twarz, lekki zarost, którego wcześniej nie dostrzegła. – Nikt tak do mnie nie mówił. Może byłoby miło. Z tobą jest tak inaczej. Czuję się jak księżniczka z bajki. Jak panna, o którą ktoś dba i którą ratuje z opresji.

Henry zatrzymał na niej wzrok. I nagle nieoczekiwanie dotknął jej szyi. Białej i gładkiej. Przejechał palcem, jakby ją gładził.

– Jesteś warta tego, by ktoś o ciebie dbał.

Amanda zadrżała z podniecenia. Poczowała, jak krew pulsuje w jej policzkach.

– Dlaczego zawsze znikasz? Szukałam cię. Chciałam porozmawiać. Bałam się, że się już nie pojawisz. Martwiłam się, czy coś ci się nie stało.

– Amando – westchnął – chyba będzie rozsądniej, jeśli więcej się nie spotkamy.

– Ale dlaczego?

– Nie mogę zaoferować ci stałości mojej przyjaźni ani niczego więcej. To zwyczajnie niemożliwe. A panna taka jak ty zasługuje na uznanie i uwagę.

– Uznanie i uwagę? – Parsknęła nerwowo śmiechem. – Skąd jesteś, powiesz mi wreszcie prawdę, Henry? Wiem, że coś ukrywasz, że ukrywasz to, kim naprawdę jesteś.

Henry spowaźniał. Chwycił jej rękę i pocałował ukradkiem.

– Daj sobie ze mną spokój, Amando. Dobrze ci radzę. Rozczarujesz się tylko – odparł, po czym skłonił się szybko i wyszedł.

Amanda miała ochotę pobiec za nim. Dlaczego pojawiał się i znikał? Dlaczego wciąż uciekał? Intrygował ją, kompletnie zauroczył. Był tajemniczy i wiedziała, że z pewnością coś ukrywa. Może skądś uciekł? Może czegoś szukał? Może... Tych przypuszczeń było tak wiele. Za wiele jak dla niej. Dla zwykłej dziewczyny, która zakochiwała się w swoim rycerzu.

„To jakieś szaleństwo. Ale odkryję twój sekret, Henry, odkryję go...”



W poniedziałek odwiedziła ją Jessica. Amanda wpatrywała się bez celu w widok za oknem. Przypuszczała, że przyjaciółka chce porozmawiać, i to poważnie.

– Dawno cię nie widziałam. Nie odzywasz się. Wybierzesz się ze mną nad ocean?

– Nie mogę. Martwię się o mamę.

– Jak ona się czuje?

– Nie za dobrze. Źle to wszystko znosi. Inaczej to sobie wyobrażałam. Boję się o nią. Okropnie się boję. – Amanda nie wytrzymała i rzuciła się w ramiona Jessiki.

– To rak. Tutaj nie da się niczego przewidzieć. Musisz się wygadać... to zawsze pomaga.

– Boję się, Jess. A jeśli ona... jeśli to wszystko nie pomoże i ona umrze? Nie poradzę sobie bez niej.

– Nawet jeśli tak się stanie, to zawsze masz tu przyjaciół. Ja i Igor kochamy cię jak siostrę. Razem damy radę.

– Igor, on... przyjaźń między nami nie wchodzi już w grę. Życie komplikuje wiele spraw.

– Nie życie, tylko ludzie wszystko komplikują. Co tym razem zrobił mój braciszek? Dowiem się wreszcie?

– On chce czegoś więcej, a ja nie mogę mu tego dać. Rozumiesz?

– Tego się domyślałam. Chodzi po domu ponury jak chmura gradowa. Nie przywykł do odmów.

– Co masz na myśli?

– Zawsze dostawał to, czego chciał. Dziewczyny, prezenty, zachcianki... Wiedziałam, że któregoś dnia się natnie. I bardzo dobrze, że ten dzień nastąpił. Bo mój braciszek musi wreszcie dorosnąć i zrozumieć, że życie nie zawsze będzie sypało mu płatki róż pod nogi. Dostał kosza i musi to przetrwać. A ty masz prawo do wyborów i uczuć... A może... już jest jakieś uczucie... – Jessica spojrzała na jej twarz. Promieniała. – Amanda? Mów zaraz, kto to jest.

– Nie powiem. Bo zaraz wszystkim wygadasz.

– Będę milczała jak zaklęta. Obiecuję.

Amanda jednak nie mogła wytrzymać. Trzymała w sercu swój sekret, uczucie, które spędzało jej sen z powiek.

– Tylko nic nie mów.

– No gadaj wreszcie!

– To ten chłopak z klifu. Poznałam go, jest wyjątkowy.

– Co? Ale to dziwak.

– Nie mów tak. To nieprawda. Jest dżentelmenem. Ma szlachetne serce.

– Ale cię wzięło! – Jessica zaśmiała się, nie poznając przyjaciółki.

– Wcale nie. Mówię tylko, że...

– On coś w sobie ma. – Dokończyła za nią. – Wow. To o nim wspomniał Igor w złości.

– Co?

– Powiedział, że masz dziwaka bodyguarda.

– Cały Igor. Właśnie dlatego nigdy z nim nie będę. Jest jego przeciwieństwem. Rozumiesz?

– Ja to rozumiem. Ale on chyba nie. Od kiedy się spotykacie?

– Nie spotykamy się. To znaczy rzadko.

– Rzadko? Coś kręcisz. Mówiłam ci, ten chłopak pojawia się i znika. Tylko nie zniknij razem z nim – zażartowała.

– Niepotrzebnie ci o nim powiedziałam. Chcę go lepiej poznać, ale faktycznie jest nieprzewidywalny. I chyba nie mogę o nim zapomnieć. To okropne...

– Witaj w klubie zakochanych. Podstępne uczucie ta miłość. Więc lepiej uważaj.

– Nie jestem zakochana.

– Jasne. – Jessica westchnęła. – Wyluzuj. To nic złego. Uczucie jak każde inne...

– Ja nie mam szczęścia do właściwego chłopaka. Ale Henry, on jest inny. Wyjątkowy. I ma takie oczy...

– Jakie?

– Cudowne, jakby otulały mnie swym ciepłem.

– Mocno cię wzięło. Na serio.

– Nic z tego nie będzie. On mnie unika. I jest taki tajemniczy.

– Ostrzegałam cię. I uważam, że powinnaś mieć fajniejszego chłopaka. Co właściwie o nim wiesz? Martwię się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Jestem już dużą dziewczynką.

– Właśnie o tym mówię. Jesteś zbyt naiwna. A oni to często wykorzystują. Wiesz... Zaczęłam się spotykać z Aidanem. Uwielbiam go.

Rodzice nic nie wiedzą. Ale ja się chyba zakochałam. I jest mi tak cudownie, ale też się boję.

– Czego?

– Miłości. Tego, co czuję, gdy z nim jestem. Jakbym do niego należała...

– Spałaś już z nim?

Jessica spojrzała na nią, lecz jej twarz wyglądała teraz inaczej. Była odmieniona. Dojrzała, poważniejsza.

– Nie, ale chcę tego. Uważasz, że to za szybko? – spytała, oczekując porady.

– Nie wiem, nie znam się na tym.

– Nie robiłaś tego jeszcze? Ale mówiłaś, że miałaś w Polsce chłopaka.

– Nie spaliśmy ze sobą. Może to przez to mnie zostawił. Nie byłam gotowa.

– I dobrze zrobiłaś. Pomyśl, jak byś się czuła, gdyby po wszystkim cię zostawił. A tak, masz to przed sobą. I masz szansę, że zrobisz to z miłości.

– Ciekawe, jak to jest. To znaczy – na twarzy Amandy pojawił się rumieniec – jak się wtedy czujesz.

– Pewnie jakbyś coś straciła, a z drugiej strony czujesz się doroślejsza. Jakbyś ostatecznie pożegnała dzieciństwo. Bardzo tego pragnę.

– Czy on cię kocha?

– Tego jeszcze nie powiedział. Ale ja jestem w nim po uszy zakochana. Ty na pewno poczekaś na słowa: *Kocham cię*, zanim pójdziesz z kimś do łóżka.

– Kocham cię. To brzmi tak powierzchownie. Ale masz rację. Jestem romantyczką. To fajne, ale i uciążliwe. Lepiej jest chyba twardo stąpać po ziemi. Romantyczki zawsze wyczekują rycerza na białym koniu i życia jak z powieści Jane Austen. A potem dostają obuchem w głowę w zderzeniu z rzeczywistością. To głupie, prawda? – Szczerze się zaśmiała. – To właśnie ja. Rozczarowana romantyczka.

– Nie wiem, czy głupie. Nie jestem aż tak romantyczna. Ale faktycznie się różnimy. Ja bym nie chodziła z chłopakiem z klifu, który ciągle gdzieś znika. Ale... miłość ma różne oblicza. Błagam, tylko uważaj na siebie. Nikt go tu nie zna, bo on zawsze gdzieś przepada. I... dziwacznie się ubiera. Widać ma taki styl.

– Tak, jest bardzo stylowy. Może aż za bardzo. Wiesz, od kiedy tu mieszka?

– Nie mam pojęcia. Ale wiem, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam.

– Kiedy? – Amanda patrzyła na nią wyczekująco.

– Pół roku temu. Chyba nawet niecałe.

– Pół roku? Sądziłam, że jest stąd...

– Oj, ty go chyba wcale nie znasz, Amando. – Jessica uśmiechnęła się do niej ze zdziwieniem. – Lepiej go najpierw rozpracuj. Szczerze mówiąc, to nikt nie wie, skąd ten twój Henry wziął się w Portrush. W ogóle nikt nic o nim nie wie. A tu się wszyscy znają, rozumiesz? Nie uważasz więc, że to dość osobliwe?

Jessica dała Amandzie jeszcze więcej do myślenia. I wtedy dotarło do niej, że faktycznie nic o nim nie wie. Nic poza tym, że był tak inny, szarmancki i pomocny. Czy była gotowa na to, by rozgryzać czyjeś tajemnice? Czy miała do tego prawo? Czy zauroczenie i przyciąganie mogło usprawiedliwiać to, że chciała znowu odszukać Henry'ego? Nie potrafiła sobie na te pytania odpowiedzieć. Ani tej nocy, ani kolejnej... Wiedziała jednak, że nie zdoła o nim zapomnieć, tak po prostu.



Północny wiatr targał trawami porastającymi klif, a pogoda nie sprzyjała planom Henry'ego. Nic im nie sprzyjało. Od kiedy zjawił się w Portrush, wszystko co dnia było trudniejsze.

Henry Oldmann wiedział jedno: musiał wykonać poprawne obliczenia czasu. To, co konstruował, od kiedy tu przybył, wymagało niesamowitej

precyzji. Precyzji godnej naukowca, odkrywcy i matematyka. Ślęczał nad swym dziełem od rana do nocy. Chciał, by wszystko się udało, a jednocześnie wiedział, że jego serce mocniej bije na jej widok. Na widok młodej ósóbki o jasnych jak letnie niebo oczach. Z jakiegoś powodu pragnął się nią opiekować. Bał się o nią. Miała wyjątkową zdolność do pakowania się w kłopoty. A jednak panna ta ujęła go za serce. I choć wiedział, że kiedyś będzie musiał wrócić, to był pewien, że o niej nie zapomni, o jej jasnych włosach oraz spojrzeniu pełnym ciekawości i troski. Pragnął ją chronić z ukrycia, by się nie narzucać. Zdawał sobie sprawę, jak wiele ich dzieli. I co sprawia, że nigdy nie będzie mógł powiedzieć jej tego, co chciałby wyznać. Kto bowiem próbuje oszukać czas, ten zostaje jego więźniem na zawsze.



Trzy tygodnie później leczenie przestało pomagać Kasi Janas. Amanda domyślała się wszystkiego, choć ojciec starał się jej tym nie obarczać. Jednak kiedy lekarz oznajmił mu, że żona musi na razie pozostać w szpitalu i ma się przygotować na najgorsze, musiał powiedzieć o tym córce.

– Nie wierzę w to! Przecież mama czuła się lepiej. – Amanda nerwowo chodziła od ściany do ściany. – Dlaczego właśnie ona musiała zachorować?

– Nie wiem. I zadaję sobie wciąż to samo pytanie co i ty. Może to był błąd, że tu przyjechaliśmy. Sam już nie wiem... Nie wiem nic poza tym, że bez niej nie umiem żyć.

Słowa ojca trafiły Amandę prosto w serce. Bolały i zaogniały już istniejące rany. Opanowało ją przerażenie. I potem w nocy, gdy sen nie nadchodził, rozmyślała, co ojciec miał na myśli. „Bez niej nie umiem żyć...” A ona musiała. Musiała żyć. Właśnie dla niej. Nie miała tutaj nikogo poza rodzicami.

Nazajutrz pojechała do szpitala, ale mogła zobaczyć mamę tylko przez szybę. Chora była tak słaba, że z trudem podniosła rękę, by pomachać

córcie. Amanda zerknęła na nią, nie mogąc powstrzymać płaczu. Była w rozsypce i czuła się samotna jak nigdy wcześniej.

– Nie możesz do niej wejść – tłumaczyli lekarze, kiedy usiłowała się dostać do środka. – Musimy być bardzo ostrożni. Jest za słaba. Każda bakteria może wywołać u niej niepożądaną infekcję...

– Dwie minuty. – Oddziałowa niespodziewanie zaczepiła ją na korytarzu. – Masz ode mnie pozwolenie. Mama ciągle pyta o ciebie. Sądzę, że twój dotyk może jej jedynie pomóc. – Mrugnęła do niej znacząco.

– Dziękuję pani. – Mokre oczy Amandy poczerwieniały od zgryzoty i udręczenia.

– Ale krótko. Jest bardzo słaba. I głowa do góry.

Amanda spojrzała na jej ciemną twarz z wdzięcznością. A ta chwila, kiedy mama uśmiechnęła się na jej widok, była bezcenna.

– Musisz mi coś obiecać – wyszeptwała. Amanda widziała, jak wiele wysiłku ją to kosztuje.

– Tak, mammo?

– Obiecuj mi, że zawsze będziesz dążyła do celu. Nie wolno ci zbyt łatwo rezygnować.

– Nie rezygnuję. Ale wróć do nas, do domu.

– Czuję, że powoli odchodzę... Ale nie boję się...

– Co ty mówisz? Mammo? Nie pozwalasz mi rezygnować, a sama co robisz? Nie wolno ci. Rozumiesz? Nie wolno ci umrzeć.

Wtedy do sali weszła pani ordynator.

– Wystarczy. Mama musi odpocząć.

– Przyjdę jutro.

– Lepiej nie. Najwcześniej za dwa, trzy dni.

– Przyjdę – rzuciła stanowczo. – To moja mama.

Amanda wstała od łóżka i wtedy poczuła delikatne muśnięcie jej palców. Chwyła delikatną dłoń matki i mocno ją ścisnęła.

– Kocham cię, mamó. Odpoczywaj. Jutro znowu przyjdę. – Pocałowała ją w czoło i szybko wyszła na korytarz. Dopiero tutaj wybuchła hamowanym wcześniej płaczem. Ruszyła lawina emocji, których nie kontrolowała.

– Masz chusteczkę. Wypłacz się dobrze. Twoja mama walczy, choć może tego nie widać. – Pani ordynator postąpiła przy niej chwilę, ale zaraz ktoś zawołał ją do sąsiedniej sali.

Amanda nie potrafiła opanować bólu. Ze złością wybiegła ze szpitala. Czuła się oszukana. Oszukana przez życie, które obiecało tak wiele. A w każdym razie nie miało prawa zabierać jej ukochanej matki. Biegła przed siebie, jakby chciała w ten sposób cały ból zostawić za sobą, daleko w tyle. I wtedy zdecydowała, że pobiegnie na klif.

– Dlaczego?! – krzyknęła na całe gardło. – Dlaczego chcesz mi ją zabrać?!

Krzyczała i płakała do utraty tchu. W końcu, wyczerpana tyloma emocjami, osunęła się na ziemię i straciła przytomność.



Mgła opadła na północną część klifu. Prawie nic nie było widać. Północny wiatr wzburzał na oceanie wysokie fale, które z siłą wodospadu rozbijały się o zimne, ostre skały. Amanda wciąż leżała nieprzytomna. Wtedy zjawił się on, wziął ją na ręce i zaniósł w bezpieczne miejsce. Potem z na wpół zamkniętymi oczami pozbawił ją przemoczonego ubrania, by rozgrzać zimne ciało i nakryć je kocem. Napalił w kominku i czekał. Czekał, aż się ocknie. Kiedy po godzinie twarz Amandy delikatnie się zaróżowiła, wiedział już, że dziewczyna wraca do sił.

– Musisz się w końcu obudzić.

Henry czekał kolejną godzinę i jeszcze jedną. Amanda ciężko oddychała. W końcu się ocknęła. Czuła tępy ból głowy i dziwne szumy. Rozejrzała się niespokojnie po drewnianej izbie. Niepewna i przestraszona.

– Henry? Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

– Zemdlałaś na klifie. A ja cię znalazłem. Jesteś u mnie. Można wiedzieć, co robiłaś samotnie w tak niebezpiecznym miejscu? Przecież cię prosiłem.

– Biegłam. Przed siebie. Tyle pamiętam.

– Biegłaś? W taką pogodę nikt rozsądny nie wbiega na klif.

– Moja mama. – Wtedy sobie przypomniała. – Ona jest poważnie chora, a ja nie umiem jej pomóc. Nikt nie umie.

– Dlatego wybrałaś się samotnie na klif? Chciałaś zginąć? – Henry wyglądał na rozgniewanego.

– Nie myślałam o tym w ten sposób.

– To zacznij wreszcie myśleć, Amando. Gdybym cię nie wypatrzył, twoja wysoce neodpowiedzialna wyprawa mogłaby się skończyć tragicznie. A wtedy ja...

Amanda podniosła na niego wzrok.

– Co takiego? Martwiłbyś się o mnie? – spytała cicho, czując, jak krew pulsuje w jej skroniach.

Henry zaczął nerwowo krążyć wokół łóżka, na którym leżała.

– Po prostu nie powinnaś wybierać się samotnie na klif. – Jego ciemne spojrzenie mówiło jednak więcej. Wyrażało troskę i przejęcie. Amanda jeszcze nigdy nie spotkała tak empatycznego i zarazem ekscentrycznego chłopaka.

– Henry? – zagadnęła, wtapiając w niego swój błękit oczu. – Wiem, masz rację. To było nierozsądne. Ale miałam nadzieję, że jeszcze cię spotkam. Nie wiedziałam, co robić.

– Nierozważna. Leż teraz i odpoczywaj. – Jego twarz nagle złagodniała. – Chyba wiem, o co chciałaś zapytać. Jednak nie mogę dać ci słowa na coś więcej. Nawet gdybym chciał. – Obrzucił ją spokojnym, czułym spojrzeniem.

– A chciałbyś?

Henry milczał. Bił się z myślami.

– No tak. Pomogłeś mi, to wystarczy – odparła w końcu rozczarowana. Uczucie do niego, tak gwałtowne, musiało pozostać w ukryciu.

– Powinnam wracać do domu, mój ojciec na pewno się martwi. Nie mam nawet pojęcia, gdzie jestem.

– Nie możesz wracać sama, Amando. Nie wypuszczę cię tak po prostu, by znowu coś ci się stało. Jesteś jeszcze słaba, mocno się uderzyłaś.

– Mam tu zostać? Ale...

– Przynajmniej jeszcze chwilę. Tak będzie bezpieczniej. Ale nigdzie nie zaglądać i niczego nie dotykać. To ważne.

– Trzymasz tu jakiegoś trupa? – zaśmiała się.

– To nie jest temat do żartów dla dobrze wychowanej panny. Proszę, zaczekaj tu na mnie. – Henry rzucił jej nieznoszące sprzeciwu spojrzenie.

Początkowo Amanda uznawała to za kompletny brak poczucia humoru z jego strony. Jednak teraz stwierdziła, że Henry musiał zostać wychowany w bardzo konserwatywnej rodzinie. Próbowwała spełnić jego prośbę i nigdzie nie zaglądać, jednak ściana naprzeciwko łóżka była zakryta ogromną, ciemną płachtą. A to nie dawało jej spokoju. Intrygowało. Henry nagle gdzieś zniknął. Korciło ją, by zerknąć za tajemniczą kotarę.

– Od kiedy tu mieszkasz? – zadała głośno pytanie. Chciała w ten sposób sprawdzić, czy Henry tu jest.

On jednak nie odpowiadał. Amanda podniosła się z łóżka. Odczuwała lekkie zawroty głowy, jednak ciekawość zwyciężyła. Kotara była ciemna i pachniała tajemnicą. Drżącą dłonią Amanda dotknęła grubego, szorstkiego materiału. Zasłona, zawieszona na specjalnych klamrach, przesuwana się bez trudu. Dziewczyna zamachnęła się z całych sił, aż ciemny materiał odkrył to, co tak bardzo pragnęła zobaczyć. Tajemnicę. Dziwaczna maszyna, którą ujrzała, przerosła jej najśmielsze wyobrażenia. Wpatrywała się teraz w coś, co przypominało pradawny wehikuł czasu, jaki zapamiętała z filmu. Czy to było możliwe? Jeśli tak, to wiele spraw, o które od dawna podejrzewała Henry'ego, teraz zaczęło układać się w całość. Podeszła bliżej maszyny. Prawa część była poniszczona, ułamany drążek sterowniczy.

Kiedy Amanda odważyła się dotknąć drzwi ledwo trzymających się zawiasów, Henry nagle wyrósł spod ziemi, szarpiąc ją za ramię. Był mocno poirytowany.

– Co tu robisz?! Prosiłem cię, byś pozostała w łóżku. Miałaś tu nie zaglądać. Prosiłem cię!

Pierwszy raz podniósł na nią głos. I dobrze wiedziała, że miał do tego prawo.

– Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać – wyszeptała. Opanował ją histeryczny strach, że może przez to na zawsze stracić jego przyjaźń.

– Wyjdź stąd, proszę. Będzie lepiej, jak jednak odprowadzę cię do domu.

– Poczekaj... – Amanda spojrzała ponownie na maszynę, a potem na Henry'ego. – Twój dziwny strój jakby z minionej epoki i słowa, których używał mój dziadek, a może nawet pradziadek. I ta dziwna maszyna. Nie mogę w to uwierzyć.

– To nie wierz. Zaufałem ci.

– Ta maszyna... To wehikuł czasu? Choć to niemożliwe, tak bardzo do ciebie pasuje. – Podeszła do niego bliżej i chwyciła za ramię. – Nikt już dziś nie nosi takich bokobrodów. Jesteś odmienny i dziwny, bo nie jesteś stąd. Ta maszyna jest twoja? To ona cię tu sprowadziła? No, odpowiedz mi, Henry, czy się mylę?

– Przestań już. – Próbował ją zniechęcić, lecz Amanda nie dała za wygraną.

– Wszystko zaczyna się składać w całość. I zaczyna mieć sens. Nie jesteś stąd, prawda?

– Czy zawsze nieproszona wtrącasz się w cudze tajemnice? – Henry zmarszczył brwi. – Czy wreszcie przestaniesz?

– Nie, dopóki nie powiesz mi prawdy.

Henry zbliżył się i spojrzał jej ostrzegawczo w oczy. Jego wzrok zdradzał złość i zniecierpliwienie.

– Czyli rozczarujesz się, Amando. A teraz wyjdź stąd, proszę.

– Nie. Najpierw dowiem się prawdy.

Henry obrócił się i ruszył w stronę drzwi. Miał zamiar wyjść z domku, by choć na chwilę ostudzić myśli.

– Czy jesteś podróżnikiem w czasie?

Po tych słowach Henry zatrzymał się, znów odwrócił i rzucił jej pełne niepokoju spojrzenie. Amanda zadrżała.

– Nie dam się tak po prostu stąd przegnać – wyszeptała te słowa w obawie, że ją zgromi. – Najpierw mi odpowiedz, ale szczerze. Obiecuję, że nikomu nie powiem. To pozostanie naszą tajemnicą. Przysięgam.

– Ty naprawdę nigdy nie odpuszczasz? – rzucił ostrym tonem.

– Chcę tylko wiedzieć, kim jesteś. Czy to aż tak wiele?

– A może ja nie chcę nikomu mówić o sobie?

Amanda spojrzała na niego, czując, że naruszyła granice. Że to już koniec.

– Pozbawiasz mnie prywatności. Wpuszczam cię do domu, a ty jednym zdaniem prześwietlasz mnie niczym fala światła.

– Henry, wybacz mi. To przez to, że cię lubię.

– To niedobrze, że odkryłaś prawdę. – Jego twarz spięta, lecz uważna, wyrażała strach. – I jak na tutejszą pannę jesteś wyjątkowo wścibska. Ludzie teraz nie dadzą mi spokoju.

– Ale jak? Jak to możliwe? – Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem i zachwytem zarazem.

– Dla naukowca ciekawego świata wszystko jest możliwe. Jeśli komuś o tym powiesz, nie będziemy mogli się już więcej spotkać. Nie będę już mógł ci pomóc. Nigdy. Rozumiesz, Amando?

– Tak... – Zawahała się. – Ale ja chcę cię jeszcze spotykać.

Ich spojrzenia na chwilę się zatrzymały, przenikając się wzajemną fascynacją.

– A niech to! Nie planowałem tego. Prowadziłem obliczenia i po prostu któregoś dnia zbudowałem tę maszynę. Wierzyłem, że ona coś zmieni. Że zmieni moje życie.

– Jakie obliczenia?

– Czasu – odparł, a wtedy dostrzegła w jego oczach niezwykle podniecenie i wielką pasję. – Czas jest względny, Amando. Pan Albert to odkrył pierwszy.

– Mówisz o Albercie Einsteinie?

– Tak, o tym samym. Miałem okazję go spotkać. To człowiek wybitny.

– Chcesz powiedzieć, że widziałeś Einsteina? Ty?

– Tak. Widziałem go. To on mnie zainspirował. Wiele się od niego nauczyłem.

Amanda z niedowierzaniem kiwała głową.

– Czyli policzyłeś czas i się tu znalazłeś? Tak zwyczajnie?

Henry się zaśmiał.

– Można tak to określić.

– Chyba nie jestem zbyt mądra albo odchodzę od zmysłów... To, co mówisz...

– Przerazam cię. Wiem.

– Sama nie wiem, to niewiarygodne. Przerazające, ale zarazem tak ekscytująco tajemnicze.

– Większość panien, moja Amando, już dawno popukałaby się w głowę albo stąd uciekła, uznając mnie za niebezpiecznego dziwaka. Ty jednak jesteś inna. I wciąż tu jesteś. Choć nie wiem, czy to dobrze.

– Nie przeraża mnie to, co mówisz.

– Mieszasz się w niebezpieczne sprawy. Nie jestem odpowiedni dla ciebie. Uwierz mi. – Henry zbliżył się do niej tak bardzo, że dzieliły ich zaledwie pojedyncze centymetry. Amanda poczuła na twarzy jego ciepło.

– Pozwól, że sama osądzę, czy to dla mnie niebezpieczne.

– Jest w tobie coś, sam nie wiem. Siła i niepokorność. Masz w sobie nadzwyczajną odwagę. Czuję ją. Ale i tak wolałbym, byś odeszła i zapomniała o tym, co tu widziałeś. Zanim wpakujesz się w kolejne kłopoty.

– Nie. Nie chcę.

– Jak cię przekonać?

– Nie przeganiaj mnie, proszę. Opowiedz mi coś więcej. Ja ci wierzę. Nic nie wiem o czasie, poza tym, że trzeba robić wszystko według niego. To on decyduje o tym, kiedy kłaść się spać, wstać, iść do pracy. To on decyduje, kiedy mamy odejść z tego świata. Cały świat jest mu podporządkowany.

– I tu się z tobą nie zgodzę. Czas jest elastyczny i można się w nim przemieszczać. W przód i do tyłu, dzięki zakrzywionej czasoprzestrzeni.

– To nie plastelina. – Amanda parsknęła śmiechem.

– Racja. Ale czas nie zawsze musi być linią prostą. W czasoprzestrzeni powstaje krąg, który może nas zabrać wstecz lub do przodu.

– Wierzysz w to wszystko? Musisz, skoro...

– Byłem w tym kręgu. Byłem w czasoprzestrzeni, Amando. – Henry przenikał ją wzrokiem.

– Dziś mówią na to portal czasu. – Głośno przełknęła ślinę.

– Jak zwał, tak zwał. Problem w tym, że nie mam jak wrócić do moich czasów.

– Do twoich, czyli jakich? Z jakiego czasu przybyłeś, Henry Oldmannie?

– Z początku dwudziestego wieku, z Londynu.

The title 'CZĘŚĆ II' is centered on the page. It is surrounded by several decorative elements: a small asterisk and a dot above the first 'C'; a small asterisk above the second 'C'; a four-pointed star to the left of the first 'C'; a small sunburst below the first 'C'; a large eight-pointed star below the second 'C'; and a small sunburst below the second 'C'.

CZĘŚĆ II

ROZDZIAŁ II

Londyn, początek XX wieku

Jane – jak przystało na młodą, bogatą ziemiankę – od rana jeździła na Dafne, swojej ukochanej klaczy. Dostała ją na ósme urodziny i od tamtej pory stała się prawdziwą amazonką. Ubrana we fraczek i długą spódnicę, pod którą skrywały się krótkie spodnie, trzymała się prosto niczym struna. Jej głowę zdobił kapelusz, a dłonie zamszowe rękawiczki. Kapelusz był mniejszy niż wszystkie pozostałe, jednak stanowił nieodzowną część garderoby każdej damy.

Hyde Park tętnił życiem. Na ławkach odpoczywały damy w długich sukniach z falbanami, kryjące się przed słońcem pod parasolkami. Kapelusze o szerokich rondach zdobione kwiatami dodawały im uroku i gracji. Panowie w cylindrach czytali „The Morning Post” i planowali wieczorne rozrywki. Alejki parkowe wypełniały się spacerowiczami, eleganckimi powozami i rodzinami urządzającymi pikniki.

Jane była śliczną, wysoką brunetką, nic więc dziwnego, że nie mogła się opędzić od adoratorów. Stanowiła wspaniałą partię, a w nadchodzącym sezonie towarzyskim, obfitującym w wystawne bale, miała zamiar ostatecznie wybrać najodpowiedniejszego kandydata na męża. W każdym razie tego pragnęła jej matka, pani Oldmann.

Po południu Jane wybierała się powozem na zakupy na Piccadilly czy Oxford Street. Znajdowały się tam eleganckie domy towarowe, w których uwielbiała godzinami szukać wymarzonej części garderoby. Ta zaledwie osiemnastoletnia młoda kobieta była już całkowicie pewna swojej urody, wartości i tego, że czeka ją wspaniałe, dostatnie życie. Tego samego

pragnęła dla brata Henry'ego, jednak on w przeciwieństwie do siostry był niepokorny wobec planów rodzinnych.

Popołudnie w posiadłości państwa Oldmannów zapowiadało się wytwornie. O siedemnastej na herbatę miała przyjść znajoma matki Jane, pani Claris. Była żoną magnata, a jej córka Emily upatrzyła sobie Henry'ego i rozpowiadała w towarzystwie, że wkrótce się zaręczą. Pani Oldmann nie miała nic przeciw temu, gdyż Emily Taylor stanowiła świetną, wręcz pierwszorzędną partię. I choć nie należała do najurodziwszych panien, to z pewnością do jednych z najbogatszych.

– Moja droga Margaret – zaczęła pani Claris. – Musimy ich wreszcie połączyć. Twój syn i moja córka... Nie sądzisz, że to będzie niezwykle wydarzenie? – Jej mocno upudrowana twarz i tak zdradzała swój wiek.

– Porozmawiam z Henrym. Jest taki... on po prostu chadza własnymi ścieżkami. Ciągle gdzieś znika na całe godziny. I zapewniam cię, że nie biega za pannami, o nie. Nic z tych rzeczy. Choć to może byłoby lepsze.

– Cóż – pani Claris machała wachlarzem na wszystkie strony – jeśli jest tak ambitny jak twój mąż i tak wytrwały, ma szansę zajść wysoko. A charakter? Moja Emily go zmieni. Ona go wprost ubóstwia. Zwłaszcza od tamtego balu, gdy zatańczyli razem.

– Może zatem czas na kolejny bal. – Margaret spojrzała na przyjaciółkę z błyskiem w oku.

– Otwieramy sezon. Przyniosłam właśnie zaproszenie na bal w naszej posiadłości. Za dwa tygodnie. Wasz Henry będzie na nim szczególnie wyczekiwany.

– Och, bal! Jak ja to uwielbiam, moja droga przyjaciółko.

– A zatem wznieśmy toast za nasze rody. Oby Henry długo się nie namyślał. – Pani Taylor zamoczyła usta w słodkim martini. W głowie snuła już wizję ślubu swojej córki z synem Oldmannów.

– Porozmawiam z nim. Musi wreszcie stać się odpowiedzialny i przestać myśleć tylko o sobie. Henry potrzebuje rozsądnej żony, która wybije mu

z głowy dziwne wynalazki. Boję się, że to go kiedyś zgubi, że przepadnie gdzieś wraz z nimi... Poza tym chcę mieć wnuki. Dziedzica.



Henry Oldmann znany był z tego, że „chodził z głową w chmurach”. Ten młody fizyk należał do najzdolniejszych studentów na roku. Nieposłuszny i nieprzewidywalny. Uwielbiany przez swoją matkę i siostrę. Uznawany za ekscentryka i naukowca. Większość czasu przesiadywał w swoim laboratorium, do którego nikt – poza jego kolegami z roku, Johnem i Marcusem – nie zaglądał. W tajemnicy przed wszystkimi badali najnowszą teorię Einsteina.

– Do tej pory sądziliśmy, panowie, że czas to ciągła. Jednak okazało się, że można go podzielić na odcinki. Wyselekcjonować na sekundowe klatki. Każda chwila wynika z wcześniejszej i jeszcze wcześniejszej. Jest konsekwencją tej chwili, która była przed chwilą. Jest jej częścią. Nieodłączną. Zatem...

– Zatem – podjął Henry, wysłuchując opinii Johna – każdą część chwili powinniśmy widzieć. Czyli powinniśmy widzieć też wszystko to, co się wydarzyło.

– Lub wydarzy. – Marcus aż poczerwieniał z podniecenia.

– Jeśli to prawda, panowie, to powinniśmy widzieć każde miejsce i chwilę w przestrzeni. Jak nieskończony łańcuch zdarzeń. Jesteśmy tu i teraz. My w naszej tajnej pracowni. Ale równocześnie w tej samej chwili na całym świecie ludzie robią setki innych rzeczy. Te równoczesne wydarzenia na całym świecie to terażniejszość. To jakby zrobić wycinek terażniejszości, ale gdy uwzględnimy ruch, nic już nie jest oczywiste. On zmienił wszystko. Będąc w ruchu, wszystko widzi się z innej perspektywy. Również czasoprzestrzeń. – Henry promieniał. – Zatem moi panowie... nasze badania mają wreszcie sens. Czas jest jak rzeka. W różnych miejscach płynie z różną prędkością. I to jest nasza szansa.

- Czas dokonać prawdziwej próby. – Oczy Johna świeciły jak gwiazdy.
- Wprowadzę nasze pomiary do maszyny – stwierdził Henry podnieconym głosem. – Z moich obliczeń wynika, że dziura w czasie otworzy się za czternaście dni. I chyba wiem, gdzie to będzie. Musimy tam przenieść maszynę. I to będzie prawdziwe wyzwanie.
- Przenieść? Henry, to niemożliwe. Każdy ją zobaczy.
- Nie mamy wyjścia. Inaczej nic z tego nie będzie. Tylko w jednym miejscu w Londynie czas przyspiesza.
- Gdzie? – Marcus i John wpatrywali się w Henry’ego.
- Zauważyłem to, kiedy szedłem wczoraj do teatru. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Jakbym trwał w czymś, co się nie działo naprawdę. Jakbym wszedł do wielkiej szklanej kuli... Ludzie nie szli, oni przyspieszali w sposób niekontrolowany. Ci, którzy byli dalej, spowalniali. A ja stałem pośrodku i obserwowałem, co się dzieje. Wciąż mam to przed oczami...
- Gdzie to widziałeś, Henry? No mów!
- To jest nasz tunel w czasie, panowie. Tam, gdzie krzyżuje się wiele dróg. Na Trafalgar Square...



Nazajutrz Jane usłyszała od matki wiadomość o balu. Skakała z radości zachwycona. Oczywiście snuła już wizję pięknej balowej sukni, która zachwyci całe męskie grono londyńczyków. Pragnęła dostatniego życia w bogactwie, nie trując się zbytnio codziennością. Jedynym życiowym wysiłkiem była dla niej jazda konna, której wymagano od niej od dzieciństwa. Przyjemnością były spotkania towarzyskie, ploteczki i flirtowanie z dobrze urodzonymi młodzieńcami. A nade wszystko wytworne bale. Pani Margaret Oldmann miała natomiast niespełna dwa tygodnie, by przekonać syna do ożenku.

- Emily Taylor to wspaniała partia, Henry. Najlepsza w całym Londynie. Chcemy z ojcem, byś towarzyszył jej na balu w posiadłości jej rodziców

i się jej oświadczył.

– Co? Nie chcę się żenić, to nie dla mnie. – Henry uniósł się gniewem.

– Twoja matka ma rację, synu. Czas się ustatkować. Znikasz gdzieś na całe dni. Skończyłeś szkoły. Powinieneś dążyć do założenia rodziny, musisz pomyśleć o rodzie – przekonywał ojciec, który od zawsze był surowy i zasadniczy.

– Rozumiem, ojczy, że to przesądzone. – Henry wpatrywał się w ogień tańczący wesoło w kamiennym kominku.

– Takie jest nasze życzenie. Moje i twojej matki.

– A jeśli odmówię?

– Skończą się twoje badania. Obetnę ci fundusze. Zabronię tych dziwacznych znajomości z...

– To moi przyjaciele!

– Nie tym tonem, synu.

– Mam dość waszego decydowania o moim życiu. Emily Taylor? Nie kocham jej. W ogóle nic do niej nie czuję. Sam się z nią ożeń!

– Dość tego, Henry! – Pani Margaret aż wstała z fotela. – Pójdiesz na bal i będziesz tańczył z Emily. A potem się jej oświadczysz. Ja też wyszłam za mąż po decyzji rodziny. Byłam posłuszna z szacunku do nich. Bo tak należy. A teraz ty tak zrobisz!

– Ale...

– To postanowione.

– Jane też już wybraliście męża? – Henry nie rezygnował.

– Tak. I ona go poślubi, bo pragnie dostatku i bezpieczeństwa. Zrozum, synu, my nie będziemy wiecznie żyć. Emily Taylor pochodzi z magnackiej rodziny i pragnie cię poślubić. Będziesz miał zapewnioną przyszłość.

– Nie obchodzi mnie to – odparł, wiedząc już, że jedyną ucieczką jest dla niego machina czasu. Ukochana, którą sam stworzył. Nie mógł się pomylić. Nie mógł stracić tej jedynej szansy. Inaczej przegra życie i stanie się jak jego własny ojciec.

– Lepiej to sobie przemyśl. Jesteś moim jedynym synem. Jane to młoda kobietka zakochana w sukniach balowych. Ma pstro w głowie. I zrobi, co jej matka każe. – Ojciec palił fajkę i patrzył na Henry’ego z nadzieją.

– Moja córka nie jest głupia, a chyba to, mój drogi, właśnie sugerujesz. – Pani Oldmann się obruszyła.

– Margaret, moja droga, wiem, o czym mówię.

Margaret spuściła głowę, choć najwyraźniej miała ochotę coś jeszcze dodać.

– Dobrze, ojcze. Pomyślę o tym. I podejmę jedyną właściwą decyzję.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, synu. – Pan Oldmann się rozchmurzył. – My, mężczyźni – dodał, szepcząc, kiedy podszedł do Henry’ego – musimy podejmować twarde, przyszłościowe decyzje. Kobiety stoją obok nas, bo tak musi już być. I Emily Taylor będzie właśnie taką żoną. Ona cię kocha. Szaleje za tobą, tak mówi twoja matka. – Chrząknął. – Zatem sam widzisz, że wszystko świetnie rokuje. A potem... – nachylił się nad nim, gdy pani Oldmann wpatrywała się w okno – znajdziesz sobie śliczną, dyskretną kochankę i będziesz zadowolony. Wszystko się ułoży, synu.

Henry zaniemówił.

– Twoje rady, ojcze. Czy ty tak właśnie postąpiłeś?

– Nie, ależ skąd. – Poczzerwieniał. – Przedstawiam ci tylko perspektywy. Twoja matka podobała mi się od samego początku. I nie wahałem się nigdy. Nigdy – powtórzył.

– Zatem jesteś szczęśliwcem, ojcze. – W oczach Henry’ego krył się smutek pomieszany ze strachem. Wiedział już, że nie ma wyboru, że decyzja już zapadła.

Kolejne dni Henry spędził w swoim laboratorium. Los zdecydował za niego, nie pozostawiając wyboru. Mimo to Henry nie dowierzał, że jego własny ojciec chciał zmusić go do ślubu. W każdym razie miał nadzieję, że tego uniknie, że we własnym domu nie spotka go podobny zawód. Emily Taylor nie była w jego typie. Nie miała niczego, czym mogłaby go skusić.

Poza tym nie interesowały go proste schematy, zależało mu na czymś więcej... Pragnął badać, liczyć, poznawać tajemnice świata. Łamać reguły. Był outsiderem w wielkim mieście pełnym uprzedzeń i twardych zasad.



Jane była zachwycona, gdy usłyszała o planach matki i pani Oldmann.

– Wychodzisz, Henry? – Jane promieniała, kiedy kolejnego poranka spotkała go na korytarzu. – I pomyśleć, że mój samotnicki brat będzie się żenił. Swoją drogą, będę miała bogatą bratową.

– Przestań wreszcie! Czy pieniądze są jedyną miarą twego życia? – Henry prawie zasyczał ze złości.

Przerażona Jane odsunęła się w tył korytarza.

– Nie. Ale kocham takie życie. A ty nie?

– Nie. I lepiej już nic nie mów, kochana siostró.

– Henry, co się dzieje?

– Nic – uciął ostro. – Obiecuj mi, że choć ty będziesz szczęśliwa.

– Jestem szczęśliwa, Henry. Powiedz mi lepiej, co naprawdę planujesz zrobić.

– Nie wiem, o czym mówisz... – Spojrzał na siostrę gniewnie. – Zajmij się lepiej swoimi sprawami.

– Nie rozmawiaj tak ze mną. Kocham cię, Henry. Ale wiem, że nie jesteś taki jak ja. Nigdy nie byłeś. Nie ugniesz się. Czułam, że tak się stanie, lecz milczałam. I co masz zamiar teraz zrobić?

– O czym mówisz?

– To błąd. Bawisz się w coś, co cię przerasta. Boję się o ciebie, bracie.

Zaskoczony Henry wtopił w nią wzrok. Jego twarz nagle jakby złodowaciała. Chwycił Jane mocno za rękę, aż poczuła ból, i odciągnął w kąt korytarza.

– Mów zaraz, co wiesz. No? Śledzisz mnie? Podśłuchujesz? Mów zaraz!

- Puść, to boli. Oszalałeś?
- No słucham. Inaczej cię nie puszczę.
- Postradałeś zmysły! Puść mnie!
- Czekam... – Henry poluzował uścisk.
- Usłyszałam przypadkiem o twojej maszynie. Nie gniewaj się na mnie. Dokąd się chcesz wybrać? No powiedz, proszę.
- To tylko żarty. Czy mógłbym wsiąść w jakąś maszynę i na przykład zniknąć?
- Nie wiem, ty mi powiedz. – Jane patrzyła na niego przenikliwie; jak kobieta, a nie trzpiotka, za którą dotąd ją miał.
- Kocham cię, siostrzyczko. – Henry dotknął jej ciepłych policzków. – Biegnij szykować się na bal, bo dziś wszyscy kawalerowie będą się bić o twe wdzięki.
- Obiecujesz mi, że cokolwiek zrobisz, to wrócisz? Że mnie nie zostawisz?
- Myślałem, że cię irytuję, że jestem bratem dziwakiem.
- Tylko trochę. Ale kocham cię, braciszku. – Jane nieoczekiwanie dotknęła jego policzka. – Może będzie lepiej, jeśli poszukasz miłości na własną rękę.
- I ty to mówisz?
- Sądzisz, że skoro zakładam te wszystkie długie, welurowe suknie i pokornie kiwam głową, to nie mam uczuć? Chcę się prawdziwie zakochać, jak ty.
- Nie szukam miłości.
- Bo nie znalazłeś jeszcze jej uroku ani potęgi.
- To ckliwe opowiastki. Nie mam na nie czasu.
- Jak sobie chcesz. Obiecay mi jednak coś.
- Tak?
- Wrócisz i opowiesz mi, jak tam było.
- Nie wiem, o czym mówisz, Jane...

– Ty już dobrze wiesz. – Pocałowała brata w policzek, po czym oddaliła się do swego salonu.

Henry przyglądał się, jak jego młodsza siostra odchodzi. Nie była już kobietką. Stała się kobietą i zdziwił się, jak mógł dotąd tego nie dostrzec. Mała Jane poznała jego tajemnicę.



Londyn był nowoczesną metropolią, w której magnacki przepych mieszał się z biedotą ze slumsów. Tysiące osób przybywających do tego miasta za lepszym życiem było pozostawionych na pastę nędznego losu. Robotnicy zatrudniani w fabrykach napędzali przemysł, ale żyli w ubóstwie, w źle zbudowanych domach. Pracodawca miał prawo do zwolnień, kiedy mu się podobało. Gdy rodzina popadła w biedę, była zdana tylko na siebie. W slumsowych uliczkach dzieci sprzedawały skradzione łupy, a pucybut starał się zarobić na chleb. Zdarzało się, że rodzice oddawali swe pociechy do pracy za kilka szylingów, a młode kobiety z braku wyboru stawały się prostytutkami. Magnacki Londyn, nie radząc sobie ze wszystkimi bolączkami, skrzętnie to ukrywał. W dodatku ulice East Endu i straż obywatelska wciąż pamiętały okrutne morderstwa Kuby Rozpruwacza. Tutaj nikt nie był bezpieczny.

Henry dobrze o tym wiedział. W przeciwieństwie do swojej rodziny zwiedził Londyn wszcz i wzdłuż. Widział przewoźników ciężko pracujących na Tamizie. Zawsze kupował kwiaty od ulicznych kwiaciarek. Bolało go to, co dostrzegał – cierpienie i bieda innych. Jednak te tematy w domu Oldmannów nigdy nie były poruszane; w przeciwieństwie do spraw towarzyskich, takich jak bal u Taylorów, o którym dyskutowano z dużym zaangażowaniem praktycznie bez przerwy. Mimo to dzień balu przyszedł szybciej, niż mogło się wydawać.

Henry wpatrywał się w widok za oknem. Wiedział, że dziś spędza być może ostatnie chwile w Londynie, w domu. I zapewne wkrótce zostanie

wykluczony przez rodzinę, jeśli jego diabelski plan się powiedzie.

Tymczasem Jane od popołudnia ubierała się w gorset z metalowymi fiszbinami, który został uszyty z siedmiu warstw materiału i miał idealnie wyrzeźbić jej talię. Jane ledwo w nim oddychała. Potem włożyła jedwabne pończochy, pantalone, halkę, a na końcu suknię z dodatkowym gorsetem.

Na balach pokazywały się panny, które chciały się wydać za mąż. Pragnęły jak najlepiej się zaprezentować i znaleźć odpowiedniego kandydata. Jane wiedziała, że na balu nie może jeść i że chwilami będzie miała ochotę zrzucić z siebie suknię; że będzie marzyła o pozbyciu się makijażu oraz ciężkich ozdób z włosów. Henry natomiast musiał zaledwie wcisnąć się we frak, podobnie jak jego ojciec.

Nastał wieczór. Okazała rezydencja Taylorów oświetlona lampami wyglądała naprawdę imponująco. Podjeżdżały karety zaprzężone w cztery konie. Jedna za drugą. Z każdego powozu wychodziły damy ubrane w piękne, szerokie suknie, w długich rękawiczkach i z kwiatami we włosach. Sala balowa z wielkimi oknami i złoceniami na ścianach zapierała dech w piersiach, po pół godzinie wypełniła się gośćmi. Wkrótce zaczęła grać orkiestra, a panny, które miały wpisane do karnecików chętnych do tańca kawalerów, wyczekiwały ich z niecierpliwością. Czekala też Emily Taylor, która rozglądała się za Henrym Oldmannem.

– Oldmannowie jeszcze nie dotarli? – dopytywała niecierpliwie lokaja.

– Nie przypominam sobie, panienko, bym ich witał w drzwiach. Najwidoczniej się spóźnią.

– Coś takiego... – Pokiwała z niezadowoleniem głową.

Totalnie zauroczona młodym Oldmannem była gotowa stać przy drzwiach, by tylko go ujrzeć. Rozpowiedziała już w całym towarzystwie, że są po słowie, co nie było przecież prawdą. Pakt zawarły jej matka wraz z panią Oldmann, jednak Henry na razie się nie oświadczył i nie pojawiał na balu. Emily zaczynała się obawiać o własną reputację, ale nie brała pod uwagę innego męża niż on.

W końcu pojawili się i Oldmannowie. Do tej pory nigdy się nie spóźniali, jednak Henry wrócił do domu za późno. Ojciec był na niego wściekły,

a jeszcze bardziej siostra, która denerwowała się, że rozdano już pannom wszystkie kotyliony.

– Przez ciebie nikt nie poprosi mnie do tańca. Nie wypada się spóźnić na tak znamienity bal!

– Jak zwykle przesadzasz. Czy kiedyś narzekałaś na brak adoratorów? – Henry uśmiechnął się do niej bez przekonania.

– Już dobrze. I tak co ma być, to będzie... – westchnęła, wpatrując się w jego zamyśloną twarz.

– Tylko nie próbuj swoich numerów. – Pan Oldmann wyraźnie ostrzegął syna. – Nie życzę sobie żadnych incydentów. I pamiętaj, o czym rozmawialiśmy. Liczę, że wywiązesz się z obowiązku.

Henry milczał. Ojciec nie lubił, gdy mu nie odpowiadano, jednak wchodzili już na salę balową i ostatecznie zrezygnował z kolejnych upomnień syna. Bal już się rozpoczął. W głównej sali tańczyły pierwsze pary. W pozostałych salonach odbywały się towarzyskie dyskusje. Damy poprawiały toaletę, a młodzieńcy rozglądali się za ładnymi pannami. Emily Taylor pierwsza spostrzegła Oldmannów. Matka powstrzymała ją przed kompromitacją, bo córka natychmiast chciała do nich podbiec.

– Opanuj się. Nie zapominaj, kim jesteś – upominała córkę. – Nie tak cię wychowałam.

Po przywitaniu z Taylorami Jane wreszcie pojawiła się w sali balowej. Od razu pojawił się wokół niej sznurek wielbicieli. Musiała obiecywać kawalerom, kiedy z którym zatańczy. Henry uśmiechał się na ten widok. Widział, że jego siostra jest szczęśliwa i promienieje. Była stworzona do takich spotkań towarzyskich – w przeciwieństwie do niego. On wyraźnie się męczył. Ukradkiem spoglądał na zegarek ukryty pod kamizelką. Do północy było jeszcze ponad trzy godziny, nie mógł się spóźnić. Emily Taylor nie opuszczała go na krok, a jej matka stwarzała okazję do ich wspólnych tańców.

– Jesteś, panie, dziś taki milczący. Czy to wypada? Mając u boku kobietę swego życia? – Emily tańczyła lekko i z gracją, jednak Henry nie lubił tańczyć.

– O jakiej kobiecie mówisz, pani? – drwił, usiłując wszystko przeciągnąć.

Partnerka aż przystanęła, a na jej twarzy pojawiło się z wątpienie.

– Jak to? Czyż nasze matki nie ustaliły naszego związku? Jak możesz tak ze mnie dworować, Henry?

– Jestem kiepskim tancerzem i nie miałem zamiaru cię obrazić, Emily. Nie będę też dobrym mężem, uwierz mi. Jest tu tylu zacnych kawalerów gotowych przetańczyć z tobą całą noc i zapewne życie.

– Ty odmawiasz czy droczysz się ze mną?

Henry przetańczył z Emily ponad dwie godziny. Jednak w końcu zrobiło się na tyle późno, że musiał opuścić bal, jeśli miał zdążyć do północy na Trafalgar Square. Pod pozorem wyjścia na powietrze Henry skłonił się pannie Emily, która została na sali z miną bliską płaczu.

– Henry? Już czas, prawda? – Dłoń Jane musnęła nagle jego policzek. – Pamiętaj, co mi obiecałeś, braciszku.

– Dlaczego nie tańczysz?

– John Claver właśnie mi się oświadczył. Kręci mi się od tego w głowie. I nie wiem, co mu odpowiedzieć.

– Kochasz go?

– Jest wystarczająco bogaty, Henry.

– Pytałem, czy go kochasz.

– Nie wiem, nie znam go.

– Więc nie wychodź za kogoś, kogo nie znasz. Nie popełnij głupstwa. Muszę już iść, ale będę o tobie myślał.

– Wrócisz tu? Prawda?

– Oczywiście, że wrócę. Życz mi powodzenia, Jane.

Siostra rzuciła mu się na szyję. A potem spojrzała głęboko w oczy.

– Nie zostawiaj mnie samej. Zabierz mnie ze sobą!

– Nie mogę. Ale wrócę. Obiecuję, siostrze. Będę tańczył na twym ślubie.

Henry pocałował dłoń siostry i zbiegł schodami. W tym czasie pojawili się Emily, pani Oldmann i jej mąż.

– Gdzie jest Henry? Czy on stąd właśnie wybiega? – Pani Oldmann wyteęzała wzrok za synem.

– Spokojnie, mamó. – Jane chwyciła matkę pod ramię. – Henry źle się poczuł. Zbyt wiele tańca potrafi człowieka osłabić. – Ostatnie jej słowa skierowane były w stronę Emily. Ta ze złości otworzyła swój wachlarz, udając, że jej duszno. – Wracajcie na salę, Henry tu jeszcze wróci – dodała Jane z rozrzewnieniem w głosie. Zawsze grała posłuszną córkę, lecz teraz najchętniej uciekłaby z bratem gdzieś daleko stąd.

Henry tymczasem wybiegł przed posiadłość. Miał niewiele czasu, by dotrzeć na miejsce. Czekające na gości powozy były jedyną nadzieją. Stangreci poszli odpocząć, więc młodzieniec wskoczył na powóz i chwycił za lejce. Konie głośno zarżały. Henry był świetnym jeźdźcem, istniała więc szansa, że poradzi sobie i z powozem zaprzężonym w cztery konie.



Na Trafalgar Square było już pusto. Między lwami pilnującymi kolumny Nelsona a fontannami zdobiącymi plac czekali już na niego przyjaciele. Jego machina również. Henry gnał co sił i dotarł punktualnie, choć już wiedział, że kierowanie powozem zaprzężonym w cztery konie lepiej zostawić stangretowi. Pojazd z trudem udało się zatrzymać.

– Już się obawialiśmy, że nie zdążysz. Przyszła pani Oldmann nie dała ci wytchnienia? – żartowali z niego przyjaciele.

– Nie mam zamiaru się żenić. Na pewno nie z nią. Ile czasu zostało?

– Zaledwie dziesięć minut. Jesteś pewien, Henry, tego, co chcesz zrobić? Wiesz, jak bardzo ryzykujesz? – dopytywał Marcus.

Henry jednak już siedział w wehikule.

– Wiem, ale pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego. Bez was nie dałbym rady, a ta próba nie byłaby możliwa.

– A jeśli się rozbijesz? Jeśli utkniesz gdzieś w czasie?

– To ja ryzykuję. Muszę w końcu sprawdzić, czy nasze badania miały sens.

– Kiedy wrócisz, Henry? – John, jego najbliższy przyjaciel, był najbardziej przejęty.

– Za jakieś pół roku. O ile wszystko pójdzie zgodnie z planem. Nie żegnam się z wami, panowie, bo wiem, że jeszcze się zobaczymy.

– Wiesz, że wtedy wiele się tutaj zmieni?

– Na to liczę! – krzyknął, odpalając maszynę.

Przyjaciele odeszli na bok. Zegar leniwie zaczął wybijać północ. A wtedy Henry nagle dostrzegł, jak ich ciała w ruchu to przyspieszają, to zwalniają.

– Już czas... – wyszeptał, zapinając pasy.

Wehikuł odpalił, a Henry wraz z nim zniknął w wielkiej łunie światła.

ROZDZIAŁ III

Irlandia, Portrush, współcześnie

Niebo nad klifem pojaśniało. Nazajutrz Amanda czuła się już lepiej, lecz nie chciała wracać do domu. Obserwowała, jak Henry szykuje dla niej i dla siebie owsiankę.

– Chcę tu zostać, z tobą. Na klifie.

– Jedz. – Henry podał jej talerz. – A potem odprowadzę cię do domu, zanim policja zapuka do moich drzwi.

– Chcesz się mnie pozbyć?

– Musisz wrócić, Amando. Siedzenie tutaj niczego nie zmieni.

– Przy tobie nie myślę o problemach. Nie chcę wracać. Boję się.

– Posłuchaj – Henry usiadł przy niej blisko, bliżej, niż mogła się spodziewać – jeśli tu zostaniesz, moje życie, wszystko, co tu mam, przepadnie. Rozumiesz?

– To jedyny powód, dla którego mam sobie pójść?

– Jedyny. Uwierz mi. Nie chcę cię ranić i dawać obietnic. Stało się. Odkryłaś moją tajemnicę. Ale nie mogę narażać cię na więcej. Będę musiał kiedyś wrócić do Londynu, Amando. To pewne. Obiecałem to mojej siostrze. Zostawiłem tam wiele niezakończonych spraw.

– Zabierzesz mnie ze sobą?

– Co? To niemożliwe, skąd taki pomysł?

Amanda zamilkła.

– Nie znałem dotąd tak upartej panny. Ani tak wyjątkowej.

– Bardzo cię lubię, Henry Oldmannie. I nie wiem, skąd biorę odwagę, by ci to wyznać. – Amanda zbliżyła do niego swoją twarz. Pragnęła poczuć

jego bliskość.

– Poczekaj. – Przytrzymał jej ramiona. – Wiesz, co mówisz?

Amanda czuła, jak jej policzki zaczynają pulsować, a serce szamocze się jak głupie.

– Nie boję się tego, kim jesteś i skąd przybyłeś. I naprawdę bardzo...

– Tak?

Amanda na moment zamilkła. Chciała powiedzieć mu, że oszalała na jego punkcie, lecz wiedziała, że to nie wypada. Nie chciała mu się narzucać.

– Posłuchaj, Amando. Nie możesz się mnie trzymać, a ja nie mogę cię zabrać do moich czasów. To niemożliwe.

– Dlaczego nie?

– Naprawdę interesuje cię ktoś, kto sam nie wie, dokąd go za chwilę poniesie? Podróżuję w czasie. Czy to naprawdę cię nie przeraża?

– Przecież nadal tu jestem. Nie odeszłam. Nie wyśmiałam cię. Próbuję to wszystko zrozumieć. – Nie rezygnowała.

– To naprawdę niebezpieczne. I nie mogę obiecać ci niczego. Niczego pewnego, Amando.

– A gdybyś mógł, to co byś mi obiecał? Czy jestem dla ciebie choć trochę ważna? Czy pasowałabym do twojej epoki?

Henry wpatrywał się w jej smutne, błękitne oczy. Przypominały mu odcieniem polne chabry mieniące się w słońcu na łące.

– Jesteś inna, jak ja. I chyba równie szalona, skoro to, co odkryłaś, cię nie przeraża. Nie mogę jednak zabrać cię ze sobą, choćbym nawet bardzo chciał.

– Ale dlaczego? Nauczę się chodzić w długich sukniach. Nauczę się tych wszystkich manier, jazdy konnej, stanę się damą.

– Amando, na litość boską!

– No co?

– Naprawdę nic nie rozumiesz?

Amanda wpatrywała się w niego w milczeniu.

– Nie narażę cię na to, bo cię kocham! – krzyknął, wyznając nagle swe uczucia. – Od dawna cię obserwowałem. Śledziłem twoje nierozsądne poczynania. Podziwiam twą urodę. Ale to nie jest możliwe, rozumiesz? Nie jest możliwe – powtórzył, a jego twarz momentalnie poczerwieniała.

Oczy Amandy zabłyśły. Henry spuścił wzrok, jednak ona nie zrezygnowała. Podeszła do niego i ujęła dłońmi jego twarz.

– Ale... ja też cię kocham – wyznała drżącym głosem. – Szaleję za tobą, Henry Oldmannie, od kiedy cię ujrzałam na klifie. I błagam, nie mów mi, że to jest niemożliwe – szepnęła, zbliżając swoją twarz do jego twarzy.

Wtedy objął ją i przytulił. Zaskoczony własnym wyznaniem, którego nigdy nie miała usłyszeć, wreszcie odetchnął. Wtopił w nią swój ciepły wzrok.

– Marzyłem o tobie, od kiedy cię ujrzałem. Ale musiałem trzymać się z daleka. Dla twego dobra. Nie chciałem zaczynać czegoś, co...

– Nie mów tyle i pocałuj mnie wreszcie – szepnęła, nie poznając samej siebie.

Henry nachylił się nad nią, obejmując dłońmi jej twarz. Jakby się bał, że zniknie lub ucieknie. Ale ona pragnęła tylko być z nim i poczuć wreszcie jego smak. Wydawał się nieśmiały w tym, co robił. Wtedy Amanda pocałowała go pierwsza.

– Trzymam cię w objęciach. Nikt jeszcze nie podobał mi się tak jak ty, Amando Janas.

– O, nawet wiesz, jak się nazywam.

– Jeśli się kogoś obserwuje, zazwyczaj wie się takie rzeczy.

– Od dawna to robiłeś?

– Któregoś dnia ujrzałem na plaży jasnowłosą dziewczynę. Była piękna i zerknęła w moją stronę. Robiła to mało dyskretnie. – Uśmiechnął się. – Lecz od tamtego dnia nie potrafiłem przestać o niej myśleć.

W oczach Amandy pojawiło się wzruszenie.

– Och, Henry, a ja sądziłam, że w ogóle mnie nie dostrzegasz. Że jestem dla ciebie tylko dziewczyną, która podaje kawę u Starego Jacka.

Amanda wtuliła się w jego ramiona.

– Co ty ze mną robisz? – Jego oczy przenikały ją podnieceniem i niezwykłą ekscytacją.

– Nie wiem. – Głośno przełknęła ślinę. – Chyba pokochałam pewnego dziwaka z klifu.

– Chyba? – Zmarszczył przekornie czoło.

– Tak mi się zdaje, bo nie potrafię mu się oprzeć. I boję się, że za chwilę utonę w jego oczach.

– Nie pozwolę ci utonąć. Nigdy.

– Mam wrażenie, że czekałeś tu na mnie od wieków. Sprawiasz, że wstawanie rano ma sens. Że każda chwila ma sens.

– Czekałem. I wiem, że przy tobie wszystko staje się inne. Nawet pragnienia, marzenia, to, co czuję. Ja jestem inny. Wyznam ci, że wcześniej doprowadzałaś mnie do szału ciągłym wplątywaniem się w kłopoty. Ale w gruncie rzeczy jestem podobny do ciebie, Amando. Dlatego cię dostrzegłem. A ty mnie.

– I co teraz z nami będzie? Boję się, że nagle znikniesz i już więcej cię nie zobaczę.

– Nawet jeśli tak się stanie, to wrócę po ciebie.

– Obiecujesz?

– Tak. Żyć tutaj, w tych czasach, na tej ziemi mógłbym tylko dla ciebie.

Amanda wtuliła twarz w jego ramiona. Tak bezpieczna i szczęśliwa nie czuła się nigdy przedtem.

– Dodajesz mi siłą, Henry.

Trwali tak jeszcze jakiś czas.

– Przyjdę do ciebie jutro. Razem naprawimy twój wehikuł.

– Amando, kochana moja. Podróże w czasie są niebezpieczne. Można nawet zginąć. Nie mogę cię na to narażać. Strażnicy czasu pilnują, kto

i kiedy włamuje się do portalu. Jeśli przekroczysz wyznaczony czas, złapią cię i utkniesz w czarnej dziurze. To beczas. Widziałem to miejsce, kiedy podróżowałem. Nikt stamtąd nie wraca. Nie chcę, by coś takiego cię spotkało. Nie zniósłbym tego. Dlatego będzie bezpieczniej, jak wyruszę sam i potem wrócę do ciebie. Rozumiesz, jak bardzo może to być ryzykowne?

– Tak. Chyba tak. Ale nie chcę też ryzykować tego, że być może z jakichś powodów nie zdołasz tu wrócić. Czy nie możesz już tu zostać? Teraz ze mną.

– Zostawiłem w Londynie moich czasów siostrę i przyjaciół, którzy nie wiedzą, co się ze mną dzieje.

– Czy zostawiłeś tam jeszcze kogoś? – Spojrzała na niego z obawą.

– Nie. Nikogo, kogo bym kochał. Ale muszę wiele spraw załatwić, zakończyć. Być może nie otworzą mi drzwi w rodzinnym domu.

– Jak to? Dlaczego?

– W dniu, kiedy tu przybyłem, miałem się oświadczyć córce pewnego magnata, Emily Taylor.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Nie chciałem. Czułem, że ciągnie mnie w inne strony. Nie pasowałem do ich konwenansów. Męczyły mnie. Były sztuczne, wyrachowane, egoistyczne.

– Jesteś outsiderem.

– Kim?

– Odmieńcem. Ja też nie lubię, gdy coś mi się każe. Mam ochotę wtedy uciekać. I to daleko.

– Jak dobrze cię rozumiem, Amando. Czasem lepiej być ubogim niż bogatym, ale za to niewięzionym przez czyjeś pretensje czy wymagania.

– Sądzę, że jesteś ostatnią osobą, która pozwoliłaby się złapać w czyjeś sidła.

Henry nie spuszczał wzroku z jej twarzy. Po chwili zastanowienia odparł:

– Chyba właśnie wpadłem w twoje. Ale, o dziwo, zaczyna się mi to podobać.

– Chłopaku z klifu, przy tobie wszystko jest takie proste. Nie boję się niczego, gdy mnie obejmujesz.

– Przybywając tu, nie spodziewałem się niczego, poza tym, by zobaczyć, jak wygląda przyszłość. W najśmielszych snach bym nie przypuszczał, że się zakocham. To do mnie niepodobne.

– Mówisz tak, jakbyś nie wierzył, że miłość istnieje.

– Bo nie wierzyłem. Ale gdy patrzę w twe oczy, widzę w nich siebie.

Amanda wtuliła się w niego.

– Wiesz... Przydałby ci się nowy frak – zauważyła.

– A co z nim nie tak? Bardzo lubię mój frak. Daj mu lepiej spokój. – Jego oczy wyglądały na rozbawione.

Amanda dotknęła jego policzka. Był ciepły i lekko drapiący przez zarost.

– Teraz, kiedy już wiem, kim naprawdę jesteś, boję się o ciebie, Henry. I masz rację. Mogą mnie szukać. Od wczoraj tata nie wie, co się ze mną dzieje. Nie chcę narażać cię na niebezpieczeństwo. Lepiej wrócę do domu. Jeśli mnie tu znajdą, nie skończy się to dobrze. A nie chcę, byś miał przeze mnie problemy. Nie chcę, by coś ci się stało.

– Dobrze. Widzę, że bywasz też rozsądna. Odprowadzę cię. Pomogę ci się ubrać.

– Poradzę sobie. I nie podglądaj.

Henry uśmiechnął się pod nosem.

Po godzinie udali się w drogę. Towarzyszyły im lekki wiatr i słońce – ostre i rażące. Amanda chwyciła Henry'ego za rękę. Dotyk ich dłoni mówił więcej, niż mogłoby się wydawać.

– Jeszcze nigdy żaden spacer nie sprawiał mi tyle radości. Ale boję się wracać.

– Ze względu na mamę?

– Tak. Bardzo chcę wierzyć, że ona z tego wyjdzie, lecz jakoś... Ach, te okropne przeczucia!

– Spokojnie, Amando. Żałuję, że nie umiem ci pomóc.

– Wystarczy mi, że jesteś ze mną.

Henry zatrzymał się na chwilę, nachylił nad jej twarzą i ponownie delikatnie pocałował w usta. Lecz wtedy niespodziewanie na horyzoncie pojawił się Igor.

– Witaj, Amando. Całe Portrush cię szuka. – Zaczął, nie zważając na Henry'ego.

– Co tu robisz? – spytała chłodno.

– Pomagam twemu ojcu w poszukiwaniach. Martwiłem się o ciebie, nad klifem przeszła burza.

– Mówiłam ci już, że nie chcę twojej troski. Poradzę sobie. Wracaj do domu.

– Twój ojciec odchodzi od zmysłów. Nie żal ci go?

– Nie tobie mnie osądzać. Odejdź i daj nam spokój – skwitowała, po czym podeszła do Henry'ego i wyszeptała: – Tu się pożegnamy. Tak będzie lepiej. Ale bardzo chcę, byś poznał moich rodziców. – Amanda nie chciała, by Igor słyszał choć jedno słowo skierowane do jej ukochanego.

– Nigdy się od niej nie odczepisz? – Igor nie umiał się powstrzymać. Kipiał z zazdrości.

– Gdybyś był dżentelmenem, nie nachodziłbyś jej. Ona cię nie chce. Czy to wciąż dla ciebie niejasne? – Henry zrobił krok naprzód. Amanda hamowała jednak jego zamiary, trzymając go mocno za rękę.

– Nie chce mnie przez ciebie. Namieszałeś jej w głowie. W kogo się bawisz? Kogo udajesz? – Igor stawał się napastliwy.

– Dość tego! – zaprotestowała Amanda. – To nie ma nic wspólnego z Henrym. Ja po prostu cię nie chcę. Rozumiesz? – rzuciła Igorowi w twarz.

Po tych słowach Amanda odwróciła się w stronę Henry'ego, stanęła na palcach i zbliżyła wargi do jego ust.

– O nic nie pytaj i pocałuj mnie, teraz. Proszę – szepnęła.

Henry spojrział jej w oczy i bez wahania zatopił swe wargi w jej słodkich ustach. Wplątał swe dłonie w jej jasne długie włosy. Zatracali się w tym pocałunku.

– Czy to był wystarczająco dobry pocałunek? – spytał, kiedy ona musiała zaczerpnąć powietrza. Zaróżowiona twarz Amandy rozbawiła go.

– Był idealny...

Wtedy spojrzała za siebie. Igor gdzieś przepadł. I właśnie taki cel chciała osiągnąć. Pokazać, że kocha innego. Amanda ucieszyła się, uznawszy, że chłopak wreszcie da jej spokój. Że po tym, co zobaczył, odpuści i przestanie ją zamęczać. Zrezygnuje.

– Przepraszam. Chyba cię trochę do tego przymusiłam... Ale...

– Nie przepraszaj. I nie przymusiłaś mnie. Tutaj, w twoim świecie, wszystko jej szybsze. Ale ja, chłopak z dwudziestowiecznej Anglii, też chyba nieźle całuję. Prawda?

– Gdy mnie całujesz, zapominam o wszystkim. I może on wreszcie da nam spokój.

– Ach, moja Amando... – Henry przymknął oczy. – Od tej pory tylko ja mam prawo cię całować. Pamiętaj o tym.

– Jeszcze się nad tym zastanowię – wyznała, drocząc się z nim.

– Nie wąż się z tego żartować.

– Nie będę. – Posłała mu uśmiech. – Chcę z tobą być, nawet jeśli będę musiała pokonać czas, morza i oceany. Cokolwiek...

– Ciii... – Położył palec na jej ustach. – Nie mówmy o czasie. Wracaj, kochana, zanim on sprowadzi tu całe miasteczko. Pamiętaj, że uchodzę za tutejszego dziwaka, a w jego oczach pewnie też za niebezpiecznego człowieka.

– Kiedy się znowu zobaczymy?

– Znajdę cię. – Henry pocałował jej dłoń.

Amanda z trudem, prawie wbrew sobie, ruszyła w stronę domu. Odwróciła się po chwili, lecz Henry'ego już nie było. Zniknął za zakrętem drogi. Kiedy dotarła na miejsce, nie była sobą. Przed chwilą gdzie indziej zostawiła część siebie, swoje serce i swoją duszę.



Ojciec Amandy prawdziwie się ucieszył na widok córki.

– Gdzie byłaś? Wiesz, jak się czułem? Jesteś ranna? – wypytywał ją. Wcześniej był w szpitalu u żony. Jego twarz poszarzała i przybyło na niej zmarszczek.

– Tato, wybacz mi. Potrzebowałam czasu tylko dla siebie. Uciekłam na klif. Nic mi nie jest.

– Kim on jest? – Janas wstawiał wodę na herbatę.

– Słucham? – Amanda wyglądała na zaskoczoną. Ile wiedział jej ojciec? I skąd?

– Chodzi o jakiegoś chłopaka? To do niego uciekłaś? Powiedz mi, dziecko. Całe Portrush cię szukało.

– Skąd ten pomysł? Poza tym jestem dorosła, tato. Widziałeś się z Igorem, tak? Co on ci naopowiadał?

– A co Igor ma do tego? Jessica coś wspominała, kiedy wspólnie z jej rodzicami zastanawialiśmy się, gdzie cię szukać. Myślałem, że oszaleję. Jak mogłaś mi to zrobić? Tak się nie znika. Czy wiesz, jak się o ciebie bałem?!

– Przepraszam. – Amanda spuściła głowę. – Ale nie zrobiłam nic, z czego musiałabym się tłumaczyć albo czego musiałabym się wstydzić. Na klifie straciłam przytomność. Ktoś mi pomógł. To wszystko.

– Straciłaś przytomność? – Ojciec spojrzał na nią z przerażeniem w oczach. – Nic ci nie jest? Kto to taki?

– Już jest wszystko dobrze. A on ma na imię Henry. Ale nie obawiaj się. Przy nim zawsze będę bezpieczna.

- Jakiś Henry. Cóż. Kim on jest?
 - Tato, to dobry człowiek.
 - Powinien cię zobaczyć lekarz. – Pan Janas podrapał się po głowie.
 - Nie potrzeba. Henry się mną zaopiekował.
 - To twój chłopak? – spytał cicho.
 - To dość skomplikowane. Błagam cię, o nic więcej nie pytaj. I tak jest mi wystarczająco trudno.
 - Wiem, że jesteś już dorosła. Ufam ci. Ale dla mnie zawsze będziesz moją córeczką.
 - Wiem o tym. – Amanda podeszła do niego i mocno go przytuliła. – Byłeś u mamy?
 - Z mamą jest źle, Amando.
 - Jak bardzo źle? – W jej oczach błysnęły łzy.
 - Lekarze robią, co mogą, ale choroba nie odpuszcza. – Ojciec najwyraźniej walczył ze sobą. Kiedy to mówił, sięgnął do szafki kuchennej po kubek i nasypał sobie trzy łyżeczki kawy.
 - Nie pij tak mocnej kawy, tato. To niczego nie zmieni.
 - Nie mogę spać w nocy. Kawa postawi mnie na nogi.
 - Połóż się, a ja pójdę do mamy. Wiem, że na mnie czeka.
 - Gdybym tylko mógł to przewidzieć...
 - To co byś zrobił?
 - Wszystko, by ją ratować. Cofnąłbym czas. Cokolwiek, dziecko, cokolwiek...
 - Cofnął czas? – Zamyśliła się na moment, widząc oczami wyobraźni Henry'ego. – Możemy iść do mamy razem. Chcesz?
 - Nie dam rady iść tam dziś ponownie.
 - W takim razie najpierw ugotuję obiad. Musisz coś zjeść.
- Amanda przygotowała posiłek. Miała wyrzuty sumienia, że ojciec się zamartwiał, ale jednocześnie czuła się tak szczęśliwa, jakby umiała latać. Pan Janas zasnął zaraz po tym, jak zjadł. Amanda napisała mu kartkę, że

idzie do Jessiki, a potem do mamy. U Domańskich jednak panowała napięta atmosfera.

– Jak dobrze, że nic ci nie jest, Amando. – Mama Jessiki wyglądała na zmęczoną. – Nie widziałś może Igora? Teraz to my szukamy jego.

– Owszem, nie tak dawno na klifie. Właściwie to przyszedłam do Jessiki.

– Jess jest nad oceanem. Jeśli spotkasz Igora, powiedz mu, proszę, żeby wreszcie pojawił się w domu. Nie rozumiem, co się z nim ostatnio dzieje.

– Nie mieszka tu?

– Jak tylko przepadłaś, on też zniknął. Czy... wy... to znaczy. Czy między wami coś zaszło, Amando? – W oczach Domańskiej było widać smutek i strach.

– Nie. Skąd – skłamała. – Jak go znowu spotkam, każę mu przyjść natychmiast do domu.

– Dziękuję. A co z twoją mamą?

– Właśnie się do niej wybieram. A potem nad ocean.

– Pozdrów ją od nas koniecznie.

– Dobrze. Życzenia zdrowia od przyjaciół ją ucieszą.

Domańska uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, podobnie jak ojciec Amandy, jak mało czasu zostało Kasi.



Szpitala mają specyficzny zapach. Zapach, którego Amanda nie znosiła. Samo przebywanie w nich powodowało u niej strach i niepokój. Do tego mama nie wyglądała dobrze, tata miał rację, ona odchodziła. Amanda dostrzegała to w jej gasnących oczach. W każdym słabym oddechu. Mniej wyczuwalnym dotyku i bezsilnym uśmiechu. Słowie...

– Wszystko u ciebie dobrze, córeczko? – Mama spojrzała na nią przenikliwie. Mimo swej choroby wciąż troszczyła się o najbliższych.

– Tak, mamó. Dobrze. Nie mów za dużo, to cię męczy. – Amanda mogła wejść do niej tylko na kilka minut. – Nie martw się o mnie.

– Masz pewnie chłopaka. Nie możemy nawet o tym porozmawiać.

– Mamó... – Serce Amandy zabiło mocniej. – Jestem szczęśliwa. O nic się nie martw.

– To dobrze, to dobrze – wyszeptała, zamykając oczy z uśmiechem na twarzy.

W tej chwili do sali weszła pielęgniarka.

– Wizyta się kończy. Pacjentka musi dostać leki, proszę już wyjść.

Amanda odwróciła twarz w stronę okna. Musiała stłumić łzy, które chciały wypłynąć z jej oczu. Spojrzała na cienką, niemalże przezrystą skórę mamy i pocałowała jej chłodną dłoń.



Ocean był dziś łagodny. Amanda lubiła, kiedy jego mikrokropelki osiadały wraz z wiatrem na jej twarzy. Chłoneła siłę i spokój przyrody. Fale unosiły się łagodnie. Amanda dostrzegła przyjaciółkę. Jessica siedziała na piasku i wpatrywała się w toń oceanu.

– Cześć, siedzisz tu sama?

– Lepiej powiedz, gdzie zniknęłaś bez słowa. Byłaś na klifie? Zupełnie ci odbiło...

– Nie planowałam tego. I tak. Byłam z Henrym.

– Oszalałaś, Amando. Nie znasz go. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Sądziłam, że przyjaciółki nie mają sekretów.

– Och, Jess. Wybacz mi, ale nic nie wiesz. Po wizycie w szpitalu u mamy kompletnie się załamałam. Nie chciałam wracać do domu i przepłakiwać samotnie kolejnej nocy. Coś we mnie pękło. Pobiegłam wtedy na klif. Spotkałam go, bo on znowu mi pomógł. Straciłam tam przytomność.

– Amando!

– Wiem. Ale przez to wszystko stało się coś niesamowitego. Poznałam go bliżej i... On...

– Niech zgadnę. Zakochałaś się bez pamięci. – Beznamiętne słowa Jessiki zdawały się nie mieć znaczenia.

– Skąd wiesz?

– Skąd wiem? Masz to wypisane na twarzy. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, ale pamiętaj, to tylko facet. A faceci potrafią ranić i to mocno.

– Chodzi o Aidana? Źle wyglądasz. Czy on ci coś zrobił?

– Nie. To tylko mała sprzeczka. Ale martwię się też o Igora. Zniknął gdzieś, zaraz po tobie.

– Widziałam dziś Igora. W okolicach klifu.

– I teraz mi to mówisz?

– Jess, on za mną chodzi. Szpieguje. Wiem, że to twój brat, i bardzo mi przykro, że musisz tego słuchać. Ale...

– Spotkał cię z nim?

– Tak. On zaczyna mnie przerażać. Rozumiesz?

– Wiem i przepraszam cię. – Jessica mówiła już spokojniej. – Wybacz mi, ale jest mi tak źle. Tak cholernie źle. Bo miałam wrażenie, że widziałam Aidana z inną.

– Co? To niemożliwe. Opowiedz mi, co w ogóle widziałaś.

Jessica otarła łzy.

– Wczoraj wieczorem wyrwałam się z domu, choć nie byliśmy umówieni. Pobiegłam na plażę, by go spotkać. Lecz on obejmował inną. I nawet się dziś nie odezwał.

– Ale to o niczym nie świadczy. Nie wiesz, kto to był. Poczekaj. On się odezwie.

Amanda przytuliła ją z całych sił. Kazała się wygadać i wypłakać. Siedziały tak do wieczora, spacerując po plaży, rozmawiając, śmiejąc się i płacząc na zmianę.

– Wiesz, Jess. Trudno mi opisać to, jak się czuję dzięki Henry’emu. Pierwszy raz w życiu poznałam, co to znaczy mieć motyle w brzuchu. Ale bardzo się boję, że go stracę. – Teraz to Amanda zaczęła się zwierzać.

– Tak. Witaj w klubie. Nikt nie da ci gwarancji na wieczną miłość. W tym cały problem. Takiej zwyczajnie nie ma. Możemy tylko wierzyć, że jesteśmy kochane tak mocno, jak same kochamy. To takie złudne.

– I piękne. Wszystko się ułoży. Obiecuję ci to. I będziesz szczęśliwa. Zobaczysz...

– Ten twój cały Henry. Czy on cię kocha? Wierzysz mu?

– Wiem, że przy nim czuję się jak z innej epoki – palnęła. – No. Wyjątkowa i szanowana. Wszystko z nim jest inne, niezwykłe i porywające.

– Kompletnie cię poniosło. – Jessica się zaśmiała, urzeczona zachwytem przyjaciółki. – Może choć on cię nie skrzywdzi.

– Wiem tylko, że jeśli on nagle zniknie, zniknę wraz z nim.

– Nie opowiadaj głupot. Masz tu być. Jesteś moją przyjaciółką. A ja zaczynam powoli nienawidzić to miejsce. A dziś mam ochotę wskoczyć do oceanu i w nim utonąć.

– Jeśli to zrobisz, będę musiała cię ratować. Wtedy możemy utonąć we dwie. Dwa pogrzeby w Portrush byłyby wydarzeniem roku.

– Roku? Raczej stulecia! – Jess krzyknęła na całe gardło.

– Wolę, kiedy jesteś sobą. Właśnie taka. A jeśli Aidan cię skrzywdzi, to przysięgam, że do końca życia będą mu się śniły wszystkie babskie tyłki z plaży White Rocks.

Obie wybuchły śmiechem.

– Uwielbiam cię, lecz uważaj z miłością, Amando. Jest piękna, zmysłowa i obojętna, ale bywa też okrutna i zmienna. – Jessica ponownie posmutniała. – Dobrze, że mu wczoraj odmówiłam. No wiesz...

– Bardzo dobrze.

– Gdybym mogła cofnąć czas, omijałabym Aidana z daleka.

– Pod warunkiem że mogłabyś przewidzieć przyszłość.

– No tak.

– Amando, proszę, uważaj na Igora. Znam go i obawiam się, że łatwo z ciebie nie zrezygnuje.

Amandę przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

– Dlaczego do tego wracasz?

– Bo powinnaś o tym wiedzieć. I trzymaj się tego twojego Henry’ego, skoro to ten jedyny.

– Dlaczego ludzie nie mogą od razu zakochać się we właściwych osobach? Przecież tak powinno być. Zobacz, Jess, o ile wtedy byłoby prościej żyć.

– Niestety. Ktoś sobie wymyślił, że mamy też cierpieć. Życie ma słodko-gorzki smak i nic tego nie zmieni.

– Wiesz, co myślę?

– Hmm?

– Że na wszystkie smutki i rozterki bardzo pomogłaby nam teraz jedna rzecz.

– Wino?

– E tam. – Amanda zaczęła zrzucać z siebie ubranie. – Surfing! Z tobą! Co ty na to? Przyłączysz się?

– Nie wierzę! – Jessica aż zaklaskała. – Jasne, że tak! Przecież ja to kocham. Moją wolność! Niech żyją dwie babki. Amanda i Jessica! Faceci z Portrush, miejcie się na baczności! – krzyknęła, a potem obie ruszyły po deski. Czując w sobie niezwykłą moc, wbiegły do oceanu.



Nazajutrz Amanda poszła do pracy w antykwariacie. Stary Jack majsterkował przy zegarach.

– Trochę cię nie było. – Spojrzał na Amandę spod gęstych, siwych brwi. – Słyszałem o twojej mamie, przykro mi.

– Dziękuję. Muszę się czymś zająć. Mam uporządkować te książki? Powycierać kurz na półkach?

– Zaparz mi kawy, Amando, na początek dnia to wystarczy. A, bym zapomniał. Henry tu był, pytał o ciebie. To dziwne, ale odniosłem wrażenie, że przyszedł się pożegnać.

– Pożegnać? Ale jak to? – Amanda z przejęciem upuściła z rąk filiżankę. Dźwięk rozłukiwanej porcelany rozbiegł się echem po całym sklepie.

– Coś się stało? Dobrze się czujesz?

– Zbiłam twoją ulubioną filiżankę, Stary Jacku. Przepraszam. – Jej twarz pobladła.

– Zmartwiłem cię. Nie bój się, on nie zniknie bez pożegnania. Tyle że jego czas tutaj się kończy. Ale coś mi się zdaje, że ty już o tym wiesz. On musi zniknąć, inaczej przyjdą po niego.

– Wspominał coś o strażnikach czasu. Czy ich masz na myśli, Stary Jacku?

– Niestety, tego się obawiam.

– Co Henry dokładnie powiedział?

– Nic szczególnego. Wspominał, że jego czas pobytu w Portrush dobiega końca i że już wie, kiedy otworzy się portal.

– Ale machina! Nie zdążył jej naprawić.

– Tego nie wiem. Widocznie zdołał, skoro tak powiedział.

– Czy powiedział, kiedy to nastąpi? Kiedy otworzy się portal?

– Za cztery dni, o północy. Amando, bardzo cię lubię, dlatego zapytam wprost, jeśli pozwolisz. Co jest między tobą a Henrym?

– Ja go kocham – wyznała, podnosząc z podłogi rozbite kawałki filiżanki.



Do końca dnia Amanda nie była sobą. Czuła strach. Przed tym, że Henry nagle zniknie i że nigdy więcej go nie zobaczy. Że to wszystko to był tylko sen. Nie mogła się z tym pogodzić. Nie chciała tu zostać bez niego. Nie teraz, gdy wreszcie spotkała kogoś tak wyjątkowego. Po odwiedzinach u mamy ruszyła na klif, by zobaczyć się z Henrym. Spotkała go w pół drogi.

– Chyba ściągnąłem cię myślami. Musiałem cię jeszcze zobaczyć – wyznał, gdy ujrzał jej sylwetkę na szlaku.

– Och, Henry. – Amanda od razu podbiegła i wtuliła się w jego ramiona.

– Co u ciebie? Szukałem cię.

– Wiem, Stary Jack mi mówił. U mnie słabo. Mama właściwie dziś nie miała sił mówić. Tak dobrze cię znowu widzieć.

– Źle wyglądasz. Martwisz mnie. – Uniósł delikatnie jej brodę. – Płakałaś?

– Boję się, bo wiem, że ona wkrótce odejdzie. Czuję to, Henry. Widzę śmierć czyhającą w jej oczach. To okropny ból, bo nie mogę jej stamtąd wyrwać. Nie mogę zrobić nic. Nic, by została tu ze mną. By żyła.

– Śmierć nigdy nie jest łatwa. To przeciwwaga życia. Jego antagonistą, a zarazem nieodłączną część. Człowiek nie wynalazł jeszcze sposobu na nieśmiertelność. Potrzyмай mamę za rękę, to jej sprawi radość.

– Dziś wyprosili mnie z jej sali po minucie. Ojciec jest załamany. Nieobecny. Boję się, że odejdzie za nią. Rozumiesz? Oni odejdą, a ja zostanę tu sama.

– Ciii... – Objął ją delikatnie.

– Stary Jack powiedział mi, że byłeś się z nim pożegnać. To prawda? Powiedz, że nie. Proszę...

Henry przymknął oczy i ciężko westchnął.

– Niestety to prawda, Amando. Za cztery dni wrócę do Londynu z początku dwudziestego wieku.

– Ale jak to? A wehikuł, przecież dopiero go naprawiasz? Miałam ci pomóc.

– Wiem, masz rację, ale nie ja o tym decyduję.

– Ty już tu nie wrócisz, prawda? Wiesz to, ale nie chcesz mnie ranić. – Bezradność w jej oczach mieszała się ze strachem.

– Kocham cię. Mówiłem to szczerze. I wrócę do ciebie. Nie potrafię jedynie powiedzieć, ile to potrwa, Amando. Ale wrócę, bo jeszcze tak nie kochałem. Będziesz na mnie czekała?

– Nie. Bo wracam z tobą. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Co? Nie! Nie zgadzam się, to zbyt ryzykowne.

– Nie puszczę cię tam samego. Mam gdzieś strażników czasu czy jakąś czarną dziurę. Jeśli mam umrzeć, to ze świadomością, że byłam z tobą. Nie możesz mi tego zakazać.

– Posłuchaj mnie. Nie! Słyszysz? Poczekasz tu na mnie. Bo jesteś rozsądna. Nie chcesz wiedzieć, co się dzieje z zagubionymi wędrowcami czasu.

– Nie obchodzi mnie to. Nie możesz mnie zmusić, bym tu została. Jestem dorosła i wiem, co robię.

– Właśnie obawiam się, a wręcz jestem pewien, że nie wiesz. Musisz mi zaufać. Na tym polega miłość, Amando.

– Kocham cię i ufam jak nikomu wcześniej. Ale nie puszczę cię samego. Mowy nie ma. Jestem gotowa zostać z tobą w twojej epoce. Błagam, zabierz mnie ze sobą. – Wtulona w jego pierś słyszała jego przyspieszony oddech.

– Och, moja Amando. I co ja mam z tobą zrobić?

– Zabrać w podróż życia, Henry.

– Wiesz, że nie będziesz się mogła wycofać, gdy już się to stanie? Zdajesz sobie sprawę z tego, na co się narażasz?

– Na to samo co ty, kiedy zdecydowałeś się wsiąść do wehikułu tamtego dnia, w Londynie. Czas przygnał cię do mnie. To musi być dobry znak, Henry. To musi się udać.

– Jesteś kompletnie szalona.

– Bo od kiedy cię spotkałam, moje życie oszalało. Dzięki tobie naprawdę żyję, stałam się prawdziwa i nie chcę, by to się zmieniło.

– I tak się nie zgadzam.

– To już postanowione.

– I gotowa jesteś zostawić wszystko?

– Dla mnie od teraz ty jesteś wszystkim – szepnęła, po czym zbliżyła swe usta do jego warg.



Jeszcze tej nocy, o czwartej nad ranem, Janas dostał ze szpitala informację o śmierci żony. Zamknął się w sobie i nie wychodził z pokoju. Oddalił się od Amandy, od bliskich, od życia. Trzy dni później odbył się skromny pogrzeb. A potem Janas oświadczył córce, że wracają do Polski.

– Tak będzie lepiej. Już nic nas tu nie trzyma.

– Ja nie jadę, tato, chcę tu zostać. Polubiłam Portrush.

– Nie możesz tu zostać sama. To postanowione. Zaczynaj się pakować.

– Ale tato!

Jednak Janas zamknął się w swoim pokoju i nie chciał słuchać żadnych argumentów. Ani córki, ani Domańskich, niczyich.



Amanda wpatrywała się w widok za oknem. Zapadał wieczór. To dziś o północy Henry opuści Portrush i wróci do swojego Londynu. Mamy już

nie było. A ona nie umiała już płakać. Bez niej nic nie miało sensu. Ojciec ze spakowaną walizką smętnie popalał papierosa. Wydawał się taki nieobecny. Taki obcy.

– Tato... – Kiedy Amanda weszła do jego pokoju, wiedziała, że widzi go być może ostatni raz. – Późno już, połów się.

– Rano wyjeżdżamy. Jesteś spakowana?

– Tak – skłamała, choć spakowała tylko swój podręczny plecak. Miała zamiar wraz z Henrym pokonać tej nocy linię czasu. Ryzykowała wszystko. I jednocześnie nic już nie miała. Podeszła do ojca i pocałowała go w policzek. To było pożegnanie, choć wiedziała o nim tylko ona. Czuła, że ponownie go zawodzi. Że znowu zniknie, a on będzie się zamartwiał. Ale musiała dorosnąć. I wybrać. Nie mogła tego przedłużyć. Napisany do niego list wsunęła pod drzwi, kiedy je za sobą zamykała.



Miała mało czasu. Przedostanie się na klif zajmowało ponad godzinę, a pogoda zmieniała się z każdą chwilą. Nad Portrush nadchodziła burza. Amanda ubrana w kurtkę przeciwdeszczową i dobre buty ruszyła przed siebie. Zagrzmiało, kiedy zaczęła wchodzić na klif. Pogoda coraz bardziej się załamywała. Zaczęło wiać, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Kiedy dotarła na szczyt, Henry już na nią czekał.

– Wiedziałem, że mnie nie posłuchasz. Jesteś okropnie uparta! – krzyczał, bo wiatr smagał jego twarz. – Wejźmy do chaty, musimy porozmawiać!

W środku było ciemno. W kominku się nie paliło, a Henry był gotowy do podróży.

– Kiedy go naprawiłeś? – Amanda spojrzała na wehikuł.

– Nie jest do końca sprawny, ale nie mam już czasu i muszę zaryzykować. Inaczej trafię w ręce strażników czasu i utknę w otchłani.

Miałem jeszcze nadzieję, że zmieniałś zdanie. Moje czasy wcale nie są tak wspaniałe, jak ci się wydaje.

– Chcę być z tobą, nieważne gdzie i jak.

– Nie zmienisz zdania?

– Nie. – Amanda obstawała twardo przy swoim.

Henry dotknął jej chłodnego policzka. Miał zamiar ją pocałować, jednak w tej chwili do chaty wtargnął Igor. Trzymał w ręku pistolet. Musiał go wynieść z klubu strzeleckiego. Chłopak wyglądał jak obłąkany. Amanda krzyknęła z przerażenia.

– Wiedziałem, że znowu pójdziesz do niego! I miałem rację.

– Igor? Śledziłeś mnie?! Och nie, Henry! – krzyknęła, gdy ten celował w jej ukochanego.

– Odsuń się, Amando! – Henry próbował ją chronić. Sam sięgnął do kieszeni spodni, w której miał broń. Kiedy ją wyjmował, Igor doskoczył do Amandy i przyłożył jej pistolet do skroni.

– Jeśli ona z kimś będzie, to tylko ze mną! Właż w tę swoją maszynę i zniknij na zawsze z naszego życia! – Zimna dłoń Igora drżała, a Amanda wyczuwała od niego woń alkoholu.

– Henry... – Amanda szeptała ze łzami w oczach.

– Odłóż pistolet, bo zobaczysz ją martwą. – Igor zaczął się szyderczo śmiać.

Wehikuł zaprogramowany przez Henry'ego zaczynał się powoli uruchamiać.

– Popatrzmy sobie, jak znikasz bez niej. – Igor jeszcze mocniej chwycił Amandę. Wtedy wściekły Henry strzelił w sufit. Dziewczyna wykorzystwała okazję i ugryzła napastnika w rękę. Ten jęknął z bólu, ale zdołał ją uderzyć. Henry wtedy nie wytrzymał i strzelił mu w rękę. Igor krzyknął z bólu i osunął się na podłogę. Przerażona Amanda pobiegła do ukochanego.

– Chyba go zabiliśmy. Henry, co teraz?

– Teraz to już musisz ze mną lecieć, choćby nie wiem co. Nie możesz tu zostać. On jest zdolny do wszystkiego. – Henry wszedł do wehikułu, który

coraz bardziej przyspieszał. Amanda usiadła tuż za nim i zapięła pas. Maszyna pracowała tak głośno, że Amandzie zdawało się, że za chwilę się rozpadnie. Modliła się po cichu, by tu nie zginęli. By zdołali się stąd wydostać.

– Henry! – krzyknęła, kiedy unieśli się w górę. Wtedy niespodziewanie rozległ się strzał. To Igor zdołał uklęknąć i strzelić do Henry’ego. Mężczyzna dostał w rękę. Krzyknął z bólu. – Henry! Żyjesz?! Nic ci nie jest? – Amanda nie mogła mu na razie pomóc. Nad Portrush rozszalała się burza. Zaczęło grzmieć. Wehikuł wystartował. Dziewczyna z przerażenia zamknęła oczy. Dopiero teraz dotarło do niej, o czym mówił Henry i że prawdopodobnie za chwilę oboje zginą. Drewniany dach chaty pod naporem wehikułu rozpadł się na kawałki. Igor ujrzał jasną łunę światła. W końcu z bólu stracił przytomność. Jedyne Stary Jack, który stał teraz w oknie swojego domu i widział rozbłysk nad klifem, wiedział, co się dzieje. Modlił się w duchu, by im się udało.

ROZDZIAŁ IV

Londyn, początek XX wieku

Jasna łuna światła przebiegła po niebie tuż nad londyńskimi slumsami. W dali rozległ się huk rozpadającej się maszyny. W nocy wszystko wydawało się tu jeszcze brudniejsze, bardziej śmierdzące i niebezpieczne. Na ciemnym, nierównym bruku leżały dwa ciała. Młodej kobiety i mężczyzny. Obok nich kawałki metalu i drewna. Ktoś z mieszkańców pobiegł zobaczyć, co się stało. Było po północy. Księżyc w kształcie sierpa oświecał ciemne zakamarki uliczek. Młody chłopak w brudnych spodniach i za dużej koszuli przybiegł pierwszy.

– Chyba są nieżywi – stwierdził.

Amanda jęknęła z bólu. Powoli odzyskiwała przytomność. Henry leżał obok niej. Wykrwawiał się.

– Henry... – wyszeptała z trudem. W gardle czuła suchość i ból. – Pomocy!

Chłopak pochylił się nad nią. Jego sprytne, lisie spojrzenie przeraziło Amandę.

– Proszę, pomóż nam. Wezwij pomoc – zdołała wychrypieć, po czym ponownie straciła przytomność.



Obudzili się nazajutrz w szpitalu Świętego Tomasza. Amanda dochodziła do sił, była na sali dla kobiet. Z trudem zdołała się porozumieć z pielęgniarką – z jakichś powodów jej angielski był tu słabo rozumiany.

- Szukam Henry’ego Oldmanna. Przywieziono nas tu razem, w nocy.
- Jedyne młody człowiek, którego tu w nocy przywieziono, jest na sali operacyjnej.
- To musi być on – uznała. Zbyt szybko wstała z łóżka, przez co zakręciło jej się w głowie.
- Co panienka robi? Proszę się położyć. Trzeba odpoczywać.
- Gdzie go znajdę? Gdzie ta sala? Proszę, niech mi pani powie.
- W lewym skrzydle szpitala. Ale nikomu nie wolno tam wchodzić. Gdy się ocknie, dam panience znać.

Amanda ze zdenerwowania osłabła. Kiedy ponownie spojrzała na surowe ściany i na strój pielęgniarki, dotarło do niej, że wraz z Henrym pokonali czas. Zdołali to zrobić. Amanda była w dwudziestym wieku w Londynie i czuła się tak zagubiona, jak nigdy przedtem. Nie mogła stracić Henry’ego. Nie zdoła wrócić do Portrush bez niego. Wiedziała, że nie poradzi sobie sama. Nie w odległym czasie i miejscu, którego kompletnie nie знаła. Ubrana w białą płócienną narzutkę, przypominającą nocną koszulę, nie miała na sobie nic więcej. Jednak oboje żyli i to było teraz najważniejsze.

W nocy, kiedy większość pacjentów spała, Amandzie udało się opuścić salę. Musiała przedostać się do lewego skrzydła szpitala, by zobaczyć ukochanego. By upewnić się, że to on. Nie miała planu awaryjnego. Żadnego planu, poza Henrym. Kamienna podłoga ziębiła jej stopy. Amanda dreptała, mijając kolejne sale, aż w końcu go dostrzegła. Spał. Leżał w sali sam. Żelazne łóżka były oddzielone pojedynczymi białymi osłonami. Amanda podeszła do niego i chwyciła go za rękę.

- Och, Henry. Słyszysz mnie? Tak bardzo się bałam. Ale udało się nam.
- Henry poruszył powiekami. Zabandażowana ręka musiała go boleć, bo skrzywił się wyraźnie, kiedy się poruszył.
- Jesteśmy w twoim Londynie.
- Patrzył na nią, przez dłuższy czas milcząc. Amanda struchlała.
- Powiedz coś. To ja, Amanda... Henry! Słyszysz mnie?
- Wtedy uniósł drugą rękę i dotknął jej policzka.

- Moja ukochana. – Uśmiechnął się do niej. – Ty żyjesz. Gdzie jesteście?
- W szpitalu, ale nie pytaj mnie w którym. Jak twoja ręka? Igor niemal wszystko zepsuł – dodała ze złością. – Mógł cię zabić, drań.
- On sam mógł tego nie przeżyć. Posłuchaj, Amando. Musimy dotrzeć do mojego domu.
- Ale gdzie on jest?
- W dzielnicy Knightsbridge, przy Beaufort Gardens 30. I to szybko. Zanim znajdą cię strażnicy czasu. Oni już wiedzą, że tu przybyłaś. Nie jesteś bezpieczna, musisz się schronić. Stać się jedną z londyńskich dam.
- Dobrze, jutro nas stąd zabiorę. Ale twoja ręka. Boli?
- Nie martw się o mnie. Ręka jest zszyta, to najważniejsze.
- Amanda nie była pewna ani czy ta operacja się powiodła, ani tego, co ich teraz czeka.
- A twoja rodzina. Czy oni mnie przyjmą? Kim dla nich będę? Nie widziałeś ich pół roku. Kogo mam udawać, by mnie zaakceptowali? – Jej oczy wyrażały obawę.
- Moją żonę – odparł, dotykając jasnego kosmyka jej włosów.



Nazajutrz rano Amanda zażądała wypisania siebie i Henry’ego ze szpitala. Nie było to łatwe. Tutaj nic nie było łatwe. Także odzyskanie ubrań. W końcu jednak wyszli.

Dzielnica Knightsbridge należała do najbogatszych w Londynie. A pastelowy dom położony przy Beaufort Gardens 30 przypominał mały pałac.

– To tutaj? Nie wspominałeś, że pochodzisz z zamożnej rodziny. Choć pewnie powinnam się tego domyślić. – Amanda nie mogła wyjść z podziwu. Wyobrażała sobie, jak pięknie musi być w środku. Ile służby pomieści budynek. Ilu gości...

– Nie wspominałem o tym? Ale czy to ważne? Powiedz lepiej, czy pamiętasz, co masz mówić.

– Raczej tak. A jeśli coś pokręcę? – Amanda czuła, jak z nerwów łamie jej się głos. – A jeśli mnie znienawidzą?

– Uspokój się. Idziemy tam razem.

Wcześniej pojechali na ulicę Piccadilly, by kupić Amandzie sukienkę. Wyglądała w niej wyjątkowo, choć ona sama czuła się jak oszustka.

– To się nie uda. Nie pochodzę z wytwornego rodu.

– Ostrzegałem cię, teraz za późno na zmianę decyzji. Na razie nie możemy wrócić. Mam tu niedokończone sprawy. A ty musisz postarać się wtopić w tutejsze życie. Bądź sobą, to wystarczy. Już wyglądasz jak dama. Głowa do góry.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, służący otworzył przed nimi drzwi.

– Garet? – Henry ucieszył się jego widok.

– Panicz Henry. To naprawdę pan? Już myślałem, że pan gdzieś zginął. Panienska tak się ucieszy.

– Nie zginąłem. I mam się w miarę dobrze.

Kiedy weszli do środka, w domu panowała dziwna cisza.

– Gdzie ojciec? – Henry czuł, jak drży mu głos.

– Wiele się zmieniło, od kiedy panicz zniknął.

– Jak wiele?

Garet spuścił głowę.

– Pana ojciec zmarł. Na atak serca.

Henry pobladł, a Amandzie wydawało się, że zaraz zemdleje.

– Kiedy to się stało? – wydusił z siebie.

– Henry? – Z góry dobiegł ich kobiecy głos. To Jane zbiegała schodami prosto w ramiona brata. – A jednak wróciłeś!

– Tak jak obiecałem, a ty wypiękniałaś.

– Tata nie żyje – rzuciła szybko, po czym wpadła w jego objęcia.

– Właśnie przed chwilą usłyszałem. To straszne. A gdzie mama?

– Po śmierci papy przeniosła się do letniego domku. Nie chce nikogo widzieć.

– Mieszkasz tu sama?

– Tak, to znaczy z Susanne. Mam wyjść za mąż za pół roku. Zaraz po żałobie.

– Za mąż? Moja siostrzyczka? Kto jest tym szczęśliwcem?

– Chris Donovan. Chyba go znasz.

– Kogarzę. To dobra partia, ale czy będziesz z nim szczęśliwa?

– Tego nigdy się nie przewidzi. Jest uprzejmy i lubię go.

Henry spojrział na siostrę ze wzruszeniem.

– Och, Henry. Wszystko upada. Fabryka... Mama nie ma do tego głowy, załamała się po śmierci taty. A zarządcy. Ach, szkoda słów. Mamy długi. Choć ja im nie wierzę. Nikt z nas nie potrafi się tym zająć. Jak dobrze, że wróciłeś. – Jane dopiero teraz przyjrzała się milczącej Amandzie. – Henry? – Spojrzała wymownie na brata. – Jak mogłeś? Przedstawisz nas?

– Wybacz, kochana. Jane, to moja żona Amanda Oldmann z domu Janas.

– Żona? Och, a mówiłeś, że ożenek nie jest dla ciebie. To dla niej uciekłeś? Wspaniale, masz śliczną żonę, braciszku. Jestem Jane Oldmann, jeszcze Oldmann – dodała, podając Amandzie dłoń.

– Miło mi. Henry nie wspominał, jak bardzo jesteś piękna. – Amanda z zachwytem lustrowała długą, koronkową suknię Jane.

– Dziękuję, ale na londyńskich ulicach moja uroda ginie pod kapeluszem z woalką. Za to ty jesteś śliczna. Twoje włosy są jak kłosa zbóż. I są niezaczesane.

Amanda spojrzała na nią zbita z tropu.

– Jesteśmy wykończeni. – Henry szybko zmienił temat, zrzucając z ramion marynarkę.

Dopiero teraz Jane zauważyła jego rękę.

– Potrzebujesz lekarza? Co ci się przydarzyło?

– Jest już dobrze. Potrzebujemy tylko snu.

– Oczywiście. Garet, niech Susanne pościeli im w kwiatowym salonie. Będzie wam tam wygodnie. Koniecznie musimy pojechać do mamy. Ucieszy się na wasz widok.

– Nie sędzę. Na pewno mnie wykłęła po moim zniknięciu.

– Najbardziej tęsknił za tobą papa. Matka była zła, bo jej stosunki towarzyskie się skończyły. Ach, znasz ją.

– Ojciec za mną tęsknił? – Henry aż uniósł brwi.

– Bardzo. Wiem od niego, że ogromnie żałował, iż dał się namówić na te zaręczyny. Obwiniął o wszystko mamę.

Henry zamilkł. Słowa siostry ubodły go w samo serce.

– I jeszcze jedno, Henry... – Jane nagle zaczęła szeptać.

– Co takiego?

– Po tym, jak zniknąłeś, ktoś zaczął o ciebie wypytywać.

– Kto taki?

– Nie wiem. Byli dziwnie ubrani, jakby po wojskowemu. Ale kiedy chciałam się dowiedzieć, kim są, szybko się pożegnali. Jednak kolejnym razem podsłuchałam przez okno ich rozmowę pod domem.

– I co mówili?

– Coś o przekroczeniu linii czasu.

– Czy ostatnio się też pojawiali? – Jego twarz przybrała kamienny wyraz.

– Tak. Niedawno. Jakiś tydzień temu. Teraz, gdy w końcu wróciłeś, wszystko się ułoży, prawda? Oni już tu nie przyjdą?

– Obiecuję – odparł, choć zaniepokojone spojrzenie Amandy mówiło co innego.



Ulokowani w salonie, w którym stało małżeńskie łóże, oboje nie wiedzieli do końca, jak się zachować. Amanda oglądała każdy precyzyjny szczegół, którym ozdobiono pokój.

- Czuję się jak w ekskluzywnym hotelu. Miałeś dobre życie.
- Dostatnie nie zawsze oznacza dobre. Zrozumiesz mnie, gdy poznasz moją matkę.
- Coś innego bardziej nie daje mi spokoju, a w zasadzie ktoś. Ci, o których mówiła twoja siostra. Sądzisz, że przyjdą też po mnie? Że już wiedzą?
- Nie mam pojęcia. Ale cokolwiek by się stało, jesteś moją żoną. Pamiętaj o tym.

Amanda pomyślała wtedy o ojcu, który już zapewne przeczytał jej list. O Portrush i dzikim zapachu oceanu. O Igorze, który może walczył o życie. O Jessice i o tym, że znowu ją zostawiła bez słowa. O pogrzebie mamy. Przez moment zatęskniła za tym tak bardzo, że aż poczuła w środku dławiący ból. Czy zdoła tu być sobą? Czy Henry poświęci to wszystko dla niej? Dla zwykłej dziewczyny? Nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, do jakiego świata przybędzie. I zaczynała się obawiać, kiedy i czy w ogóle uda jej się powrócić do zielonej Irlandii.

Z drugiej strony nie było tak źle. Amanda leżała po prawej stronie łóżka wtulona w białą, świeżo wykrochmaloną, pachnącą poduszkę. Henry przytulił się do niej i położył rękę na jej szczupłej talii. Nad nimi wisiał ażurowy baldachim, obszyty szyfonowymi koronkami. Amanda poczuła się jak w bajce. Zasypiała u boku mężczyzny, który przybył do jej czasów z innego, dawnego świata. A teraz była z nim w tym świecie i słuchała, jak miarowo i spokojnie oddycha tuż obok niej.



Nowy dzień zapowiadał się słonecznie. Henry zaraz po śniadaniu pojechał do rodzinnej fabryki, a Jane spodziewała się wizyty narzeczonego.

- Poznasz mojego Chrisa, Amando. Jest przystojny. Ciekawe, co o nim powiesz. – Jane wydawała się bardzo podniecona tą wizytą. Amanda jednak nie wyobrażała sobie aranżowanego małżeństwa.

– Na pewno jest wyjątkowy, skoro postanowiłaś go poślubić. Jestem ogromnie ciekawa Londynu. Chyba wybiorę się na spacer.

– Sama? To nie wypada.

– Nie wypada?

– Będziesz narażona na zaczepki. Och, dziś nie ma mojej przyzwoitki, dostała wolne. – Jane wydawała się tym naprawdę zmartwiona. – Ale pojedziesz naszym powozem. Zaraz poproszę Gareta, by...

– Naprawdę nie trzeba – zaprotestowała. – Poradzę sobie. Mam ochotę pospacerować. Wezmę parasolkę do obrony. – Amanda próbowała żartować.

– Ale co powiem Henry’emu, kiedy wróci i cię nie zastanie? Obiecałam mu cię pilnować.

– Nie jestem dzieckiem, Jane. Wrócę najdalej za dwie, trzy godziny.

– Skoro tak... Niestety nie zatrzymam cię siłą. Ale proszę, uważaj na siebie. I nie spaceruj bocznymi uliczkami. To niebezpieczne.

– Jasne. Wrócę szybciej, niż się spodziewasz.

– Obiecujesz? Będę się zamartwiała.

– Obiecuję. – Amanda polubiła serdeczność Jane. Nie wywyższała się jak większość podobnych jej panien.

– Poczekaj! – Jane nagle krzyknęła, biegnąc za nią. – Coś mi się wydaje, że mamy podobne figury. Pozwól, że podaruję ci suknię. Będzie idealna na przedpołudniowy spacer ulicami Londynu. Musisz prezentować się idealnie. W końcu należysz teraz do naszej rodziny. A swoją drogą, zastanawiam się, jak zdołałaś namówić go do ożenku? Henry należał do najbardziej zagorzałych naukowców i kawalerów.

– Kiedy się poznaliśmy, on po prostu z miejsca mnie zauroczył. Był inny od wszystkich. Niezwykły. Tajemniczy.

– Ach, to brzmi tak romantycznie. Musisz mi wszystko wyznać ze szczegółami. Jakim jest mężem?

– Najlepszym, jakiego mogłabym mieć.

– Oczywiście. Cieszę się, że z nim jesteś. Bardzo się bałam o Henry’ego. Czasem bywa taki zamyślony, jakby był w zupełnie innym świecie. Zadbasz o niego, prawda?

– Tak. Obiecuję. – Amanda dotknęła jej dłoni zakrytej pod szyfonowym rękawem sukni.

„Jak ona może w niej chodzić przez cały dzień?”, zastanowiła się.

Tymczasem Jane pobiegła schodami na górę. Po chwili wróciła z piękną suknią, w kolorze butelkowej zieleni, przewieszoną na ramieniu.

– Będzie ci w niej pięknie. Susanne pomoże ci ją włożyć – dodała, kiwając na służącą.

Amanda nie była zachwycona wkładaniem kolejnej sukni. Było to dla niej prawdziwe wyzwanie. Zdjęcie tej i założenie nowej to co najmniej pół godziny. Jednak kiedy po wszystkim spojrzała w lustro, zachwyciła się nie mniej niż Jane.

– Och! Jest wspaniała. Nigdy takiej nie miałam. Dziękuję. – Uradowana rzuciła się na szyję Jane.

– Żona mojego brata zasługuje na to, co najlepsze.

– Jesteś bardzo miła.

– Teraz wszyscy będą się za tobą oglądać. Pamiętaj o parasolce.

– Dlaczego je właściwie nosicie? Przecież nie pada.

– Żartujesz sobie? Jesteś naprawdę zabawna. – Jane posłała jej uśmiech. – Gdybyśmy ich nie nosiły, nie uchodziłybyśmy za damy. A nasze twarze byłyby rumiane od słońca. Poza tym lubię parasolki. Są takie szykowne. Są jak część eleganckiej bielizny.

– Niesamowite. Zatem jestem gotowa.

– Na obiad będzie polędwica. Mam nadzieję, że lubisz.

– Lubię.

– W takim razie nie zabaw długo. Doprawdy uparta jesteś, żeby spacerować samotnie ulicami Londynu.

– Często sama spaceruję – wyrwało jej się. Lecz zanim Jane zdołała zareagować, Amanda zniknęła w progu domu.



Amanda przebrana w piękną suknię podążała Beaufort Gardens. Mijała bogate domy z wytwornymi salonami. W każdym służba i dystyngowane damy. Rodziny bankierów, handlowców i przemysłowców. Bogate ulice Londynu potrafiły oczarować. Cheapside Mansion House tętnił życiem. Jednak zatłoczony Londyn miał i swe słabe strony. Chwilami w ciepłym powietrzu unosił się fetor wręcz nie do wytrzymania. Odchody koni, brudna Tamiza, brak sanitariatów. A niektóre rzeczy jednakowo zachwycały i przerażały. Pełno ludzi, zgiełku, pośpiechu, specyficznych smaków i zapachów miasta.

Amanda przystanąła, by móc podziwiać widoki. Czy tak to sobie wyobrażała? Mijały ją damy w długich sukniach i kapeluszach. Panowie we frakach. Po ulicach jeździły powozy zaprzężone w konie. I wozy przewożące towary. Wszystko się tu ze sobą mieszało. Minął ją też autobus spalinowy z napisem London Electrobuses Company, wypełniony po brzegi pasażerami. Jednak ona przede wszystkim zwracała uwagę na powozy, mimo że konie się czasem płoszyły. Zafascynowana czasem, w którym się znalazła, zapachem i magią miasta, Amanda znów ruszyła przed siebie z podniesioną głową. Jej aksamitna suknia ściągała zazdrosne spojrzenia kobiet i zachwycone mężczyzn. Ona w długiej sukni... Nigdy by o tym nie pomyślała. Ona, dziewczyna biegająca po klifie, z wiatrem we włosach. Jednak teraz czuła się jak prawdziwa dama. Mijała sklepy jubilerskie ozdobione szykownymi markizami. Uliczne kwiaciarki proszące, by kupić z ich koszy wonne róże. Pucybutów, których klienci zaczytywali się w „The Morning Post”. Coś podobnego widziała w filmach, ale na żywo? Kto by jej uwierzył?

Nagle na chodniku zrobiło się zbyt tłoczno, a słońce zaczęło niemiłosiernie prażyć. Zmęczona nadmiarem wrażeń Amanda miała ochotę

na chwilę skryć się w zaciszu. Skręciła więc w jedną z ulic prowadzących w kierunku Tamizy. Tutaj Londyn wyglądał inaczej. Im dalej szła, tym budynki stawały się bardziej szare, brudne i śmierdzące. Zniknęły gdzieś rezydencje i wytworne suknie. Domy były zaniedbane. Zaczynały przypominać miejsce, do którego trafili z Henrym zaraz po przeniesieniu w czasie z Portrush. W końcu Amanda ujrzała Tamizę. Pływające po niej statki były czarne od węglowego pyłu i dymu wydostającego się z niskich domostw, a wszystko pachniało nędzą i ubóstwem. Zobaczyła też wstydlive, nędzarskie przytułki robotników pracujących w fabrykach oraz ludzi żebrzących o chleb. Zdawała sobie sprawę, że niektóre dzieci kradną, co się da, a potem to sprzedają, by móc coś za to zjeść. Z przerażeniem rozglądała się wokoło. Na jej twarzy malował się smutek. Mały chłopiec podbiegł do niej, wyciągając rękę, lecz ona nie miała nic poza strojną suknią i parasolką. Ktoś krzyknął zza drzwi i chłopiec uciekł. Slumsy. W jak okropnych warunkach może żyć człowiek? Ile jest w stanie znieść?

Wyczuła na sobie zaciekawione spojrzenia praczki, matki mijającej ją z trójką głodnych dzieci, a dalej w ciemnym zakątku prostytutki z wyzywająco odsłoniętym biustem. Poczwała strach. Musiała szybko zawrócić. Zapatrzona w wąskie uliczki, weszła w błoto. Przestraszona, zaczęła biec przed siebie. Szybko jednak zaplątała się w suknię i upadła.

– A niech to – syknęła z bólu. Poczwała, jak piecze ją dłoń. Kiedy Amanda zdołała wstać, ktoś do niej zawołał.

– Zgubiłaś się, ślicznotko? – Uliczny złodziej o twarzy brudnej jak te ulice uśmiechał się do niej szyderczo.

Amanda milczała. Poprawiła suknię i nie zważając na zaczepki, ruszyła przed siebie. Jednak ten człowiek nie miał zamiaru zrezygnować z możliwości łatwego napełnienia kieszeni.

– Stój, damulko! – zawołał.

Amanda zaczęła uciekać. Mężczyzna przyspieszył, aż w końcu ją dogonił. Napastnik cuchnął tak bardzo, że prawie na niego zwymiotowała. Krzyknęła, wołając pomocy. Ten jednak jej zawtórował:

– Oddawaj, co masz!

– Nic nie mam, tylko tę parasolkę.

– Suka! – Zamachnął się, lecz w tej chwili otrzymał silny cios i upadł.

– Nic pani nie jest? – usłyszała Amanda, ale była tak przerażona, że nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. Spojrzała na brudny bruk. Złodziej leżał nieprzytomny na ulicy. – Słyszysz mnie pani? – Ktoś nią potrząsnął. Amanda spojrzała w twarz wybawcy. – Co, u licha, robi pani sama w tak niebezpiecznej dzielnicy? Życie pani niemiłe?

– Przepraszam. Chcę się stąd wreszcie wydostać – odparła, po czym wymiotowała tuż obok jego butów.

Mężczyzna wyjął z kieszeni płaszcz chusteczkę.

– Proszę, niech się pani nie krępuje. Lepiej stąd wyjdźmy, zanim zjawią się inni.

Nieznajomy pociągnął Amandę za sobą. Szli szybko.

– Proszę się za siebie nie oglądać. Nie ma za czym. Tutaj znajdzie pani tylko smród, nieszczęście ludzkie i niebezpieczeństwo.

– Dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie pan...

– Jestem William Webb. Proszę powiedzieć, dokąd mam panią odwieźć. Zapraszam do mojego powozu.

– Do domu...

– Tak?

– Chyba przy Gardens...

– Może Beaufort Gardens? – Spojrzał na Amandę z troską. – Pani jest stąd? Taką suknię i twarz na pewno bym zapamiętał.

Amanda podniosła wzrok. Patrzył na nią przystojny, rosły mężczyzna o ciemnych włosach i piwnych oczach.

– Mieszkam tu od niedawna. Jestem Amanda Oldmann.

– Oldmann? – Uniósł brwi. – Znam tę rodzinę. I Henry’ego. Jest pani jego żoną? Bo siostrę znam.

– Tak. To pański powóz?

– Owszem, zapraszam do środka. Podwiozę panią do domu, lecz proszę mi obiecać, że nigdy więcej nie zapyści się pani w rejon slumsów. Gdybym się tam nie zjawił...

– Ma pan rację. Jednak co dżentelmen robił w takiej podejrzanej dzielnicy?

– Ujrzałem panią w mojej witrynie sklepowej. Pani suknia. Jest czarująca. Kusila mnie i postanowiłem poznać godność właścicielki. Tylko ktoś wyjątkowy może nosić takie stroje.

– Chce pan powiedzieć, że śledził moją suknię?

– Młoda, piękna i w dodatku zabawna. To dość rzadkie połączenie wśród tutejszych dam.

– Dziękuję. – Amanda zaczynała się obawiać reakcji Henry’ego. Miała cichą nadzieję, że jest on jeszcze w fabryce. Inaczej będzie musiała się grubo tłumaczyć. Nie wspominając o zniszczonej sukni Jane.



Przy Beaufort Gardens 30 panował spokój. Amanda poczuła ulgę, gdy dojechała na miejsce. William Webb pierwszy wysiadł z powozu, po czym pomógł jej.

– Cieszę się, że mogłem panią poznać. To czysta przyjemność. Byłem winien Henry’emu przysługę. Nie wiedziałem jednak, że okaże się ona tak przyjemna w rewanżu.

Amanda nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Może pan nie wspominać Henry’emu o tamtym zajściu?

– Skoro to pani prośba, to chętnie ją spełnię. Proszę się nie martwić. Pozostaję do pani usług – wyznał, sięgając po jej dłoń.

Amanda próbowała przywyknąć do obyczajów tych czasów, na przykład do całowania dam w dłoń.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc. Uratował mi pan życie.

– To była przyjemność. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Amanda skłoniła się i ruszyła w stronę domu. Czuła na sobie wzrok Webba. Jednak kiedy w drzwiach powitał ją Henry, wszystko przyjęło niekorzystny obrót.

– Gdzie byłaś? Zamartwiałem się. I co ci się stało? Jak ty wyglądasz?

– Nic mi nie jest, żyję. Chcę tylko odrobinę wody.

– Miałaś siedzieć w domu. I nikomu się nie pokazywać. Tymczasem widziało cię pół Londynu, w dodatku nie wiem, co ci się stało! Jane jest nieodpowiedzialna, że puściła cię samą w miasto.

– To była moja decyzja. Nudziłam się. Chciałam poznać Londyn.

– Co z twoją suknią? I co to za powóz stoi pod domem?

Amanda podeszła do okna, przy którym stał Henry.

– To powóz Williama Webba. Podwiózł mnie pod dom.

– O, naprawdę? Czy wiesz, kto to jest?

– To dżentelmen.

– Dżentelmen! To największy casanova w Londynie i nie tylko. Rozumiesz, co mówię? Pokazywanie się z nim to nic dobrego, Amando. A ty jesteś moją żoną.

– Oficjalnie tak. I nic złego nie zrobiłam. Powiedział, że cię zna, że ma dług wobec ciebie...

– Jak go poznałaś?

– Jestem zmęczona.

– Odpowiedz.

Amanda zacisnęła zęby.

– O co ci chodzi? Zmieniłeś się.

– Mam na głowie całą fabrykę, wierzycieli. A ty urządzasz sobie schadzki. Wiesz, co mogło ci się samej przytrafić? Czy wiesz, co czyha w bocznych ulicach Londynu? Ilu ludzi dziennie tam ginie? Tam trwa walka o przeżycie.

– Wiem. Widziałam slumsy. I więcej tam nie pójde. Obiecuję. Niepotrzebnie się martwisz.

– Niepotrzebnie? Kocham cię i się martwię! Nie rozumiesz? To nie jest bezpieczne Portrush, Amando. – Henry spojrzał na jej smutną twarz.

Wtedy podeszła, dotknęła dłońmi jego twarzy i go pocałowała. Początkowo złość Henry’ego na to nie pozwalała. Lecz kiedy chciała już zrezygnować, przyciągnął ją do siebie mocno i odwzajemnił pocałunek.

– Nie rób mi tego nigdy więcej. Nie wychodź nigdzie beze mnie. Londyn nie jest bezpieczny. Zrozum to wreszcie.

– Dziś to do mnie dotarło. Przepraszam. Ale nie mogę wyjść nawet na chwilę?

– Nawet na sekundę – odparł. – A teraz się przebierz, zanim Jane zobaczy, co spotkało jej suknię.

– Poproszę Susanne, by ją wyprała.

– Takich sukien się nie pierze. Ale ona może znajdzie jakiś sposób na te plamy. Chodźmy do naszego pokoju. Musisz odpocząć.

Gdy byli już sami, Henry jeszcze raz zlustrował Amandę wzrokiem. Widok był nie do pozazdroszczenia.

– Pomóc ci się rozebrać? – spytał.

Oczy Amandy zapłonęły. Henry patrzył na nią w taki sposób, że nie wiedziała, gdzie się podziać.

– Poproszę Susanne. To dość skomplikowane. Zdjęcie tej sukni to cała procedura.

– Boisz się mnie?

– Nie. – Jej głos zdawał się ledwo słyszalny. Za to bicie serca już bardziej.

– Wiem, że ostatnio tak wiele się wydarzyło. Nie żałujesz swojej decyzji? – Henry stanął za nią i zaczął powoli odpinać guziki z tyłu sukni. Ciało Amandy delikatnie drżało. Wtedy do pokoju wtargnęły Jane i pokojówka.

- Amanda? Czy coś się stało?
- Nie – wtrącił się Henry. – Susanne, pomóż się przebrać mojej żonie. Miała małą przygodę.
- Ale nic ci nie jest? Martwiłam się o ciebie.
- Nie, już wszystko dobrze. Chcę tylko się przebrać i odpocząć. Przepraszam za suknię, Jane. Upadłam prosto w kałużę.
- Upadłaś? – Spojrzenie Jane zawstydziło Amandę.
- Przepraszam. Ja...
- Amanda się potknęła. Niefortunnie. – Henry posłał siostrze uśmiech.
- To nic. Susanne doprowadzi ją do ładu, o nic się nie martw. – Jane dostrzegła zdenerwowanie Amandy. – To tylko suknia.
- Była taka piękna. Tak mi strasznie głupio. Wszystko przez to, że najlepiej czuję się w spodniach.
- W czym? – Jane wymownie spojrzała na brata. – Co ona mówi?
- Ma na myśli spodnie od pidżamy. Wiesz jakie...
- A tak, o to mi chodziło, wtedy jest wygodnie. – Amanda wybrnęła z niemałym trudem. Wciąż nie mogła przywyknąć do faktu, że tutaj każdy jej ruch podlega ocenie.



Podczas gdy Amanda się przebierała, Henry wyszedł z Jane z pokoju, po czym zwrócił się do siostry.

- Nigdy więcej nie wypuszczaj jej z domu samej, rozumiesz?
- Ale co się właściwie stało? Boże, jak ona wyglądała!
- Też jestem przerażony. Amandzie może grozić niebezpieczeństwo. O nic więcej nie pytaj. To nie prośba.
- O czymś mi nie mówisz, prawda? – Jej niespokojne spojrzenie wyrażało troskę.

- Zaufaj mi, Jane. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie.
- Spokojnie, Henry, zadbam o nią.
- A jeśli zobaczysz kręcącego się pod domem Williama Webba, daj mi natychmiast znać.
- A co on miałby tu robić?
- Odwiózł Amandę pod dom. – Głos Henry’ego ponownie zabrzmiał groźnie.
- Ale jak to możliwe? To oni się znają? – Jane wpatrywała się w brata z niepokojem.
- Niestety już tak.



Nazajutrz przy śniadaniu Jane obwieściła, że wszyscy jadą do domu letniego odwiedzić mamę.

– Jedź, Henry, ja zostanę w domu. – Amanda wolała uniknąć tego spotkania. Czowała, że to dla niej zbyt wiele.

– Mowy nie ma – zaprotestowała Jane. – Mama musi cię poznać. Weszłaś do naszej rodziny. Nawet nie byliśmy na waszym ślubie. To niewybaczalne... Dlatego uznałam, że wyprawimy wam przyjęcie ślubne.

– Ale my nie braliśmy ślubu kościelnego – wtrąciła Amanda.

Henry poczerwieniał.

– Jak to? Mówiłeś, że się ożeniłeś. – Jane spojrzała na milczącego brata, który teraz mrugał do Amandy.

– Bo to był ślub w urzędzie. Nie mieliśmy czasu na wesele. Mogę prosić o sałatkę?

– Sałatkę? Ja tu o waszym ślubie, a ty o jedzeniu? To nie uchodzi. Mama się na to nie zgodzi. Nie możecie spać ze sobą w jednym łóżu bez prawdziwego ślubu. W przyszłym miesiącu zrobimy ślub i wesele. Odmów nie przyjmuję.

Henry spojrzał znacząco na Amandę. Ta wpatrywała się w pusty talerz, podśmiewając się pod nosem.

– Masz rację – stwierdził w końcu Henry. – Amanda zasługuje na prawdziwy ślub i wspaniałe wesele.

– Wszystkim się zajmę. Och, tak się cieszę, Amando, że weszłaś do naszej rodziny. Henry jest wreszcie szczęśliwy. Dawniej siedział tylko w swojej pracowni. Nie było go całe dni. No i nie chciał się żenić, a teraz proszę. Widzę, jak bardzo się kochacie.

– To prawda. Jesteśmy z różnych światów, ale tylko to nas połączyło. Mama na pewno cię zaakceptuje. – Henry z czułością chwycił dłoń Amandy, lecz dostrzegł w jej spojrzeniu lęk.



Kiedy przyjechali do letniego domku, obawy Amandy się potwierdziły. Gdy weszli do środka, Margaret Oldmann nawet na nią nie spojrzała, a syna karciała, jak mogła.

– Po co tu przyjechałeś? Teraz? – Siedziała w głębokim fotelu, w czarnej sukni, wpatrując się w rozpalony ogniem kominek.

– Mamo. Nie wiesz, co mną wtedy kierowało. Nie mogłem poślubić Emily Taylor. Musiałem sprawdzić, czy machina czasu zadziała. Zbadać do końca zależność czasu od...

– I tak nie rozumiem, co do mnie mówisz. Najlepiej nie mów już nic. Nie mam już syna...

– Mamo! – Jane krzyknęła, z płaczem podbiegając do fotela matki. – Co ty mówisz? To Henry, twój jedyny syn...

– Jaki syn? Mój syn nie uciekłby bez słowa. Nie okazałby się tchórzem. Zhańbiłeś naszą rodzinę. – Pani Oldmann spojrzała w końcu na Henry'ego. – Taylorowie odsunęli się od nas, podobnie jak większość londyńskiego towarzystwa. To było tak upokarzające. A twój ojciec?

Tamtej nocy szukał cię, a następnej miał zawał. Jane ci nie mówiła? A ona? – Spojrzała pogardliwie na Amandę. – Kto to niby jest?

– Mamo, proszę. – Jane próbowała ją strofować.

– To nikt – kontynuowała Margaret. – Na taką wygląda. To dla niej zostawiłeś Emily i położyłeś na szali dobre imię twojej rodziny? Rodziny, która o ciebie tak dbała i cię kochała?

– Nie kochaliście mnie! – Henry w końcu nie wytrzymał. – Kochaliście swoje koneksje i pieniądze. Tylko one się liczyły. Miałem robić, co mi kazaliście, i poślubić kobietę, która jest bogata. Ale czy kiedykolwiek spytaliście, czego ja chcę? Czego ja pragnę? Kogo ja kocham? Czy obchodziło was moje szczęście? No powiedz mi, mamo. Jak bardzo i co kochałaś naprawdę? A to jest Amanda, nie nikt! Jest moją żoną i kocham ją. Jest tu ze mną, bo ona też mnie kocha. I wiesz co, mamo? Jestem wreszcie szczęśliwy. Nie hermetycznie zamknięty, po prostu szczęśliwy.

– Wyjdźcie stąd. Wszyscy. – Margaret Oldmann poczerwieniała, a jej zaciśnięte usta zdradzały złość. – Nie mam już syna. Nie chcę was więcej widzieć.

Henry chwycił Amandę za rękę i opuścił letni dom, raz na zawsze. Nigdy więcej tam nie zajrzał. Matka go też nigdy o to nie poprosiła. Nie bolało go to. Był chłodno wychowywany. Matka się z nim nie bawiła, nie usypiała go. Robiły to nianie, które dawały mu więcej uczucia niż rodzice. A teraz, gdy miał u boku Amandę, poczuł wreszcie, czym jest prawdziwa miłość.

– To pewnie moja wina. Niepotrzebnie tu przyjechałam. Tylko ją rozdrażniłam.

– Nie zamartwiaj się tym ani nie obwiniaj. To strata czasu. Mojej matki nikt jeszcze nie zadowolił. Nawet ojcu się to nie udawało. – Głos Henry’ego brzmiał gorzko.

– Nawet na mnie nie spojrzała – drążyła Amanda.

Henry kipiał ze złości. Nie mógł jednak wiedzieć, jak bardzo źle czuła się teraz Amanda.

– Gardzi mną...

– To nie twoja wina. Gdybym wtedy nie uciekł i poślubił dziedziczkę fortuny Taylorów, byłbym najlepszym synem. Ale wiesz co? Niczego nie żałuję. Ani tamtej decyzji, ani tego, że spotkałem ciebie. Jesteś odważna i piękna. Która kobieta odważyłaby się wsiąść w jakąś machinę wariata i ryzykować życie dla szaleńca?

Amanda wpatrywała się w twarz Henry’ego.

– Może zakochana? – szepnęła, opierając głowę o jego ramię.

Oboje wsiedli do powozu, a ten ruszył i zaczął się kołysać na boki.

– Nie do końca wiem, co we mnie widzisz, ale ja też jestem zakochany. Bardzo – odparł, przybliżając twarz do jej twarzy. Dotknął dłonią jej policzka. Kiedy poszukał jej ust, musnął wargi delikatnie i czule.

Jane bardzo przeżyła spotkanie matki z Henrym, lecz została na noc w letnim domku. Amanda czuła, że dziewczyna jest zła na brata za to, że tak szybko wyszedł. Nie został pomimo jej próśb. Amanda obawiała się, że jej wizyta u pani Oldmann wszystko zmieni na gorsze. I wtedy ponownie zatęskniła za zapachem oceanu z Portrush. Jednak tutaj była z nim. Z mężczyzną, którego pokochało jej serce, a tego nie potrafiła już zmienić. Tego pragnęła.



Londyńskie ploteczki rozprzestrzeniały się z prędkością światła, więc o powrocie Henry’ego dowiedziała się również Emily Taylor, choć w niezbyt przyjemny sposób. Wciąż niepokodzona z niefortunnym zniknięciem niedoszęłego narzeczonego, przestała na jakiś czas bywać w towarzystwie. Jednak dziś zaprosiła na popołudniową herbatkę pół Londynu.

– Henry Oldmann wrócił? Naprawdę?

– Nie wiedziałaś o tym? Widzę, że wcale nie znasz go tak dobrze, jak twierdziłaś, moja droga.

Emily nie mogła znieść upokorzenia. Kreowała się przecież na najlepiej usytuowaną pannę w Londynie.

– Po takim potraktowaniu powinnaś była szybko wyjść za mąż.

– Ty tak twierdzisz, Elizabeth. Ja jestem inna. Jeśli Henry wrócił, to na pewno złoży mi rychłą wizytę. I wszystko sobie wyjaśnimy. Może nawet będzie ślub. Wciąż darzę go uczuciem i jestem gotowa przyjąć go na nowo.

– Widzę, moja droga, że ty o niczym nie wiesz. To doprawdy zadziwiające jak na ciebie. – Elizabeth aż musiała napić się herbaty.

– O czym to niby nie wiem? – Emily przewróciła oczami.

– Henry Oldmann wrócił, ale nie sam.

– A niby z kim?

– Z żoną. Doprawdy, Emily, jesteś totalnie niedoinformowana.

Emily pobladła, po czym wypuściła z rąk filiżankę. Złocista herbata zabarwiła kremowy dywan.

– Emily, dobrze się czujesz? – Przyjaciółka udawała zatroskanie, jednak wcale nie żałowała dziewczyny. Jakiś czas temu sama przeżywała podobną sytuację, a Emily jej dokuczała. Teraz mogła odwdzińczyć się jej z nawiązką.

– Słabo mi. Podaj mi wody, proszę...

Nim doszła do siebie, Elizabeth ruszyła już na miasto rozgłaszać nowiny. Londyńskie towarzystwo musiało przecież czymś zapełnić czas. Tymczasem Emily nie potrafiła przyjąć do wiadomości faktu, że Henry się ożenił.

– Najpierw cię poznam, a potem zniszczę, kimkolwiek jesteś... – Podeszła do okna. Jej usta mocno zaciśnięte wyrażały wściekłość. Potem długo wpatrywała się gdzieś przed siebie, snując w głowie misterny plan.



Nazajutrz Henry znowu pojechał do fabryki. Amanda miała spędzić ten dzień samotnie. Obeszła więc wszystkie salony, pokoje, zajrzała do każdej skrytki. Na dodatek Jane jeszcze nie wróciła od mamy. Widać postanowiła zostać u niej dłużej. Amanda pamiętała obietnicę złożoną Henry'emu, że nie będzie sama opuszczać domu. Doskonale rozumiała już, jakie nieszczęście może to spowodować. Postanowiła więc choć z daleka poobserwować życie toczące się na wielkowiejskiej ulicy. Kiedy spojrzała przez okno, zauważyła dwóch podejrzanych typków kręcących się pod domem. Odruchowo chciała cofnąć się w głąb pokoju, lecz zahaczyła o firanę, długą aż do podłogi. Ta poruszyła się, co zdradziło obecność dziewczyny. Jeden z mężczyzn zauważył ruch w oknie, zwrócił tam wzrok i dostrzegł twarz Amandy. Zdjął kapelusz i skłoniwszy się, uśmiechnął się szyderczo. Amanda schowała się za ścianę.

– Jeśli to strażnicy czasu, to już wiedzą, gdzie mieszkam. Mój czas w Londynie się kończy, Henry. Nie widzisz tego?

Kiedy ponownie zerknęła zza firany, ich już nie było. Za to pod dom podjechała karetka zaprzęzona w cztery konie. Wysiadła z niej czarnowłosa dama w pięknej czerwonej sukni. A co bardziej niepokojące, kobieta zdecydowanym krokiem zmierzała w kierunku drzwi.

– No to mamy dziś dzień wizyt – wyszeptała Amanda. Nie była z tego powodu zadowolona.

Nie miała ochoty nikogo poznawać. Ani tym bardziej przyjmować. Kiedy zeszła na dół, dama czekała już na nią w salonie. Przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Łapała wzrokiem każdy szczegół wyglądu Amandy, skrupulatnie go zapamiętując.

– Dzień dobry. Czym mogę pani służyć?

– Jestem Emily Taylor, czy zastałam Henry'ego?

Amanda zwątpiła. Domyślała się, że to kobieta, z którą miał ożenić się jej Henry i przez którą tak nienawidziła jej pani Margaret.

– Nie. Henry wyszedł do fabryki. Mają tam mały kryzys.

– A ty to? – Emily nie dosyć, że przeszła na „ty”, to jeszcze okrążyła ją jak lwica oglądająca swą ofiarę. Amanda postanowiła zachować się podobnie, nie okazując zdenerwowania czy strachu. Spojrzała Emily prosto w oczy.

– Jestem żoną Henry’ego Oldmanna. Mam na imię Amanda.

Wtedy dostrzegła nerwowy tik na twarzy rywalki.

– To dziwne. Henry nigdy nie lubił chuderlawych, jasnowłosych dziewczyn.

– Widać nie znała go pani dość dobrze. Czy mam mu coś przekazać? Bo pani zapewne się dokądś spieszy.

Emily płonęła złością, aż jej policzki poczerwieniały.

– Wierzyć się nie chce, że Henry pozwala ci chodzić w tak pospolitej sukni. To niedopuszczalne, by kochający mąż ubierał żonę tak zwyczajnie. Moja służąca nosi lepszą. Chyba muszę z nim porozmawiać. – Emily zdawała się tryumfować. Ta kąśliwa uwaga pomogła jej upuścić z wnętrza hektolitry zazdrości i nienawiści.

– Proszę się nie trudzić. – Głos Amandy zabrzmiał chłodno. – Dla pani jestem panią Amandą Oldmann, gdyż nie przypominam sobie, byśmy miały bliższe relacje. A co do moich strojów to pozwoli pani, że nie ocenię jej sukni. Jest aż nadto krzykliwa, by można o niej cokolwiek wspomnieć. Kobieta skromna i pewna siebie nigdy nie będzie potrzebowała krzyczeć do innych tak wyzywającą czerwienią, tym bardziej do mężczyzn. Bo przecież taki cel pani miała. Prawda? – Amanda nie poznawała samej siebie. Nie spuszczała wzroku z Emily, która z trudem powstrzymywała się od dalszego ataku. – A teraz proszę wybaczyć, jestem umówiona. Susanne! – krzyknęła do pokojówki. – Pomóż pani Taylor znaleźć drogę do wyjścia. – Amanda odwróciła się na pięcie i wyszła z salonu.

Kiedy spojrzała przez okno, Emily siedziała już w powozie, lecz dostrzegła jej pełne nienawiści spojrzenia rzucone ukradkiem. Amanda pojęła, że ma kolejnego wroga, który łatwo jej nie odpuści.

W dodatku po powrocie Henry'ego do domu goniec przyniósł całe naręcze różowych róż z dedykowaną karteczką. Henry przychwycił ją i przeczytał.

Dla najpiękniejszej damy w Londynie – William Webb.

PS Liczę na nasze kolejne spotkanie.

– Co to znaczy? Przecież ostrzegałem cię przed tym mężczyzną.

– Nie wiem. Spotkałam go tylko raz. Nie mam pojęcia, dlaczego przysłał te kwiaty. Nie prosiłam o nie. Przyjęłabym je chętnie, gdybyś to ty chciał mi takie podarować. Odeślij je, jeśli ci przeszkadzają.

– Tak zrobimy. Susanne! Proszę, załatw to i odeślij bukiet panu Webbowi, z tą karteczką.

Henry nakreślił na niej kilka słów.

– Niepotrzebnie jesteś zazdrosny. Webb mi pomógł, uratował mnie z poważnej opresji. Ale to ciebie pokochałam. – Amanda pocałowała go w policzek.

Henry natychmiast przytulił ją do siebie.

– Nie wytrzymałbym tu bez ciebie.

– Ani ja. Pokażesz mi wreszcie swoje tajne laboratorium?

– Nie teraz.

– A kiedy? Henry, inaczej sobie to wszystko wyobrażałam.

– Jesteś rozczarowana? Tego właśnie się bałam, dlatego nie chciałam, byś tu ze mną przybyła. To nie jest Portrush, gdzie mogłaś surfować w oceanie czy biec na klif.

– Wiem. I mój czas tutaj chyba się kończy. Oni mnie znaleźli, Henry. A ja nie chcę wracać bez ciebie.

– Jak to znaleźli? Dlaczego dopiero teraz o tym mówisz?

– Jacyś mężczyźni stali dziś pod domem. Widzieli mnie. Boję się, że następnym razem nie skończy się tylko na tym. Wiem, że to byli strażnicy czasu.

Henry pobladł.

– Jeśli cię złapią, zaczną przesłuchiwać. Gdy się przyznasz, że przekroczyłaś portal, możesz trafić do otchłani czasu. A z niej nie ma wyjścia.

– Henry, przybyłam tu za tobą, bo tak mówiło mi moje serce, ale...

– Ale?

– Tęsknię za moimi czasami. Za oceanem, widokiem z klifu, za wietrzną pogodą i Starym Jackiem, za Jess. Przepraszam cię, lecz byłeś tam inny. Oboje byliśmy inni. I chcę, by to wróciło.

– Nie przepraszaj, Amando. Londyn bywa męczący i niebezpieczny. I sądzę, że w tej sytuacji będziesz musiała wrócić do siebie, i to jak najszybciej. – Henry wpatrywał się w nią z niepokojem.

– Co? Nie wrócę bez ciebie, to niemożliwe. Nie zgadzam się.

– Posłuchaj mnie, Amando. – Henry pochwycił jej dłonie.

– Nie!

– Wrócisz do Portrush beze mnie, bo na razie muszę tu zostać. Ale wrócę do ciebie, odnajdę cię, obiecuję. Ja też chcę wrócić do Portrush.

– Nie, ty już nie wrócisz. Ożenisz się z tą całą Emily w pięknej, czerwonej sukni i zapomnisz o mnie.

– Co za głupoty wygadujesz i dlaczego o niej wspominasz?

– Była tu.

– Kiedy?

– Dziś rano. Pytała o ciebie. Włożyła tę cudowną kieckę dla ciebie. Myślisz, że nie wiem? Ona cię wciąż pragnie, Henry. Och, była taka wyniosła. Puszyła się przede mną jak paw.

– I co zrobiłaś?

– Jak to co? Przegnałam ją. Jesteś mój. Potraktowałam ją tak jak ona mnie.

Henry zaśmiał się pod nosem.

– Moja kochana zazdrośnica.

– Nie wrócę bez ciebie. Nie potrafię już bez ciebie żyć, Henry.

– Ja też nie chcę bez ciebie się budzić, ale oni cię znaleźli. Rozumiesz? To nie żarty. A teraz chodź ze mną. Pokażę ci moje laboratorium.

– Ale przecież wehikuł się rozpadł. Nie mamy już powrotu.

– Mamy.

Amanda spojrzała na niego z lękiem.

– Boję się. Wróćmy razem do Irlandii. Przecież tam jest tak pięknie. Będziemy tam szczęśliwi.

– Amando. Nie mogę tam teraz wrócić. Jeszcze nie teraz.

– Ale dlaczego? Naprawdę mnie kochasz? Bo może to tylko ja czuję to coś. Ja się nie wahałam. Nie puściłam cię samego. Zostawiłam wszystko.

– Posłuchaj, kochana. – Henry dostrzegł w jej błękitnych oczach łzy. – Kiedy trafiłem do Portrush, byłem najsamotniejszym człowiekiem na ziemi. Wpatrywałem się jak głupiec w otchłań oceanu, myśląc o powrocie. Lecz kiedy cię ujrzałem, wszystko się zmieniło. Byłaś tak inna, tak piękna i tak łatwo wpadałaś w kłopoty. Na szczęście musiałem ci pomóc, a potem cię pokochałem. A kiedy zechciałaś przebyć ze mną portal czasu, ryzykując wszystko, zostawiając swe życie, czułem się najszcześniejszym z ludzi. Kocham cię, Amando. I choć tylko udajemy małżeństwo, to wierzę w to, że kiedyś zostaniemy nim naprawdę. Tutaj lub w Portrush.

– Tylko jak ja bez ciebie wytrzymam?

– Wytrzymasz. A potem ci się oświadczę i...

– Cicho. – Podeszła do niego i położyła palec na jego ustach. – Nie zdradzaj mi nic więcej.

– Och, Amando.

– Henry, czy oni dadzą ci spokój? Gdy już wrócisz?

– Tylko jeśli zeznam, że nigdy więcej nie przekroczę portalu czasu.

– Ale Henry...

– Zrobię to dla ciebie.

– Dlatego że mnie kochasz?

- Dokładnie dlatego – wyznał, całując jej usta.
- A co, jeśli któregoś dnia będziesz miał mnie już dość?
- Od miłości nie ma odwrotu. Nie od ciebie.

Amanda przymknęła oczy. Te wszystkie deklaracje i zapewnienia...

Potem Henry pokazał jej swoje podziemne królestwo. To tam wcześniej spędzał całe godziny, badając i wynajdując maszynę czasu.

- Zbudujesz nowy wehikuł?
- Nie. Nie zdążę. Ale jest inny sposób.
- Jaki?

– Posłuchaj mnie uważnie. Przy Fleet Street 7 znajdziesz stary zakład zegarmistrzowski. Od niego wszystko się zaczęło. Spotkasz tam kogoś znajomego, dlatego nie przestrasz się. Kiedy będzie bardzo źle, a ja nie zdołam ci pomóc, musisz tam wrócić.

– Co ty mówisz?

– Musisz znaleźć zegar przejścia. On ci pomoże przemieścić się w czasie i wrócić do Portrush.

– Kto to, Henry, o kim mówisz? Kogo tam spotkam? – Wzrok Amandy zdradzał strach.

– Sama zobaczysz.

– Mówisz tak tajemniczo. Przerażasz mnie. Zegar przejścia? Co to takiego?

– To wyjątkowa rzecz. Tylko nielicznym się udaje. Ty będziesz jedną z nich.

– Henry, błagam cię.

– To zegar, który przeniesie cię do twojego Portrush. To będzie twój portal czasu, gdy nadejdzie właściwy moment.

– Do mojego Portrush? Sądziłam, że to również twoje miejsce, nasze.

– Bo tak jest. Lecz to nie żarty, Amando. Wystarczy jeden niewłaściwy ruch, a stracę cię na zawsze. I nie będę mógł ci pomóc. Rozumiesz? – Henry pochwycił ją w ramiona. – Pójdź do tego zegarmistrza jeszcze dziś.

Zawiezie cię tam nasz powóz. Zorientuj się, gdzie jest ten zegar, i zdobądź jak najwięcej informacji.

– Dlaczego nie pojedziesz tam ze mną?

– Nie mogę. Robotnicy zaczynają strajkować. Nie mogę znowu uciec. Jane na to nie zasługuje. Muszę to wszystko naprawić. Przynajmniej tyle, ile się da.

– Porozmawiasz jeszcze z matką?

– Nie.

– To twoja mama, Henry. Kierowały nią złość i ból. Odwiedź ją.

– I ty to mówisz? Jak ona cię potraktowała? Po co mam do niej iść? Żeby mnie znowu przegnała?

– Proszę, zrób to dla mnie.

– Zastanowię się – westchnął.

– Zrób to, zanim będzie za późno. Wiem, co mówię.

Henry pocałował jej dłoń.

– Jakie to wszystko dziwne. Zagubiłam się w czasie dla ciebie. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam cię na klifie, to ty wydałeś mi się taki zagubiony.

– Obserwowałem cię z tego klifu.

– I ciągle ratowałeś mi życie. – Uśmiechnęła się.

– Masz wyjątkową umiejętność pakowania się w kłopoty.

Amanda spojrzała Henry'emu głęboko w oczy.

– Ta Emily jest bardzo ładna. Ja nigdy nie będę taką damą.

– Gdybym chciał poślubić damę, to już dawno byłbym żonaty. Więc moja ukochana Amando, przestań być wreszcie zazdrosna, choć przyznaję, że to bardzo urocze.

– Nie jestem zazdrosna. Ja tylko...

– Tylko co? – Spojrzał na nią z powagą.

– Nic – odpowiedziała ze złością. – Pojadę lepiej do tego zegarmistrza.

– Poczekaj. – Henry złapał ją w tali. – Nic to nie jest odpowiedź, moja droga.

– Ona jest piękna. Elegancka. I jak pachniała. Boję się, że ona ci nie odpuści. Nie rozumiesz? W dodatku czuję się tu tak obco. Jakbym wpadła do ogromnego naczynia z marionetkami. Jestem tu tylko dla ciebie.

– Wiem, wiem to wszystko. Ja też za tobą pójdę wszędzie. Więc zaufaj mi i dalej mnie kochaj.



Dwie godziny później Amanda siedziała w powozie. Kierowała się na ulicę Fleet Street, jednak wciąż miała w głowie słowa Henry’ego. Miał rację. Był wyjątkowy, tak inny, dżentelmeński i zarazem silny. Czowała się przy nim szanowana jak prawdziwa dama. Nie był nachalny jak Igor ani przykry. Za to go pokochała. Jednak i tak tęskniła za swoim Portrush. Myślała o ojcu, którego zostawiła. Jak się czuł, gdy czytał jej list? Miotaly nią ogromne wątpliwości. Czy wystarczy tej miłości na pokonanie tylu przeszkód? I jak ona zniesie rozstanie? Jak zdoła żyć dalej, jeśli Henry jednak do niej nie wróci? Amanda spoglądała przez okno powozu. Wszystko w środku trzęsło się od nierównej nawierzchni. Tutaj nie było asfaltówki, lecz ubita, piaszczysta droga wybrukowana kamieniami.

Powóz w końcu dojechał na miejsce. Stary zakład zegarmistrzowski znajdował się na rogu, tuż przy skrzyżowaniu ulic, o których wspominał Henry. Mały, wydawałoby się wręcz niepozorny. Amanda szybko odprawiła woźnicę. Miała ochotę w drodze powrotnej się przespacerować. Wiedziała, że to nierozsądne, jednak miała tyle spraw do przemyślenia.

Ubrana w długą suknię w kolorze ciemnego brązu i kapelusz na głowie weszła do środka. Wiedziała tylko, że musi znaleźć wyjątkowy zegar, o którym wspominał Henry. Ale były tu chyba wszystkie możliwe zegary. Od wiszących na ścianie z kukułkami, po stojące, przypominające drzwi domu. Amanda wyobraziła sobie zegar przejścia jako tajemniczy i ukryty w ścianie. Pozornie wyglądający jak wiele innych zegarów, jednak wyjątkowy na tyle, by nie umknął jej uwadze. I nagle uświadomiła sobie, że

wnętrze zakładu przypomina antykwariat z Portrush. Miała go wciąż w pamięci. A kiedy pojawił się sam zegarmistrz, Amanda zaniemówiła. Mężczyzna wyglądał jak Stary Jack. W każdym razie bardzo go przypominał.

– Słucham panią? – Spojrzał na nią przenikliwie. Amanda miała wrażenie, że uśmiechał się pod nosem.

– Dzień dobry. Szukam pewnego wyjątkowego zegara.

– Jak bardzo wyjątkowego?

– To niesamowite. Bardzo mi pan kogoś przypomina. Znałam kiedyś Starego Jacka. To znaczy tak miał na imię i też był zegarmistrzem.

– O, doprawdy? Cóż, na świecie jest wielu zegarmistrzów.

– Wiem, ale pan naprawdę bardzo go przypomina.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Chyba mam jeden wyjątkowy zegar. Proszę za mną i proszę zakluczyć zamek w drzwiach. Na dziś już zamknięte – powiedział, patrząc na nią badawczo.

Amanda poczuła mrowienie w dolnej części brzucha. Podążała za zegarmistrzem trzymającym w ręce lampę na naftę. Było tu ciemnawo, żeby nie rzec: ponuro. Antykwariat w Portrush zdawał się teraz Amandzie o wiele wspanialszy i przytulniejszy. Poszli schodami prowadzącymi w dół. Były tu drzwi przypominające ogromny zegar. Ozdobna tarcza ze wskazówkami na górze zdradzała ich prawdziwe przeznaczenie.

– To on. Zegar przejścia. Twój Henry, Amando, widział go nieraz. Wiedziałem, że w końcu cię tu przyśle.

– To jednak ty, Stary Jacku? Wiedziałam. To niesamowite podobieństwo. To nie mógł być przypadek. Ale co tu robisz, jak to jest możliwe?

– A jak sądzisz? – Uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– Też podróżujesz w czasie. Czy tak? Inaczej nie byłoby to możliwe...

– Posłuchaj mnie uważnie, moja droga Amando. Znasz już i moją tajemnicę. Niestety jesteś pod obserwacją strażników czasu. Wierz mi,

dobrze ich poznałem. Ścigają mnie, bo znowu przekroczyłem portal czasu. Mój czas mija, podobnie jak twój tutaj. Czy wiesz, co ci grozi?

– Otchłań czasu.

– Niestety nic w życiu nie jest za darmo. My, podróżnicy czasu, płacimy za to podwójnie. Ciągłe uciekamy przez strażnikami, jednocześnie tracimy to, co przeżylibyśmy w naszej teraźniejszości.

– Ale ja chciałam uciec z Portrush, zostawić wszystko daleko za sobą.

– Ponieważ pokochałaś. A z miłości robi się wiele rzeczy, czasem nawet pokonuje się czas. – Stary Jack posłał jej uśmiech. – Też byłem młody i też kochałem.

– I dla niej przekroczyłeś czas?

– Oczywiście. – Przymknął oczy w zamyśleniu. – Ale teraz nie o tym. Zegar przejścia otwiera się raz na jakiś czas, Amando.

– Kiedy się znowu otworzy?

– O północy.

– Co, to niemożliwe?! – krzyknęła zrozpaczonym głosem. – To za szybko. Nie mogę go zostawić samego.

– Spójrz na mnie, moja droga. – Stary Jack pochwycił ją za ramiona. – Zegar przejścia otwiera się raz w roku, czyli dziś. Jeśli do niego nie wejdiesz, oni złapią cię i już nigdy nie zobaczysz Portrush ani twojego Henry’ego. Nie możesz się bać. I nie masz wyjścia. On cię odnajdzie i wróci do ciebie. Zobaczysz. O to nie musisz się martwić.

– Skąd ta pewność?

– Mężczyzna zakochany patrzy na kobietę w pewien specyficzny sposób. A Henry tak właśnie na ciebie patrzy.

Amanda pobladła. Bolał ją brzuch, a wewnątrz miotały ją wątpliwości.

– Boję się, że to wszystko to jakiś dziwny sen, a kiedy się z niego wybudzę, to nic nie będę pamiętała. Henry’ego też...

– Tylko głupiec nie ma obaw. Ale zapewniam cię, że to nie sen. Musisz tu być przed północą. Będę na ciebie czekał. Nie spóźnij się!

– Rozumiem – odparła bez przekonania.

To Henry ją tu wysłał. Wiedział, że to dziś. Zostało tak mało czasu. Załamana Amanda postanowiła wrócić pieszo do domu, mimo że spodziewała się za to ostrej reprimendy. Słońce oślepiło ją zaraz po wyjściu z ciemnego pomieszczenia. Czuła na sobie ciężar i strach. Nie żałowała, że przybyła tu za ukochanym, lecz teraz bała się, że to wszystko bezpowrotnie utraci. Że to był tylko sen o dawnych czasach, w których mogłaby żyć i kochać.



Ulice Londynu jak zawsze przepełniali spacerujący ludzie. Amanda znów obserwowała długie suknie, szerokie kapelusze, fraki, białe koszule. Ale i stojące pod witrynami sklepów kwiaciarki proszące o kupno kwiatka, pucybutów, wozy, ulicznych sprzedawców gazet... Kręciło jej się w głowie od tego zgiełku i nieustających niespokojnych myśli. Oszołomiona zatrzymała się przed sklepową witryną. Nawet kapelusz ją dziś drażnił. Miała ochotę go zrzucić i pobiec przed siebie z rozpuszczonymi włosami. Ale kiedy po chwili spojrzała za siebie, zorientowała się, że ktoś ją śledzi. Już wcześniej miała wrażenie, że para idąca pod rękę i podziwiająca miasto za każdym razem, gdy Amanda przystawała, była tuż za nią, dziwnie się jej przypatrując.

„Dlaczego znowu mam wrażenie, że pakuję się w tarapaty? Jak ich zgubić?”

Zaniepokojona przyspieszyła kroku. Długa suknia nie pomagała jej jednak w szybkim marszu. Amanda przeciskała się między przechodniami, oglądając się za siebie. Śledząca ją para już wiedziała, że dziewczyna zorientowała się, w czym rzecz. Prześladowcy stali się uważniejsi i nagle zniknęli w tłumie.

„Gdzie oni są? Co knują?” Amanda rozglądała się nerwowo na boki, zerkając za siebie. Ktoś z przechodniów ją popchnął. Z nerwów nie była

w stanie logicznie myśleć. Upał, gwar i mieszanka ulicznych zapachów spowodowały, że zrobiło jej się słabo. Przystanęła i oparła się o pierwsze napotkane drzwi. Potem zrobiło jej się ciemno przed oczami, aż w końcu osunęła się na chodnik.

– Proszę pani. Nic pani nie jest? Przynieście wody! – Ktoś z przechodniów krzyczał, wołając o pomoc.

– Odsuńcie się, jestem lekarzem. – Elegancka kobieta w modnym kapeluszu w stylu francuskim przepchała się przez tłum gapiów. – Zróbcie miejsce, ludzie, i rozejdźcie się! Ona potrzebuje tlenu i cienia. – Klepała Amandę po twarzy.

– Przepraszam! Proszę mnie przepuścić – krzyknął z tłumu rosły mężczyzna z małym kapeluszem na głowie. Podszedł do Amandy i bez pytania pochwycił ją na ręce. Wraz z elegantką podeszli do czarnego powozu, który właśnie podjechał na miejsce, i wsadzili ją do środka, a chwilę później powóz popędził naprzód. Pozostali na ulicy londyńczycy jeszcze długo dyskutowali o tym, co się tu wydarzyło.



Nadszedł wieczór.

W domu Oldmannów panował popłoch. Henry odchodził od zmysłów. Sam wysłał Amandę do zegarmistrza, a teraz nie miał pojęcia, gdzie ona jest. Nie wróciła do domu. W dodatku odesłała powóz.

Tak bardzo się denerwował, że zanim wyruszył do zegarmistrzowskiego zakładu, jego siostra posłała po znanego detektywa Scotland Yardu, zasłużonego sir Thomasa.

– Proszę się uspokoić. Nerwy w niczym nam nie pomogą. Zatem kiedy ostatnio widział pan żonę? – Starszy mężczyzna z długimi wąsami lustrował wzrokiem cały dom, w tym również pokojówki, pozostałych mieszkańców i wszystkie kąty.

– W południe. Miała pojechać do starego zegarmistrza na Fleet Street 7. Niestety nie wróciła do domu. Ponoć odmówiła powrotu powozem. – Henry był zły na siebie, a jednocześnie się zamartwiał.

– Cóż, kobiety, pewnie chciała się przespacerować. – Detektyw Thomas badawczo przyglądał się Henry’emu. – Czy żona mogła się zgubić? Sam pan wie, że Londyn nie należy do bezpiecznych miejsc. Wystarczy skręcić nie w tę ulicę i zapuścić się w stronę cuchnących uliczek pełnych biedoty, gdzie roi się od złoczyńców i... – Podkreślił mocno węża, a potem spojrzał uważnie na Henry’ego.

– Proszę nie kończyć.

– Musimy wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Samotna kobieta. Właśnie, dlaczego żona pojechała do tego zegarmistrza sama?

– Poprosiłem ją o to. Nie mogłem z nią jechać.

– Wielka szkoda. Ponoć już raz się zgubiła, ale ktoś jej pomógł. Czyż nie? – Detektyw Thomas miał ten specyficzny sposób „prześwietlania” rozmówców wzrokiem.

– Skąd pan o tym wie?

– Pan wybaczy, ale wykonuję swoją profesję od wielu lat i widziałem już takie rzeczy, o których pan nawet by nie pomyślał. Zatem czy można spytać, kto to był?

– William Webb. – Henry wypowiedział to nazwisko przez zaciśnięte zęby.

– Proszę, proszę. To bardzo wpływowy człowiek i lubi kobiece towarzystwo. Czy możliwe, że coś go łączy z pańską żoną?

– Co pan sugeruje? – Henry gniewnie zmarszczył czoło. – Amanda się szanuje.

– Ależ nic. To oczywiste. Próbuję tylko wydedukować, co mogło spotkać pańską żonę lub kto mógł ją spotkać.

– Rozumiem pana intencje, jednak moja żona to porządna kobieta. Nie zadaje się z podejrzanymi typami.

– Cóż... Niezależnie od tego, kogo pan uważa za typa, a kogo nie, mam panu pomóc. Czy tak? Poza tym już raz wróciła powozem z tym całym Webbem.

– Zgadza się. – Henry zacisnął pięść.

– Dlatego proszę przede mną niczego nie ukrywać. To nie posłuży sprawie, śledztwu, a tym bardziej pańskiej żonie. A teraz pozwoli pan, że się oddalę. Idę zasięgnąć z moimi ludźmi języka. A.... – cofnął się w drzwiach – czy ma pan jakąś fotografię, portret żony? To znacznie ułatwiłoby poszukiwania.

– Niestety nie. Amanda ma jasne włosy i błękitne oczy. Jest szczupła i wysoka.

– To na pewno piękna, młoda kobieta, co czyni sprawę poważniejszą. – Detektyw znowu podkreślił wąsa.

– A to dlaczego?

– Niech pan sam pomyśli. Pytanie brzmi, kogo spotkała w czasie powrotu do domu, panie Henry Oldmannie. Uszanowanie. – Detektyw nieco uniósł kapelusz, skłonił się i opuścił dom.

Nerwowa atmosfera nie mijała. Wizyta detektywa nie uspokoiła Jane.

– A co, jeśli to oni ją zabrali? Henry, słyszysz mnie?!

– Nie mów tak...

– Ale to możliwe. Nie mów, że o tym nie pomyślałeś. Wiedzieli, jak wygląda, gdzie mieszka. Mogli ją śledzić. To bardzo prawdopodobne.

Henry wstał i sięgając po płaszcz, oznajmił:

– Jeśli tak, to Amanda jest w ogromnym niebezpieczeństwie. Zostań w domu i zamknij drzwi. Idę jej szukać. Muszę coś zrobić. Jeśli wróci ten detektyw, powiedz mu, że pojechałem do zegarmistrza. Będzie wiedział do którego.

– Henry... – Jane miała smutek w oczach. Dotknęła jego policzka, gdy stał już w progu drzwi. – Uważaj na siebie...

Jane patrzyła, jak brat wsiada do powozu. Zaczęło padać, a wiatr, który nagle się zerwał nie wiadomo skąd, podwiewał jej suknię. Zamknęła

w końcu drzwi, bo zrobiło się chłodno. Zupełnie jakby aura też miała pokrzyżować ich plany.



Było już późno, kiedy Stary Jack doszedł do drzwi.

– Kto dobija się do mnie tak późno? – Kiedy w progu ujrzał Henry’ego, wiedział już, że coś się stało.

– Dobry wieczór. Szukam Amandy. Wiem, że u pana była. Sam ją tu wysłałem.

– Wejź do środka, Henry. – Zegarmistrz zaprosił go szerokim gestem i zaraz skrupulatnie zamknął za nim drzwi. – Owszem była tu, lecz w południe. Co cię do mnie sprowadza? Zapewne jakieś kłopoty... – Stary Jack spojrział na niego, mrużąc oczy.

– Amanda nie wróciła do domu. Nie wiem, gdzie jej szukać.

– Nie wróciła? To niemożliwe. – Mężczyzna podrapał się po głowie. – To znaczy, że ją śledzili. A to z kolei znaczy, że ją mają.

– Co ty mówisz, człowieku?! – Henry przestał nad sobą panować. Chwycił go za marynarkę i potrząsnął.

– Puść mnie i się uspokój. Nerwy tu nie pomogą. Wierz mi.

– Wybacz mi, proszę. – Henry puścił Starego Jacka i oparł się o ścianę.

– Źle wyglądasz. I wiem, że się o nią zamartwiasz. Mogę ci pomóc, lecz to może być niebezpieczne.

– Wiesz, gdzie mogą ją przetrzymywać?

– Wiem, gdzie przetrzymywali mnie.

– Mów, proszę.

– Wiesz, gdzie jest podziemne miasto w Londynie?

– Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Co to?

– To coś w rodzaju podziemnej fortecy. Mają tam swe siedziby najciemniejsze ugrupowania Wielkiej Brytanii.

– Straż Czasu również, tak?

– Niestety. Jeśli mam rację, nie mamy wiele czasu. Będą ją przesłuchiwać.

Henry walnął pięścią w ścianę.

– Gdzie więc jej szukać?

– Za londyńskim metrem. Musimy ją odnaleźć, pomogę ci. Polubiłem tę dziewczynę jak własną córkę.

– Ile mamy czasu?

– Zanim wybije dziś północ.

– Co? Nie zdążymy!

– Musimy. – Stary Jack poklepał go po ramieniu, a potem na chwilę zniknął za ciemną kotarą. Wrócił z przypominającą mały namiot walizką i ze starą mapą.

– Kiedy im uciekłem, pamiętałem każdy szczegół, każdy labirynt czasu. Wszystko tu narysowałem, pozaznaczałem.

– Po co?

– Po co? – Twarz Starego Jacka się zmieniła. – Zabrali mi żonę i córkę. Byłem podobny do ciebie, Henry. Młody, szalony, gotowy na każde wyzwanie, na poznawanie nowego. Ale zakochałem się. Jasmine była piękną arystokratką. Poznaliśmy się przypadkiem i pokochaliśmy od pierwszego spojrzenia. Niestety, nie śmierdziałem groszem, a jej rodzina nie przyjmowała do wiadomości, że może się narazić na taki mezalians. Jasmine uciekła więc ze mną. Wiedziała o moich podróżach w czasie. Fascynowały ją. Przypominała twoją Amandę. Kochała mnie szaleńczo i była gotowa podróżować ze mną, mimo że to było bardzo niebezpieczne. W końcu osiedliliśmy się na stałe właśnie w Londynie. Żyliśmy z mojej pensji zegarmistrza, niebawem urodziła się Wiktoria. Byliśmy tu jednak za długo, wiedziałem o tym, ale mieliśmy dziecko. Nie mogłem jej narażać na te podróże. No i wysłedzili mnie. Zamknęli w podziemiach i całymi dniami przesłuchiwali. Po co tu przybyliśmy, w jakim celu, czy jesteśmy szpiegami, czy chcemy coś ukraść, przemycić i podobne. Zdołałem stamtąd

uciec, ale oni zdążyli już zabrać Jasmine i naszą córkę. Nigdy sobie tego nie wybaczę, że je na to naraziłem...

– Dokąd je zabrali? – Twarz Henry’ego gorzała strachem i złością.

– Nie wiesz? Utknęły na zawsze w otchłani czasu. To więzienie, w którym tkwisz do końca i nie wiesz, gdzie jesteś. Nie możesz tam normalnie żyć, bo jesteś zawieszony w czasie. W końcu tracisz poczucie wszystkiego, łącznie z tym, kim jesteś.

– Nie czekajmy zatem dłużej. Nie mogę skazać Amandy na to okrucieństwo.

– Nie możesz. Nie zdołałem pomóc moim ukochanym, lecz może zdołam pomóc tobie.

– Co proponujesz?

– Opracujmy plan. Wróć teraz do domu i zabierz niezbędne rzeczy. Cokolwiek, co może nam pomóc. I jeszcze jedno. Nikomu nie mów, co zamierzamy. Jeśli plan ma się powieść, to lepiej, żeby o tym nie wiedziało za dużo osób. Strażnicy czasu są przebiegli; jeśli zobaczą, że coś się święci, to mogą zniknąć. I wtedy już na pewno jej nie znajdziesz.

– Wróć za godzinę, czekaj na mnie.

– Henry! Weź tę mapę. Wolę, byś ją miał, tak na wszelki wypadek.

– Oni wciąż cię śledzą?

– Sądzę, że nie, ale nie mogę być tego pewien.

– Zapukam trzy razy. A teraz zamknij drzwi. Po co ryzykować?



Henry zgodnie z planem pojechał do domu. Czas go naglił. Po powrocie zastał w domu Jane rozmawiającą z detektywem.

– A, jest pan. Dowiedziałem się na mieście o pewnym ważnym fakcie i sądzę, że dotyczy on pańskiej zaginionej żony. – Detektyw zmrużył podejrzliwie oczy.

– Proszę mówić.

– Pewna młoda dama zemdląca dziś przy Cheapside Mansion House. Z opisu wynika, iż to mogła być ona. Delikatna blondynka...

– Więc gdzie jest Amanda?

– Właśnie tego nikt nie wie. Ponoć jakiś mężczyzna wniósł ją do powozu i wraz z pewną damą odjechali w nieznane.

– Jak to odjechali? Czyli ktoś ją porwał!

– Niestety na to wygląda.

– Dlaczego pan tu jeszcze stoi?

– Proszę uzbroić się w cierpliwość. Znajdziemy ją.

– Naprawdę? Czy pan wie, że tu liczy się każda sekunda? – Henry bez słowa opuścił salon gościnnie, zostawiając detektywa z Jane. Nerwowo zerknął na zegar i pognął schodami na górę. Z ukrytej skrzynki wyciągnął nóż myśliwski i lornetkę. A potem wszedł do ich salonu. Na toaletce leżała jej szczotka do włosów, obok stał flakonik z perfumami.

„Och, Amando, dlaczego mnie wtedy nie posłuchałaś?”

Cierpiał, zastanawiając się w duszy, co się z nią teraz dzieje. Po chwili jednak zmusił się do radykalnego działania. Zbiegł schodami i ruszył w kierunku drzwi.

– Panie Oldmann! Dokąd się pan wybiera? – Detektyw przeszył go wzrokiem.

– Muszę pilnie wyjść – odparł w pośpiechu.

– Czy pan coś przed mną ukrywa? Co pan zamierza? – Detektyw spojrzał na niego uważnie.

Zamiast odpowiedzieć, Henry uklonił się tylko i zniknął w drzwiach.

Detektyw zmrużył oczy. Niezwłocznie wyszedł za nim przed dom. Obserwował, jak tamten w pośpiechu wskakuje do powozu i znika za rogiem.

– Pani brat zawsze się tak nietypowo zachowuje? – zwrócił się do bladej Jane, która stała w drzwiach.

– Tylko kiedy ma do zrealizowania życiową sprawę.

Thomas włożył kapelusz i w pośpiechu się oddalił. Na dworze zapanował mrok, a wiatr hulał po ulicach. Jane drżała z niepokoju. Obawiała się, że Amanda ma poważne kłopoty.



Powóz gnał co sił. Henry rozwinął mapę. Była precyzyjnie naszkicowana, a każdy jej element bardzo skrupulatnie oznaczony. Śledził palcem strzałki i ostrzeżenia w postaci wykrzykników. Stary Jack najpewniej pamiętał, że w tych miejscach jest najniebezpieczniej. Henry spojrzał niżej. Przy napisie: *Metro*, zamieszczono strzałkę w dół, a poniżej widniał napis: *Podziemne miasto*. Wtedy ogarnęła go złość na myśl, że przetrzymują tam Amandę, że może jest głodna, zziębnięta, że coś jej zrobili. Był bliski szału. Bał się o nią jak nigdy przedtem. Nie brał pod uwagę, że coś może się nie udać. Musiał ją tylko stamtąd wyciągnąć, zanim pograży ją otchłań czasu.

Kiedy dotarł na miejsce, Stary Jack długo mu nie otwierał. Pukał trzy razy i znowu. Jednak kiedy dotknął klamki, drzwi same drgnęły.

– Stary Jacku?! – zawołał, rozglądając się dookoła. Poczł ucisk w żołądku. Wszystko poprzewracane, zegary poniszczone. Wtedy zobaczył Starego Jacka leżącego na podłodze. Był skulony i zakrwawiony. – Co się tu stało?! – Henry podbiegł do niego, rzucając się na ratunek.

Mężczyzna drgnął.

– To byli oni. Znaleźli mnie – zdołał wysapać kilka słów.

– Mocno cię poturbowali. Chwyć mnie za ramię, zawiozę cię do lekarza.

– Nie ma na to czasu, Henry. Ci są inni. Gorszi. Boję się tego, co mogą zrobić. Masz mapę? – Zobaczyła, że Henry potwierdza skinieniem głowy, więc jeszcze dodała: – A zegar przejścia?

– Na razie go nie znaleźli. Nie powiedziałem im, ale oni tu wrócą i go zniszczą.

– Nic nie mów, krwawisz. Zabieram cię do powozu.

– Nie...

Jednak Henry nie odpuszczał, pobiegł po woźnicę i razem przenieśli Starego Jacka do powozu.

– Zawieź go do doktora. Powiedz, że proszę o pomoc.

Henry musiał się spieszyć. Odwiązał konia należącego do zegarmistrza i dosiadł go na oklep. Był świetnym jeźdźcem.

– Ruszaj! – zawołał do woźnicy, a sam pogalopował w kierunku Hungerford Bridge. To tam według mapy Starego Jacka znajdował się trzeci tunel, stanowiący część pętli, przy której zaznaczono znak czarnego iksa. To tam miała swoją twierdzę Straż Czasu.



Sir Thomas, z natury podejrzliwy i nieustępliwy, w swojej pracy często kierował się instynktem. Te cechy były szczególnie pożądane u najlepszego detektywa w Londynie. Stateczny wiekiem, doświadczony, z analitycznym umysłem łapał najgorszych przestępców i łajdaków. A sprawa zniknięcia żony młodego Oldmanna wydawała mu się szczególnie dziwna. Zwłaszcza teraz, gdy dyskretnie śledził Henry’ego. Nie zważał na zachowanie swego klienta, bo świetnie znał swój fach i poznał już na tyle ludzką psychikę, by wiedzieć, jak irracjonalnie można się czasem zachowywać, gdy chodzi o sprawę życia bliskiej osoby. Teraz w świetle księżyca detektyw podążał za Henrym swoim nowiutkim lanchesterem. Czarno-żółty, najnowszy model, elegancki i codziennie czyszczony, miał za zadanie doprowadzić go do celu. Jednak kiedy dotarł do Cheapside, na tle katedry Świętego Pawła ujrzał powóz Oldmannów. Zatrąbił, po czym wysiadł z samochodu.

– Wiesz Henry’ego Oldmanna? Muszę z nim pilnie porozmawiać.

– Nie, proszę pana. Pan Henry pojechał dalej, konno.

– Konno? To kogo wiesz? – Detektyw stawał się coraz bardziej podejrzliwy.

– Jakiegoś starca. Jest ranny, a pan Henry kazał go wieźć do lekarza.

Thomas podszedł do powozu i otworzył drzwi. Stary Jack stracił przytomność.

– Ten człowiek ledwo żyje. Co się tu dzieje? Gdzie jest Henry Oldmann?! – dopytywał woźnicy.

– Nie wiem, proszę pana.

– W którą stronę pojechał? Mów zaraz, człowieku!

– W tamtą. – Woźnica wskazał ręką. – Pogałopował w stronę mostu Hungerford. Nic więcej nie wiem, proszę pana.

Detektyw zmrużył oczy i nerwowo podkręcił wąsa.

„Co zamierzasz? Kim jest ten ranny człowiek? W co się wplątałeś, Henry Oldmannie?”

Powóz ruszył dalej. Detektyw niezwłocznie wsiadł do swojego lanchestera. To wszystko wyglądało coraz bardziej niepokojąco. Sir Thomas obawiał się, że jego klient wpakował się w jakąś niefortunną sprawę. Sprawę, która mogła jego żonę kosztować życie. Jednak w najśmielszych snach nie mógł przewidzieć zamierzeń Henry’ego. Tego, co kryło się za jego nagłym opuszczeniem domu i co kierowało jego krokami. Ruszył w stronę Hungerford Bridge, licząc na to, że zdoła rozgryźć tę tajemniczą sprawę, że zdąży, zanim Henry Oldmann uwikła się w poważne niebezpieczeństwo.



London Underground stanowiło istny labirynt tuneli. Podziemna pętla, w której skryła się Straż Czasu, budziła w Henrym niepokój. Wiedział jednak, że musi się tam jak najszybciej dostać. To właśnie tam najpewniej uwięziono Amandę. Gdy dotarł na miejsce, przywiązał konia do drzewa. Rozwinął mapę i ponownie zaczął ją analizować. Stary Jack zaznaczył iks przy pętli. Henry jednak nie mógł odszukać wejścia do podziemi. Drżącymi dłońmi przecierał linie naszkicowane na mapie.

– Co miałeś na myśli? Jak mam się dostać do ich twierdzy? – Otarł pot z czoła i jeszcze raz spojrzął na legendę.

Przerywane linie zaznaczone na czarno; dopiero teraz je dostrzegł. Rzucił okiem na odnośnik i już wiedział. Oprócz stacji metro posiada też opuszczone tunele. I to był właśnie ten tunel, długi na sto czterdzieści cztery metry, nigdy nieukończony.

„Czyli to w nim urządziliście sobie tajną siedzibę”. Henry zwinął mapę i wrzucił ją do torby. „To musi być gdzieś tutaj. Tu musi być wejście...”, rozważał gorączkowo.

Zbiegł w stronę wałów, pod most. Uliczne latarnie były jego sprzymierzeńcem. Pomagały mu szukać wejścia, podświetlając masywną konstrukcję. Czuł, jak uderzenia jego serca zaczynają przypominać tętent szalejących koni. Dotykał dłońmi zimnego betonu, wilgotnego od wody, by nie przeoczyć żadnego szczegółu. Czego szukał? Czegoś, co przypominałoby wejście. I wtedy poczuł za sobą jego oddech.

– Detektywie? – Twarz Henry’ego zamarła przez chwilę. – Co pan tu robi?

– Co ja tu robię? Dobrze sobie. Pytanie brzmi: czego taki młody dżentelmen jak pan szuka w nocy pod mostem? Chyba nie zamierza się pan kąpać w Tamizie? Osobiście tego panu nie polecam – dodał i jak zawsze w niepewnych sytuacjach podkreślił węża. – Co pan tu, u licha, wyprawia? Jeszcze trochę i pomyślę, że jest pan zamieszany w zaginięcie własnej małżonki.

– Jak mnie pan znalazł? – Henry spojrzął na sir Thomasa wyraźnie niezadowolony.

– Zostałem wynajęty. Czy tak? Wykonuję zatem swoją pracę. Szukam pańskiej żony. A czego pan tu szuka?

– Nie mogę powiedzieć.

– Obawiam się, że nie ma pan wyjścia. Moi ludzie już tu jadą. Zakopał ją pan? Utopił?

– Co pan najlepszego wygaduje?! Oszalał pan?! I pan nazywa siebie detektywem?!

– Wyszedł pan z domu w pośpiechu, nie odpowiadając, co zamierza. Wiem, że pan coś ukrywa, panie Oldmannie. Czuję to swoim nosem, a proszę mi wierzyć, mam w tym spore doświadczenie. Tak więc sam powie mi pan, o co tu naprawdę chodzi, czy mam się dalej domyślać?

– To może jej zaszkodzić.

– Co?

– Prawda, którą chce pan tak bardzo poznać.

– Obawiam się, że ta sprawa jest poważniejsza, niż sądziłem. Brałem pod uwagę okup, rabunek, morderstwo lub małżeńską sprzeczkę lub zdradę, która mogła sprawić, że pana żona opuściła dom.

– Zapewniam pana, że to żadna z tych rzeczy.

– Naprawdę? – Mężczyzna przyglądał mu się badawczo, ruszając nerwowo wąsem. – W takim razie czego pan szuka w środku nocy nad Tamizą? Czy tutaj spodziewa się pan znaleźć żonę? I kim jest ranny mężczyzna w pana wozie?

– Skąd pan wie i on nim?

– Doprawdy, nie docenia mnie pan. Jestem najlepszym detektywem w Londynie. I jednocześnie inspektorem policji. Muszę wiedzieć o wszystkim i zawsze rozwiązuję powierzone mi zlecenia. Proszę zatem powiedzieć prawdę, panie Oldmannie. Co naprawdę spotkało pana żonę? I co pan tu robi?

Henry przykucnął, opierając się o zimny mur. Wyglądał na zagubionego i bezradnego, przytłoczonego niebywałym ciężarem skrywanym pod sercem.

– Nikt nie może nam pomóc.

– Wciąż nie chce mi pan dać szansy.

– Dobrze, ale musi mi pan przyrzec, że wszystko, co pan usłyszy, pozostanie między nami.

Detektyw spojrział na umęczoną twarz Henry'ego.

– Przyrzekam.

– Jestem podróżnikiem w czasie. Zawsze lubiłem eksperymentować. I któregoś dnia się udało. Machina czasu, którą zbudowałem, przeniosła mnie do przyszłości.

– Czyli?

– Do roku dwa tysiące dwudziestego. Do Portrush w Irlandii Północnej. Amanda, ona jest z mojej przyszłości. Poznałem ją, kiedy tam przybyłem, i niespodziewanie pokochałem.

– Żartuje pan? – Detektyw patrzył na Henry'ego z niedowierzaniem. – Nie. To nie żarty?

– Niestety nie. Teraz strażnicy czasu przetrzymują ją w podziemiach Londynu, a ja nie mam pojęcia gdzie. Mam mapę, ale nie mogę znaleźć wejścia. W konstrukcji tego mostu niczego nie ma, niczego, co mogłoby mi pomóc do niej dotrzeć.

– Bo źle pan szuka. Wiem, gdzie jest to przejście. Choć przyznaję, że to, co mi pan opowiada, wykracza poza moje wszelkie przypuszczenia.

Henry zaniemówił.

– Wie pan, gdzie ono jest? Wierzy mi pan?

– Tak, mój chłopcze. Wiem. Jednak wygląda na to, że jest pan pozbawiony w tej chwili racjonalnego myślenia. Kocha ją pan, to widać. A skoro ona przybyła tu za panem, to jest albo szalona, albo beznadziejnie zakochana.

– Chyba jedno i drugie.

– No cóż, muszę więc panu uwierzyć. Zatem nie traćmy czasu. Wejście do podziemi jest tutaj. Proszę za mną. Naprawdę chciał je pan znaleźć w tym betonie?

Detektyw przeszedł jakieś trzydzieści kroków od mostu. A następnie zaczął odgarniać nogą ziemię.

– Niech pan pomoże. To gdzieś tutaj.

Henry z zapalem przyłączył się do sir Thomasa.

– Jest uchwyt. – Detektyw nachylił się i chwycił za niego. – Zakopany, ale pamięć mam dobrą.

– Ale skąd?

– Skąd o nim wiem? Jak byłem mały, bawiliśmy się tu, w okolicach Tamizy. Mieliśmy tu najlepsze kryjówki. Również w podziemiach. A potem je zamknęli. Nie miałem pojęcia, że jeszcze istnieją. Ludzie mówili, że je zasypało.

Z trudem otworzyli betonową pokrywę.

– Ciemno. Niech pan zaczeka, mam w samochodzie małą lampkę.



Sir Thomas wrócił, trzymając w ręce lampkę, roztaczającą lunę delikatnego światła.

– Na szczęście wożę ze sobą kilka sprzętów. Pozornie niepotrzebnych.

Jego dłonie drżały. Henry był mu ogromnie wdzięczny. Co jeśli mimo wszystko nie zdoła jej uratować? Jeśli nie zdąży? Jego serce krzyczało, zalewając umysł wątpliwościami. Przecież Amanda przybyła tu dla niego. Dlatego nie mógł jej zawieść, nawet kosztem własnego życia.

– Idę – powiedział zdeterminowany.

– Dobrze. Ale schodzę za panem. – Sir Thomas nie zamierzał opuszczać swojego klienta. Nie w takiej chwili.

– To kiepski pomysł. Tam może być niebezpiecznie.

– Jestem detektywem. I widziałem już chyba wszystko. Chodzenie po kanałach czy podziemiach też nie jest mi obce. Uratujemy twoją Amandę, Henry Oldmannie.

– Wie pan. Kiedy pierwszy raz ujrzałem ją z klifu, siedziała sama na plaży. Była smutna i zamyślona. Stałem tam, wypatrując drogi powrotnej. Robiłem obliczenia czasu, byłem przerażony. Ale od kiedy ją dostrzegłem, już zawsze jej wypatrywałem. Była taka cudowna i któregoś dnia ona też

mnie dostrzegła. Wiedziałem, że to nie może się udać. Byłem o tym przekonany. Byłem znikąd. Z innego czasu, świata. Uznawano mnie za dziwaka mieszkającego na klifie. A jednak dla niej byłem dość interesujący. Nie patrzyła na mnie jak na odmieńca. Po prostu mnie pokochała. Zaryzykowała wszystko.

– Zazdroszczę panu. Moja żona przeważnie mnie nie słucha, a ostatnio nawet na mnie nie patrzy. Cóż... Czterdzieści lat pod jednym dachem robi swoje. Zresztą w przeciwieństwie do pana nigdy nie byłem romantykiem. Ale teraz musimy znaleźć pana żonę. Znam tę drogę, dlatego jednak lepiej jak pójde pierwszy. I proszę nie protestować. To już postanowione.

Detektyw zaczął schodzić. Henry bał się teraz i o niego. A jeszcze bardziej obawiał się, że sir Thomas może namieszać w jego planach. Ale przecież tu chodziło o życie Amandy. Henry ruszył chwilę po nim. Schody były wąskie i śliskie. W tunelu panował mrok. Henry poświecił lampą. Korytarz okazał się szerszy, niż przypuszczał. Wokół wyczuwali nieprzyjemną woń wilgoci. Buty cicho chlapały w wodzie zalegającej w kanale.

– Kiedyś tu nie śmierdziało. Czas robi swoje. Nie zwlekajmy. Musimy ją znaleźć, nim będzie za późno.

– Nie pomaga pan... – Twarz Henry’ego przypominała skałę.

– To tylko realna uwaga. Tutaj nie ma nic dobrego dla młodej kobiety. Proszę mi wierzyć.

Henry wyciągnął mapę z rozkładem tajemniczych labiryntów. Przypominała jakiś rodzaj klucza do odczytywania szyfru, i tym faktycznie była. Szansą na odnalezienie Amandy.

– I co z niej pan wyczytał? – Detektyw zmarszczył czoło.

– Musimy iść prosto, następnie...

– Zejść dwa kontyngenty, coś jeszcze pamiętam.

– Doprawdy. Ma pan niezłą pamięć. – Henry prześledził mapę palcem. – Chłodno tu...

– Niesamowite, że wciąż są w tak świetnym stanie.

– Szczur! – Henry poświecił lampą na przód tunelu.

– Zapewne jest ich więcej, wysłały tu swojego zwiadowcę. Są bardzo inteligentne.

Zwierzę po namyśle wycofało się, aż jego długi ogon zniknął im z pola widzenia. Henry na samą myśl o tym, że Amanda jest narażona na towarzystwo bezwzględnych typów i gryzoni, z trudem nad sobą panował. Nad własną złością i strachem o nią też.

Podążali labiryntem zawiłych korytarzy. Jednak dobrze odczytana mapa w końcu doprowadziła ich do celu. Henry ujrzał ją pierwszy. Amanda siedziała zamknięta w wielkiej klatce przypominającej wybieg dla zwierząt. Zacisnął mocno pięści, by nie krzyknąć. To mogłoby go zdradzić i narazić ukochaną na niebezpieczeństwo.

– Proszę się uspokoić. – Detektyw chwycił go za ramię. – Ona żyje, to najważniejsze. Uwolnimy ją.

– Gdzie pańscy ludzie? Jakoś ich tu nie widzę.

Broda Henry'ego nerwowo drżała. Z trudem nad sobą panował. Miejsca, które przypominało wielki, podziemny hangar, pilnowało na oko piętnastu ludzi. W klatce siedziała nie tylko Amanda. Był tam jeszcze młody mężczyzna i dziewczyna o włosach przypominających barwę miedź.

– Już tu idą. Zaczekaj tu, Henry, i obiecaj, że nie zrobisz niczego głupiego. Wyjdę im naprzeciw.

Detektyw ruszył w stronę tunelu, którym tu weszli. W tym czasie jeden ze strażników podszedł do klatki, w której więziono Amandę.

– Ładniutka jesteś. Może się dogadamy? – Patrzył na nią jak dzikie zwierzę, głodne swej ofiary. – Wiesz, że już stąd nie wyjdiesz? – zaśmiał się szyderczo. – Ale jeśli będziesz dla mnie miła, to pomogę ci stąd uciec.

Amanda milczała, chowając twarz w ramionach. Strażnik cuchnął zbutwiałą wilgocią i był odrażający. Świński blondyn z lisim spojrzeniem. Takemu nigdy się nie ufa.

– Nic mi nie powiesz? Byłaś nieprzytomna, gdy ostatnio trzymałem cię na rękach. Jesteś dumna, ale tutaj nie będziesz miała z tego żadnego

pożytku. Więc jaka jest twoja odpowiedź?

Strażnik się niecierpliwił. Amanda dalej ignorowała jego zaczepki. Siedziała na podłodze, skulona. Brudna suknia z rozdartą falbaną chroniła ją przed chłodem. Patrzyła przed siebie. Bała się. I czekała. Czekwała, bo wciąż miała nadzieję, że Henry ją odnajdzie i uwolni. Nie pozwoli jej utknąć w czasie i cierpieć do końca życia.

– Daj jej spokój! – krzyknął jeden ze strażników. – I tak już po niej. Widzisz, że nie podoba jej się twój pysk.

Jednak on nie słuchał. Otworzył klatkę i podszedł do niej. Szarpnął za rękę, by wstała. Amanda szamotała się z nim. Wtedy Henry nie wytrzymał.

– Zostaw ją! – krzyknął, po czym wbiegł do hangaru.

– Henry! – Amanda, do której nagle wróciła energia, kopnęła strażnika z całych sił w krocze. Mężczyzna jęknął z bólu. Oswobodzona wybiegła z klatki wprost w objęcia Henry’ego.

Pochwycił ją na chwilę, zanim go obezwładnili.

– Jednak jesteś, Henry... – zdołała szepnąć mu tylko tyle. Strażnicy siłą oderwali ją od mężczyzny. Ten dostał ciosy w brzuch.

– Nie! – krzyczała, wołając pomocy. – Zostawcie go!

Wtedy do hangaru nagle wpadła policja. Ludzie detektywa Thomasa uzbrojeni w pałki zaczęli walczyć ze strażnikami. Henry wyswobodził się i próbował się dostać do Amandy. Został jednak ranny, jeden ze strażników zdołał pchnąć go nożem w bok.

– Henry! – Amanda podbiegła do niego, gdy upadał. – Och, nie!

– Boli... – syknął.

– Wytrzymaj! Wiedziałałam, że mnie znajdziesz, wiedziałałam...

– Nic ci nie zrobił?

Amanda pokiwała głową i objęła go dłońmi.

– Posłuchaj mnie – mówił, trzymając się za bok. – Musisz jeszcze tej nocy dostać się do starego zegarmistrza i o północy przejść przez zegar przejścia.

– Nie zrobię tego bez ciebie.

– Musisz. Obiecuj mi to.

– Nie rób mi tego, Henry, nie każ mi wybierać. – Amanda była bliska łez.

– Chcesz żyć? Jeśli mamy jeszcze być razem, musisz mi zaufać. – Dotknął dłonią jej drżącego policzka.

– Ufam ci – wyszeptała. – Ty krwawisz, Henry...

– Musimy się spieszyć, za chwilę nadejdą ich posiłki, a wtedy nie zdołamy powstrzymać strażników. – Sir Thomas wyglądał na mocno zaniepokojonego. Mimo starszego wieku wciąż miał w sobie wiele sił. Podbiegł do Amandy i Henry'ego. – Pomożemy wam stąd wyjść. Jest tu sekretne wyjście, w każdym razie kiedyś było. To nasza jedyna droga ucieczki. Oni nadchodzą. Panowie! – zwrócił się do policjantów. – Bierzcie rannego i za mną!

Detektyw szybko znalazł sekretne przejście. Wiele rzeczy pozostało tu bez zmian.

– Wciąż tu jest. – Dotknął drewnianych drzwi przypominających starą furtę. Pchnął je z całych sił, a kiedy nie chciały się otworzyć, kopnął nogą. Drzwi w końcu ustąpiły. Detektyw ruszył pierwszy, za nim Amanda i policjanci niosący Henry'ego. Amanda roztrzęsiona, ale i szczęśliwa, modliła się, by jej ukochany przeżył. By dane im było razem znowu przekroczyć czas i wrócić do Portrush.

Kiedy wydostali się z tunelu, na dworze szalała burza. Przyszła nie wiadomo skąd i pokrzyżowała im plany.

– Henry! Musisz jechać ze mną do zegarmistrza. Przejdziemy przez portal razem. – Amanda nie puszczała jego ręki. – Uda się nam. W Portrush będziemy bezpieczni i szczęśliwi. Tutaj zawsze będzie ktoś lub coś.

– Amando. Nie mogę jeszcze wrócić. Ale ty musisz to zrobić. – Każde słowo przynosiło falę bólu.

– Nie wrócę bez ciebie!

– Nie masz wyjścia. Jeśli tego nie zrobisz, już nigdy nie będziemy razem. Znowu cię złapią, ale wtedy nie zdołam ci już pomóc. Czy rozumiesz,

w jakim jesteś niebezpieczeństwie?

– Ale ja cię kocham. Nie chcę wracać bez ciebie. – Z jej oczu kapały łzy. – Co tam pocznę sama? Co mnie czeka?

– Panie Oldmannie, oni nadchodzą. – Detektyw z przerażeniem spojrział w stronę mostu i Tamizy. Z tunelu dobiegały coraz wyraźniejsze głosy strażników. Twarz Amandy pobladła.

– Bądź rozsądna i nie pozwól im się znowu złapać. Staniesz się niewolnikiem czasu, a może jeszcze czeka cię gorszy los. Jeśli naprawdę mnie kochasz, biegnij do zegarmistrza. Odnajdę cię... – Henry trzymał się za lewy bok, z którego sączyła się krew. Jego skrzywiona z bólu twarz bladła.

– Ale kiedy to się stanie, Henry? Kiedy do mnie wrócisz?

– Czekał na mnie na klifie...

– Szybko, bierzcie go! – Policjanci wsadzili mężczyznę do swojego samochodu. Amanda pobiegła za nimi i zdołała chwycić go jeszcze za rękę.

– Kocham cię i będę na ciebie czekała, choćby całe wieki.

– Niech pani wsiada do mojego wozu, zawiozę panią. Chyba wiem, gdzie to jest – wyznał detektyw.

– Niech mi pan obieca, że mu pomoże, że Henry wróci do sił.

– Zrobię, co w mojej mocy. Teraz bardziej boję się o panią. I pomyśleć, że niedawno chciałem pójść na emeryturę. Myślałem, że już nic w życiu nie jest w stanie mnie zaskoczyć. Tyle spraw, morderstw, kradzieży, porwań. Aż nagle dowiaduję się, że mój klient podróżuje w czasie. – Kiwał głową z niedowierzaniem.

Amanda milczała. Siedziała spokojnie w aucie, jednak zdawała się być daleko. Dostrzegła w lusterku, jak samochód, w którym wieźli Henry'ego, skręca w stronę szpitala. Serce pękało jej z żalu. Tak bardzo się bała. O niego, o siebie, o to, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Chłopaka z klifu, który odmienił jej życie na zawsze.

– Błagam, niech pan zawróci i zawiezie mnie do szpitala. Do Henry'ego.

– Kocha go pani?

– Bardzo...

– Więc obietnica mu złożona nie ma ceny, nie może jej pani teraz złamać.

– To jak obietnica miłości, czy to chce mi pan powiedzieć?

– Tak. Chciałbym choć raz w moim nudnym życiu przeżyć coś podobnego.

– Proszę mi wierzyć. Ta miłość nigdy nie była prosta.

– Ale jest czysta jak łza i szczerą. Tyle widzę.

– Kiedy zniknę w zegarze przejścia, musi pan zamknąć za mną drzwi. W przeciwnym razie oni przedostaną się tam za mną. Musi je pan zabezpieczyć, żeby Henry mógł...

– Jestem przekonany, że nawet jeśli je zniszczą, to on znajdzie inny sposób, by do pani wrócić, Amando.

– Mam taką nadzieję. Oby miał pan rację.

Amanda siedziała obok detektywa z drżącym ciałem i cierpiącym sercem pełnym niepewności. Nie mogła tu zostać, ale wracać też nie chciała. Kompletnie rozbita, jeszcze nigdy w swym życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa. Jednak na wspomnienie obleśnego strażnika czasu wróciło do niej przekonanie o tym, co powinna zrobić.

– To chyba tutaj.

– Tak. To Fleet Street 7 – potwierdziła.

– Proszę zaczekać na mnie za rogiem – powiedział detektyw, sięgając po broń. – Kto wie, kto się w środku kręci. Bezpieczeństwo przede wszystkim... – stwierdził, zerkając na przerażoną dziewczynę. Przez okno, na tle palącej się w środku lampy, widać było czyjś cień.

Amanda zrobiła, co kazał. Strażnicy czasu przerażali ją jak nikt inny. Cuchnęli czymś, co kojarzyło się z mroczną otchłanią. Zmęczona przywarła do zimnej ściany kamienicy i czekała. Jednak kiedy po chwili rozległy się strzały, jej serce zamarło. Bała się zrobić choćby najmniejszy krok. Co, jeśli detektyw zginął? Jak zdoła dostać się do zegara przejścia? Burza powoli ustawała, a na ulicach panował mrok.

– Amanda? – Sir Thomas pojawił się po chwili za rogiem. Miał przestrelone ramię.

– Jest pan ranny!

– Wytrzymam. Jeden strażnik uciekł. Proszę za mną, szybko! Zanim on wróci.

Amanda ruszyła za detektywem. Miotają ją potworny strach i obawy. W zakładzie panował kompletny bałagan.

– Teraz to pani prowadzi. Gdzie to przejście? – Sir Thomas przytrzymał się za ramię.

– Niech pan zaczeka. – Amanda dostrzegła płachtę materiału leżącą na stole. Rozdarła ją na pół. – Trzeba to zatamować, inaczej się pan wykrwawi.

Bez pytania obwiązała ciekącą ranę materiałem i mocno zacisnęła.

– Nawet nieźle to pani wyszło.

Amanda pomyślała o Henrym. Nie zdołała mu w niczym pomóc. Ledwo się z nim pożegnała.

– A teraz pospieszmy się! Nie ma już czasu! – Słowa sir Thomasa wyrwały ją z zamyślenia. – Gdzie ten zegar?

Amanda pognęła schodami w dół. Czowała, jak miotają ją sprzeczne emocje. Przeraźliwie martwiła się o Henry'ego, miała ochotę popędzić co sił do szpitala. Do niego. Jednocześnie pamiętała, co mu obiecała. Że wróci cała do Portrush.

– Która godzina? – W jej oczach jawiły się strach i niepewność.

– Za chwilę wybije północ.

Amanda podeszła do wielkich drzwi wyglądających jak zegar. Otworzyła je i stanęła w ich progu.

– Proszę powiedzieć Henry'emu, że co dnia będę czekała na niego na klifie.

– Oczywiście.

– I dziękuję za wszystko. Jest pan wyjątkowy.

– To pani Portrush...

– Tak?

– Jakie ono jest?

– Niezwykłe i już zawsze takie będzie dzięki niemu. Niech pan zasłoni oczy, detektywie! – zawołała, a wtedy wskazówki zegara na drzwiach zaczęły rytmicznie wybijać północ.

– Zazdroszczę... – zdołał wyszeptać, kiedy przed jego oczami pojawiła się jasna, oślepiająca łuna. Odwrócił się, zasłaniając oczy. Kiedy po wszystkim spojrział na drzwi, Amandy już w nich nie było.

ROZDZIAŁ V

Irlandia, Portrush, współcześnie

Na klifie panowała ciemność rozpraszana przez odgłosy rozbijających się o skały fal oceanu. Północny wiatr niósł ze sobą zapowiedź nadchodzącego chłodu. A wiszący na niebie srebrzysty księżyc rozjaśniał mrok nocy. Wtem nad dzikimi trawami zdobiącymi klif zabłysła porażająca łuna światła. Ktoś, kto to widział, mógłby pomyśleć, że nad Portrush przeleciała gwiazda. To niezwykle zjawisko coś jednak ze sobą przyniosło. Minęła dłuższa chwila, zanim Amanda na chwilę się ocknęła. Świadomość powoli zaczynała do niej powracać. Otwierała oczy i zamykała je. Stopniowo docierało do niej, co się stało. Stare drzwi, wielki zegar i łuna światła, która przywiodła ją tutaj.

Na to wspomnienie ponownie opadła z sił, po czym zasnęła, wyczerpana niezwykłą podróżą. Obudziła się nad ranem przed drzwiami swego mieszkania. Ścierpnięta, przynajmniej nie marzła. Jednak nie miała pojęcia, jak znalazła się właśnie tutaj.

– Moja głowa, jak boli – zasyczała cicho.

– A co to ma znaczyć? Ty do kogo? – Dozorczyni, która właśnie weszła na piętro budynku, przypatrywała się Amandzie z ogromnym zdziwieniem.

– Ja tu mieszkam.

– A to dobre sobie. To jakieś żarty? Kabaret sobie urządziła. Wyrwałaś się z jakiegoś spektaklu?

Dopiero wtedy Amanda dostrzegła lisi wzrok kobiety skierowany na jej zamaszystą, ubłoconą suknię.

– Wynoś się stąd, to nie miejsce dla przybłądy.

– Nazywam się Janas i mieszkam tu z ojcem. – Wskazała na ciemne drzwi.

– Janas? Może i tak się nazywasz, ale tutaj mieszka starsze małżeństwo i nie mają dzieci.

– Ale mój ojciec...

– Z tego, co pamiętam, jakiś mężczyzna opuścił to mieszkanie całkiem niedawno. Tak, teraz sobie przypomniałam. Mówił, że wraca do domu, chyba do Polski.

W oczach Amandy stanęły łzy.

– A więc jednak wyjechał.

Zrozumiała, jak bardzo musiała go skrzywdzić swoim nagłym zniknięciem. Słowami skreślonymi na kartce, które miały zastąpić szczerą rozmowę.

– Czy...

– Tak?

– Czy niczego dla mnie nie zostawił? Listu, karteczki?

Dozorczyni pokręciła przecząco głową.

– Jeszcze czego! No idź już sobie stąd, muszę zamieść korytarz.

Amanda w końcu usiadła na schodach przed budynkiem.

– I co teraz? Co teraz zrobisz? – Schowała głowę w ramionach. Burczało jej z głodu w brzuchu, a na wspomnienie Henry'ego poczuła rozdzierający ból.

– I po co tu wróciłam? Nie mam już swojego miejsca. Henry, dlaczego kazałeś mi wrócić do Portrush bez ciebie?

Siedziała tak jeszcze chwilę. Słońce tego dnia silnie operowało, ale dzień był zdecydowanie chłodny. W końcu wycieńczona osunęła się na ziemię.



Na wersalce rodziny Domańskich chrapała wyczerpana podróżą Amanda.

– Widzisz tę suknię? Jessica? Co o tym myślisz? – Domańska mocno zaniepokojona wyczekiwała od córki odpowiedzi.

– Skąd mam wiedzieć? Przecież zniknęła nagle. Nie odzywała się do mnie.

– Na pewno ten dziwak ją porzucił. A może straciła rozum. – Igor był bezlitosny.

– Nie gadaj głupot. To, że cię nie chciała, nie znaczy, że spotkała ją kara – rzuciła stanowczo Jessica.

– Mam ci, siostrzyczko, przypomnieć, że przez nią i tego dziwaka o mało nie zginąłem? Uciekła z nim czort wie dokąd. Nie jest nic warta.

– Trzeba było się nie wtrącać w cudze sprawy. Nie jest nic warta, bo nie chciała być z tobą? Za kogo się uważasz, bracie? Życie jeszcze cię nie nauczyło? Nie wszystko układa się tak, jak to sobie zaplanowaliśmy.

– Chciałem jej wtedy pomóc. Znam takich jak on. Wykorzystał ją i tyle.

– A może to było coś więcej? Jak możesz być takim egoistą?! – Jessica aż podniosła się z kanapy.

– Przestańcie już! – Domańska w końcu nie wytrzymała. – Zachowujecie się jak dwójka niedojrzałych gówniarzy. Ojciec znalazł ją leżącą na chodniku. Trzeba jej pomóc. Nie ma tu nikogo. Nikogo.

– Matka ma rację. Przestańcie. Przeraziłem się na jej widok. Na szczęście tamtędy przejeżdżałem. Kochanie, od kiedy używasz takich słów? Gówniarze? – Tadek Domański aż poczerwieniał.

– Po prostu nie mam już na to sił. Nie macie w sobie odrobiny współczucia? Amanda nagle przepadła bez słowa. Straciła matkę, a jej ojciec wyjechał. Została sama. I Bóg wie, co ją tak naprawdę spotkało. Igor, przyjaźniliście się. Jak możesz być na nią zły? Tak nie można. Nie tak was wychowałam.

Do Igora jednak słowa matki nie przemawiały. Pełen złości wyszedł z salonu, a potem opuścił dom, manifestując to głośnym trzaśnięciem drzwi. Draśnięcie postrzałem w rękę wciąż dawało o sobie znać.

– Dlaczego tak zniknęłaś bez słowa? – Jessica podeszła do śpiącej przyjaciółki i szeptała nad nią, choć wiedziała, że ta jej nie usłyszy. – Co się z tobą działo? Jak mogłaś tak po prostu zapaść się pod ziemię? I skąd ta dziwna suknia? Och, Amando. W coś ty się wpakowała?



Amanda obudziła się pod wieczór. Kiedy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą trzy wpatrujące się w nią twarze.

– Wreszcie, już się bałam, że będziemy musieli budzić cię siłą. – Domańska poczuła ulgę. – Jak się czujesz? Czy coś ci dolega? Na litość boską, gdzieś ty była cały ten czas?

– Mamo, nie zamęczaj jej. Widzisz, że jest oszołomiona.

– Racja.

Amanda głośno przełknęła ślinę. Wciąż miała na sobie długą suknię, która zaczynała ją uwierać.

– Zdejmijcie ją ze mnie, błagam. Nie mogę w niej oddychać.

– Możesz wstać? Masz ochotę na kąpiel? – Jessica starała się jej pomóc.

– Tak, byłoby cudownie – wyszeptała.

– Długo cię nie było. Nie masz pojęcia, jak się o ciebie bałam. On też zniknął. Jakbyście zapadli się pod ziemię. Myślałam już o najgorszym.

– Jess, błagam cię. Nie teraz...

– Wybacz mi. Chodź ze mną. Wykąpiesz się i przebierzesz. I musisz mi wszystko opowiedzieć, z najdrobniejszymi szczegółami.



Kiedy weszły do pokoju, Amanda od razu odparła:

– Nie mogę ci nic powiedzieć, poza tym, że to wszystko jest tak skomplikowane i że kocham go tak bardzo. On do mnie wróci, jestem tego pewna.

– Zaraz... Twój Henry? A gdzie on jest teraz? Co się dzieje, Amando? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Czy on cię porwał?

– Nie. Co ty mówisz?

– Igor wspominał o jakimś świetle, łunie światła. Że nagle zniknęliście. To dość osobliwe, sama chyba to przyznasz. Czy on ci coś zrobił? Skrzywdził cię?

– Nie. Henry nie jest zdolny do wyrządzenia zła. Byłam z nim w miejscu, o którym nie mogę ci powiedzieć.

– Nie jest zdolny do zła? Strzelił do Igora, na litość boską, Amando! Powiedz mi prawdę, przecież się przyjaźnimy.

– To wszystko nie było tak. Wybacz, Jess, może kiedyś będę mogła ci to wyjaśnić.

Jessica skinęła głową.

– Zgoda. A teraz zdejmuj tę kieckę. Przygotuję ci kąpiel z pianą. A tak w ogóle to skąd ją wytrzasnęłaś? Wygląda jak z innej epoki, dziewczyno.

– A to? To z balu kostiumowego – skłamała.

– Z balu mówisz? Okej, niech będzie. Powiesz mi wszystko, gdy sama zechcesz.

– Dlaczego to robisz? Dlaczego mi pomagasz? Przecież zniknęłam bez słowa. Zostawiłam i ciebie. – Amanda rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać.

– Nie płacz. Jesteśmy przyjaciółkami czy nie? To się nigdy nie zmieni, a przyjaciółki zawsze się wspierają.

– W takim razie jestem kiepską przyjaciółką i córką zresztą też.

– Twój tata przeczytał list, który mu zostawiłaś. Nie martw się. W końcu zrozumiał, że dorosłaś i masz prawo iść swoją drogą. Że się zakochałaś i teraz wszystko toczy się inaczej. Twoim rytmem.

– Coś wam mówił?

– Tylko że musiałaś coś załatwić. Bez niego.

– Ale on wyjechał. A ja go zostawiłam.

– Wrócił tylko do Polski, bo nie ma już twojej mamy. Prosił, byśmy ci pomogli, jeśli kiedyś tu wrócisz i będziesz tego potrzebowała. Zostawił ci trochę pieniędzy na wszelki wypadek i większość twoich rzeczy. Chyba czuł, że jeszcze się tu pojawisz. On cię kocha, Amando, ale swoim wyjazdem chciał ci powiedzieć, że rozumie to, że stałaś się dorosła. Że daje ci wolność.

– Nie radził sobie z jej odejściem. Ale teraz nie mam gdzie się podziąć. Taka jestem dorosła. – Amanda rozłożyła ręce w geście rozpacz.

– Zostaniesz u nas, to jasne. Mamy wolny pokój, tuż obok mojego. Niewykorzystany. Mniejszy, ale będziesz miała swój kąt.

– Dziękuję. – Amanda rzuciła się jej w ramiona. – Jesteś prawdziwą przyjaciółką.



Następnego dnia Amanda wybrała się nad ocean. W zatłoczonym Londynie właśnie tego najbardziej jej brakowało. Powiewu dzikiego powietrza, pachnącego oceanem. Usiadła na piasku i wpatrywała się w wysokie fale atakujące brzeg. A potem klif. Piękny i dostojny. Przypomniła sobie Henry'ego, jak stał tam i wpatrywał się w dal. Teraz go nie było. A ona poczuła się bardziej samotna i przerażona niż kiedykolwiek wcześniej.

– Kiedy do mnie wrócisz, Henry? Błagam, pospiesz się... – szeptały jej usta. – Boję się o ciebie. Jeśli strażnicy czasu mnie znajdą, narażę innych. Nie mogę na to pozwolić.

I wtedy przypomniała sobie o Starym Jacku. Czy tu wrócił? Czy wciąż prowadził swój antykwariat? Musiała to sprawdzić.



Antykwariat Books & Cafe pozostał na swoim miejscu. Granatowe okiennice wciąż zdobiły jego okna. Amanda długo się wahała, by zajrzeć do środka. W końcu nacisnęła klamkę. Dzwonek wciąż działał. Zawsze będzie pamiętała ten słodki dźwięk obwieszczający nadejście klienta. Wnętrze wciąż było urządzone podobnie. Ktoś z klientów przeglądał księgozbiór, a kobieta w kapeluszu, pewnie przejezdna, popijała czekoladę.

– Jest tu ktoś? – Amanda bała się, że nigdy więcej go nie ujrzy.

Weszła schodami na piętro i nagle zapagnęła napić się gorącej czekolady. Nalała jej do kubka i zbliżyła go do ust.

– Troszkę cię tu nie było.

Zaskoczona Amanda obejrzała się za siebie. Stary Jack mrugnął do niej. Był obwiązany w pasie szerokim bandażem. A jego twarz jakby się postarzała.

– Och, Stary Jacku. Liczyłam na to, że cię tu znajdę. Jesteś ranny? Co się stało? To strażnicy czasu ci to zrobili?

– To nic. Takiego starca jak ja nie jest łatwo zabić. Rany na sercu są znacznie gorsze i czasem nie do wyleczenia.

– Potrzebujesz pomocy? Pokaż. Czy ktoś widział tę ranę?

– Już mówiłem. Nic mi nie jest. – Stary Jack spojrzał na dziewczynę z troską. – Masz sporo szczęścia. Zdołałaś wrócić.

– Ty również, Stary Jacku. Jak ci się to udało?

– Powiedzmy, że mam więcej szczęścia niż rozumu. – Zakaszłał głośno.

– Dobrze się czujesz?

– Jak na mój wiek to całkiem nieźle.

– Och, mam tyle pytań do ciebie, Stary Jacku. I Henry...

– Daj mu czas. On powróci.

– Jest ranny. Jeśli strażnicy go złapią, on tego nie przeżyje. – Amanda musiała stłumić łzy.

– Poradzi sobie, to duży chłopiec.

Amanda uśmiechnęła się, pierwszy raz od kiedy tu wróciła.

– Czy nadal jest tu dla mnie miejsce?

– Dla ciebie zawsze, Amando.

– Miałam na myśli coś więcej.

Stary Jack zmarszczył czoło.

– Boję się, że mogą się tu przedostać strażnicy czasu. I to mnie przeraża.

– Tak myślisz? Niestety jest to możliwe.

– Jeśli im się uda, to będą mnie szukać. Dlatego nie mogę zostać u Domańskich. Nie mogę ich narażać. Rozumiesz, Stary Jacku? Wtedy wszyscy będą w niebezpieczeństwie.

W oczach Amandy pojawił się strach.

– Wyprzedzasz fakty, lecz niestety możesz mieć rację. Przeniesiesz się do mnie jeszcze dziś. Nikomu nic nie mów. Im mniej twoi znajomi wiedzą, tym lepiej dla nich.

– Ale gdzie będę spała?

– Tym się nie martw. Mam mały pokój na poddaszu. Od dawna nikt z niego nie korzysta. Z okna będziesz miała widok na klif.

– Jesteś dla mnie taki dobry, Stary Jacku.

– Och tam. – Machnął ręką, by nie zdradzić swego wzruszenia. – Nie marudź, tylko się wprowadzaj. A, musisz tam posprzątać, mam nadzieję, że nie boisz się pajaków.

– Pajaków? Ich akurat nie.

– Pytam tak na wszelki wypadek. – Puścił do niej oko. – I nie martwmy się na zapas. Zapamiętaj sobie, dziecko, tę zasadę, przyda ci się w życiu: w najgłębszym mroku zawsze można dostrzec światełko w tunelu. Wystarczy tylko uważnie patrzeć. A jeśli nawet masz rację i twoje obawy się sprawdzą, to damy radę. Moje doświadczenie i twoja młodość oraz

szczerze serce pokonają zło – stwierdził, choć naprawdę nie zdradził się ze swymi obawami.

Na strażników czasu nie było bowiem rady. Można było im tylko uciec. Lub odszukać to coś. Tak. Już o nim prawie zapomniał.

– Wiesz, Amando. O czymś sobie przypomniałem. Dawno, dawno temu istniał zegarek zwany wstrzymywaczem czasu. Miałem go kiedyś w swoich rękach. Był niezwykły. – Oczywiście Starego Jacka nagle zabłysły. – Ten, kto go posiadał i chciał wykorzystać w godnym celu, mógł za jego pomocą wstrzymać czas wybranych osób na godzinę. Tylko i aż na jedną godzinę. Rozumiesz, o czym mówię? To bezcenna i niezwykła rzecz.

– Wstrzymywacz czasu? Jak on dokładnie działa?

– Tarczę zegarka trzeba przekręcić w lewo jeden raz, dookoła osi. Wtedy zacznie działać.

– Och, Stary Jacku. To byłby nasz klucz do pokonania strażników czasu. Dzięki niemu moglibyśmy im uciec albo wyprawić ich w cztery strony świata. Wspaniale! – krzyknęła. – Gdzie jest ten zegarek? Gdzie go schowałeś?

Stary Jack podrapał się po głowie.

– Niestety tego nie wiem.

– Ale jak to? Mówiłeś, że go miałeś.

– Miałem, owszem. Nie przeczę, lecz zagubił się.

– Co ty mówisz? Kiedy i gdzie widziałeś go ostatnio?

– Nosilem go na szyi. Na srebrnym wisiorze. *Suspension in time*, taki napis miał wryty. Kilka miesięcy temu chciała go ode mnie kupić pewna kobieta. Była nim ogromnie zainteresowana. Odmówiłem, bo nie był na sprzedaż. Dla nikogo.

– Od kogo go dostałeś?

– Od mojej żony. Był w posiadaniu jej rodziny od pokoleń. Podarowała mi go, zanim zniknęła.

– Dlaczego go wtedy nie użyłeś?

– Bo nie znałem jego mocy. Musiała czuć, że ją śledzą, dlatego chciała go bezpiecznie przechować.

– Ta kobieta. Nikogo ci nie przypominała? Może coś zapamiętałeś?

– Przykro mi. To było jakiś czas temu.

– A ten zegarek jak wyglądał?

– Był wyjątkowy. Srebrny. Na tarczy miał zamontowany mały zegar słoneczny z pionową wskazówką i zaznaczone cztery strony świata. Oznaczał harmonię świata z naturą i ludźmi. Odmierzał czas na podstawie zmiany pozycji słońca i padającego cienia. Słońce i cień. Jak dobro i zło. Przenikają się i współistnieją od zawsze.

– Musi być niezwykły.

– I taki jest. Bardzo by nam się teraz przydał. – Stary Jack aż zacisnął pięść ze złości. – Miała długą suknię w kolorze wrzосу.

– Słucham? – Amanda aż uniosła brwi.

– Ta kobieta. Przypomniałem sobie.

– Długa suknia. To jak ja, z innej epoki.

– Tak, Amando. Masz rację. Jak z innej epoki. Tak wyglądała.

– Myślisz, że...?

– Strażnicy czasu są przebiegłi. Mają w swych siłach też strażniczki czasu, które wysyłają, by werbowwały ludzi lub zdobywały cenne rzeczy. Przebierają się, by nie wzbudzić podejrzeń.

– Sądzisz, że to mogła być jedna z nich?

– Bardzo możliwe. Lecz obym się mylił. Wstrzymywacz czasu w ich rękach może być bardzo niebezpieczny.

– Pyszna ta twoja czekolada. Szkoda, że wszystko nie może być prostsze.

– Może być, nawet powinno, jednak nie nam o tym decydować. Jest życie, nadzieja, magia dobra i zła oraz przeznaczenie. Kiedy jednak wśród nich panuje chaos, w życiu ludzi pojawiają się demony. Pod różnymi postaciami.

– Demony. – Amanda się zamyśliła. – Trzeba koniecznie odnaleźć ten zegarek.

– Zapomnij o tym. To zbyt niebezpieczne. Nie będziesz ryzykowała swojego życia.

– Nie mam zamiaru ryzykować, ale też nie odpuszczę. Kocham Henry’ego i zrobię wszystko, by wrócił do Portrush cały i bezpieczny.

– Wiesz, że jesteś wyjątkowa? Henry to prawdziwy szczęściarz.

Amanda zmrużyła oczy i posłała promienny uśmiech.

– Dzięki tobie już się nie boję. Muszę tu sprowadzić Henry’ego. Choćbym miała bić się z czasem – wyznała.

– Marzyciele i szaleńcy czasem zatracają się we własnych dążeniach. Trzymaj się ziemi i wyznaczonego czasu, Amando. Czekaj tu na niego. Na klifie. Poza czasem nic nie jest pewne ani bezpieczne. Uwierz mi...



Obwieszczenie Domańskim, że zamieszka na poddaszu starego antykwariatu, spotkało się z ich oburzeniem.

– Obiecałam twemu ojcu, że się tobą zajmujemy. – Domańska nerwowo przyglądała się nad wyraz spokojnej twarzy Amandy.

– Bardzo to doceniam, ale muszę tak postąpić. Stary Jack mnie zaprosił, czuje się samotny i jest schorowany. Będę mogła mu w razie czego pomóc.

– Stary Jack. Kim on właściwie jest? Co o nim wiesz, dziecko? Mam wątpliwość, czy to dla ciebie właściwe i bezpieczne.

– Poradzę sobie. Ufam mu. To dobry człowiek.

– Skoro tak twierdzisz. Jednak...

– Dajcie jej spokój. Niech sobie mieszka, gdzie chce. – Igor wrócił do domu i nagle pojawił się w salonie. – Jest dorosła.

Amanda ten jeden raz była mu wdzięczna za wsparcie, niezależnie od tego, co nim naprawdę kierowało.

– Zawiozę cię do niego, nie zabierzesz się sama z walizką pełną ciuchów.

– Dobrze.

– Zgadzasz się? – Igor nie dowierzał. – Wezmę tylko kluczyki od samochodu.

Jessica milczała.

– Będziesz mnie odwiedzała u Starego Jacka? – Amanda niepewnie spojrzała na przyjaciółkę.

– Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółkami. – Jessica wydawała się urażona. – Wolisz mieszkać na stęchłym poddaszu niż u nas?

– Nie rozumiesz. Robię to dla waszego dobra.

– Masz rację, nie rozumiem tego. Znikasz nagle, potem wracasz jak gdyby nigdy nic, a teraz postanawiasz zamieszkać u jakiegoś starca.

– Jessica! – Domańska próbowała okiełznać córkę.

– Ona ma rację. To wszystko wygląda bardzo dziwnie, wiem o tym. Ale nie mam na to wpływu. Wybaczcie. – Amanda z trudem panowała nad sobą. Bardzo chciała im o wszystkim powiedzieć. Zwłaszcza Jess, lecz nie mogła. Nie teraz. I tak już uchodziła w ich oczach za dziwaczkę. – Pójdę już. Dziękuję za wszystko. Za pomoc. Do widzenia.

– Zawsze jesteś u nas mile widziana, Amando. – W oczach Domańskiej tliła się troska.

– To bardzo miłe, dziękuję pani.

Amanda w pośpiechu opuściła ich dom. Bolało ją, że nie mogła wyznać Jessice prawdy. Bała się utracić jej przyjaźń i zaufanie. Igor wyszedł tuż za nią z walizką, o której w zamieszaniu zapomniała.

– To miło z twojej strony. – Amanda odnosiła się do niego z dystansem. Czowała się jak outsiderka, która nigdzie nie pasuje. Nie pasowała ani do stylowego Londynu, ani tu. Do Portrush, w którym przyszło jej obecnie żyć.

– Nie przejmuj się moją siostrą. Przejdzie jej.

– Jasne. A ty? Dlaczego nagle stałeś się dla mnie miły? Bałam się, że... no wiesz, że może nie żyjesz. – Jej blada, zmęczona twarz wydawała się obojętna.

– Żyję. Miałem sporo szczęścia. Ale twój chłopak to wariat. To jak? Wchodzisz? – spytał, czekając, aż wsiądzie do samochodu.

– Zachowujesz się tak, jakby tamtej nocy nic się nie stało. – Amanda obserwowała jego napiętą twarz. Czuła, że Igor kłamie, że coś przed nią ukrywa. W każdym razie nie mówi prawdy.

– Lepiej uważaj na siebie. Ten cały Stary Jack...

– Daj mu spokój. To dobry człowiek. Jestem spokojna o siebie. Inaczej bym się na to nie zdecydowała.

– To osobliwe, że przeważnie ufasz dziwakom albo odmieńcom.

– Może dlatego, że świetnie wyczuwam ludzkie intencje. Reszta nie ma nic do rzeczy – stwierdziła. – Ale na dworze dziś wieje, przydałaby się czapka – dodała po chwili.

– Chyba mam jakąś w schowku.

Igor nachylił się w jej stronę. Poczowała jego perfumy. Szczerze mówiąc, nie przepadała za takimi. Przypomniała sobie Henry'ego. Jego zapach. I znowu strasznie za nim zatęskniła.

– Gdzie ona jest?

Igor szperał w schowku, ale nie znalazł czapki. Za to Amanda kątem oka dostrzegła tam srebrny łańcuszek. Był długi, a na jego końcu znajdował się mały zegarek z tarczą słoneczną.

„Wygląda jak ten z opisu Starego Jacka. Czy to możliwe?”, pomyślała i poczuła, jak jej oddech gwałtownie przyspiesza.

Spojrzała tam ponownie, ale Igor zamknął już schowek.

– Co to za wisiołek? – zaintrygowana czuła, że powinna to sprawdzić.

– Wisiołek?

– Ten w schowku. Ładny. Mogę go obejrzeć?

– Jest uszkodzony – odparł chłodno, nie patrząc na nią.

„Coś kręcisz”, pomyślała. Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobić, ale musiała sprawdzić, czy faktycznie na tarczy zegarka widniał zegar słoneczny. Musiała wyjaśnić wszelkie wątpliwości.

– Tak cenne przedmioty zasługują na lepsze miejsce niż schowek w samochodzie.

– Zakochałaś się w tym zegarku? Dlaczego cię tak interesuje?

– Czyli to zegarek?

– Wiesz co, lepiej już jedźmy. Jesteś dziwna i już taka pozostaniesz.

– Skąd go masz? O ile to nie tajemnica.

– Znalazłem, a co?

– Znalazłeś? Gdzie?

Igor zamilkł, za to włączył radio. Grała akurat jakaś kapela rockowa.

– Nie odpowiesz mi?

– A muszę?

– Dżentelmen by odpowiedział.

– A tak. Jak mu tam było? Henry? Dobrze pamiętam?

– Wiesz co? Zatrzymaj się!

– Akurat. Zaraz będziemy na miejscu.

– Chcę wysiąść! Mam dość twojego grubiaństwa. Niepotrzebnie zgodziłam się na tę podwózkę. Jak mogłam sądzić, że nagle się zmieniłeś?

– A proszę bardzo. Wsiadaj! – Igor zahamował tak gwałtownie, że Amanda o mało nie uderzyła głową o deskę rozdzielczą. Zdenerwowana odpięła pasy.

– No, wsiadaj, tak bardzo chciałaś.

– Moja walizka jest w bagażniku.

Igor ze złością wyskoczył z auta. Amanda zerknęła w lusterko. Kiedy otwierał drzwi bagażnika, błyskawicznie otworzyła schowek i sięgnęła po zegarek. W ostatniej chwili niezauważenie ukryła go w garści lewej dłoni.

– Weź ją i idź sobie.

Amanda bez słowa chwyciła walizkę. W dłoni trzymała coś cennego. Być może był to magiczny zegarek, który zdoła pomóc im spokojnie żyć poza czasem. A Igor niech jedzie, dokąd chce.



Tym razem to Stary Jack wybrał się nad ocean. On również lubił tam chadzać. Potrafił przesiadywać tam godzinami. Amanda tymczasem dotarła do antykwariatu i weszła z walizką na górę. Pokoik na poddaszu rzeczywiście wymagał porządnego odświeżenia. Podeszła do okna. Było wielkie na całą ścianę. I od razu ją urzekło. Widziała przez nie panoramę Portrush, a co najważniejsze: klif i ocean.

– Stary Jacku, skrywałeś tu tak piękne widoki? Aż dziwne, że sam tu nie zamieszkałeś. Pewnie za wysoko tu dla ciebie. Och, Henry, zobaczę cię stąd, kiedy wreszcie do mnie wrócisz. – Amanda spoglądała w dal z wielką tęsknotą w sercu. – Myślisz o mnie, ukochany? Co porabiasz? Jak się czujesz? Żyjesz? Musisz żyć, musisz...

Usiadła za łóżku, ciężko wzdychając. Uchyliła okno i zabrała się za sprzątanie. Mała szafa była wystarczająca, by pomieścić walizkę pełną ciuchów. W końcu rozpakowała się, przysiadła na parapecie okna i sięgnęła po wisiołek.

– Jesteś piękny. Ta tarcza... *Suspension in time* – przeczytała na głos wygrawerowany napis. – Zawieszeni w czasie. Tak, to ten zegarek, jestem już pewna.

Kiedy Stary Jack wrócił, Amanda zbiegła schodami, by utwierdzić się w swoich przypuszczeniach.

– Tak. To on. Mój wstrzymywacz czasu. Skąd go masz? Jak to możliwe?

– Widziałam go u kogoś i zabrałam.

– U kogo? – Stary Jack spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Igor go miał. Nie wiem skąd, twierdził, że go znalazł, ale... Znam go. Myślę, że to on go ukradł.

- To ten twój kolega?
 - Nie jest moim kolegą, już nie. – Jej twarz spochmurniała.
 - Jestem już stary. Niewiele czasu mi zostało. Dlatego zatrzymaj go, Amando, i dobrze ukryj. I masz rację. Ukradł go, choć nie mam pojęcia jak.
 - Twierdził, że go znalazł.
 - Sądziś, że on zna jego moc? – Stary Jack wyglądał na zaniepokojonego. – Wiedział, że to niezwykle przedmiot?
 - Mam nadzieję, że nie. W jego rękach wstrzymywacz czasu mógłby być niebezpieczny. Igorem nie kierują dobre intencje.
 - Obawiasz się go, prawda?
 - Nie wiem, co do końca widział w noc, gdy zniknęliśmy z Henrym w otchłani czasu. Był tam. Przyszedł, bo mnie wyśledził. Prześladowuje mnie. Miał ze sobą broń. To było straszne. Groził mi. Henry go ranił, jednak on o tym nie wspomina. Nie ufam mu.
 - I słusznie. Uważaj na niego. Czasem nawet mała szczypta nienawiści może przerodzić się w całą falę zła.
- Amanda ukryła zegarek w dłoni.
- Chodź, pokażę ci niezłą kryjówkę. – Stary Jack próbował ją pocieszyć. Kiedy weszli na poddasze, mina Starego Jacka była bezcenna.
 - Posprzątałaś tu? A niech to.
 - Troszkę. Nie jestem miłośniczką sprzątanania. Ale to okno. Nie powiedziałaś, że znajdę tu takie boskie widoki.
 - A tak, klif...
 - Jest niezmierny, prawda? Jakbym go miała przy sobie. Boję się, Stary Jacku, o Henry'ego. On był ranny. A ja musiałam go tam zostawić. Zmusił mnie. Nie wiem, co się z nim dzieje. On żyje, prawda? Widziałaś go przed powrotem do Portrush? Powiedz, proszę.
 - Niestety nie widziałem go. Ale to mądry i silny chłopak. Na pewno sobie poradzi...

– Nie chcę żyć bez niego. Już nie potrafię. Tak go kocham – wyznała. –
Jeśli on do mnie nie wróci, moje życie nie będzie miało już sensu.

Amanda zerknęła przez okno na niespokojny ocean. Czuła na sobie zatroskany wzrok Starego Jacka. Najgorsze były strach i niepokój. Nie opuszczały jej od dnia, w którym ostatni raz widziała Henry'ego.

ROZDZIAŁ VI

Londyn, początek XX wieku

Pod szpital Świętego Andrzeja, który dawniej był przytułkiem dla najuboższych i potrzebujących opieki, podjechał samochód z rannym.

– Trzeba go ostrożnie przenieść. – Jeden z funkcjonariuszy pobiegł po lekarza i po nosze. Po chwili przed budynek wyszła młoda pielęgniarka w białym czepku na głowie i długim fartuchu w tym samym kolorze. Za nią mężczyzna z noszami.

– Ostrożnie. Przenieśmy go, ale powoli. – Kobieta była delikatna i troskliwa.

Henry spojrzał na nią z nadzieją. Miała jasne włosy upięte w koczek. Kiedy wnieśli go na salę, lekarz niechętnie zarządził operację. Ubrany w przybrudzony kitel podszedł do stołu operacyjnego, na którym leżał Henry. Nad nimi dyndała duża lampa z czterema żarówkami, a przy stole stało dwóch młodych lekarzy. Na stoliku obok były miski z wodą i narzędzia chirurgiczne. W niewielkiej odległości czekały dwie pielęgniarki.

Henry czuł, jak powoli traci świadomość, a jego ciało oddala się, jakby już do niego nie należało. Przymknął oczy. I znowu poczuł się szczęśliwy. Klif w Portrush jak zawsze witał go wietrznym, północnym wiatrem. Stał na jego krańcu i wpatrywał się w dal. Bryza oceanu była wyjątkowo intensywna, a na niebie pojawiły się szare chmury. Zimne fale oceanu rozbijały się o klif. I wtedy spojrzał za siebie. Jasnowłosa dziewczyna o oczach błękitnych jak niebo biegła do niego, wołając jego imię. On zerwał się w jej stronę, lecz wtedy padł strzał. Upadła.

– Amanda! – zdawał się krzyknąć, zanim poczuł, jak pęka mu serce.



Lekarz uznał, że Henry nie ma wielkich szans.

– To głęboka rana – stwierdził. – Pacjent ma słaby puls. Nie przeżyje. Panno Harper, proszę zaszyć ranę. Szybko. Ja mam kolejną operację.

Blondynka starała się, jak mogła.

– Nie umrze pan tutaj, jeszcze nie dziś – wyszeptała, starannie zszywając bok mężczyzny.

Jako panna bez posagu, ale z ambicjami, postanowiła służyć chorym i cierpiącym właśnie tutaj. Gdy skończyła, Henry został położony w sali szpitalnej pełnej pacjentów. Jeden z nich miał amputowaną nogę. Panowały tu zaduch i smród.

– Przeżyj, proszę cię – wyszeptała, odchodząc od jego łóżka. Niedawno straciła brata w podobnym wieku. Nie przeżył operacji.



Detektyw Thomas liczył tylko na to, że żona Henry'ego Oldmanna bezpiecznie dotarła do celu. Zranione ramię przypominało o sobie tęnym bólem. Przez wszystkie lata pracy w Scotland Yardzie, badania okrutnych morderstw Kuby Rozpruwacza, podejmowania wyzwań wymagających sprytu i przebiegłości, a nawet udawania zabójcy do wynajęcia nigdy jeszcze nie miał do czynienia z tak przedziwną sprawą. Kto mu uwierzy? Co napisze w raporcie? Uznają, że oszalał na stare lata albo – co gorsze – stracił posadę.

– No, stary głupcze, sądziłeś, że wiesz już wszystko – zaśmiał się do siebie pod nosem. Przy Fleet Street panował na razie spokój. Detektyw Thomas musiał doprowadzić sprawę do końca. Na tyle, na ile było to możliwe.

Z trudem dojechał pod dom Oldmannów. Jane czekała na wieści całą noc, siedząc w fotelu przy wejściu do domu.

– Detektywie? – Podbiegła do niego, gdy zatoczył się w drzwiach. – Jest pan ranny. Proszę siadać. Susanne! – zawołała, czując, jak z nerwów cała drży.

Pokojówka leniwie zeszła do salonu.

– Przynieś wody i czyste ręczniki. Ale to szybko!

Przerażona dziewczyna zniknęła za drzwiami kuchni.

– Co z moim bratem, a Amanda? Znalazł ją pan?

– Ona jest bezpieczna. Mam taką nadzieję. Ale pani brat niestety został ranny. Zawieźli go do szpitala Świętego Andrzeja.

– Ale dlaczego? Co mu się stało? I co znaczy, że ona jest bezpieczna?

– Niech pani o nic nie pyta. Brat sam pani o wszystkim powie. Ale teraz proszę go stamtąd jak najszybciej zabrać. W domu będzie miał znacznie lepszą opiekę i lepszego lekarza pani znajdzie. W szpitalach ludzie często umierają. Rozumie pani?

Jane zasłoniła usta ręką. Natychmiast zarzuciła na siebie kraciatą chustę i zażądała powozu.

– Jadę po naszego rodzinnego lekarza, doktora Raivera. Przywiozę Henry’ego do domu. Ale...

– Pani bratowa jest już bezpieczna. Bezpieczniejsza niż on. Proszę mi wierzyć.

– Dziękuję panu. Proszę zaczekać tu na mnie. Susanne się panem zajmie, zaraz sprowadzę lekarza.

Detektyw obawiał się jednak, że strażnicy czasu powrócą tu wcześniej, niż można było się tego spodziewać.

– Nie powinna pani jechać w nocy sama. Jedna zaginiona kobieta w rodzinie wystarczy. Nie mogę puścić pani samej. Za rogiem może kryć się kolejne niebezpieczeństwo. Proszę pojechać z kimś zaufanym, kto umie dobrze strzelać.

W tej chwili do domu weszło dwóch funkcjonariuszy.

– Detektywie?

– Nic mi nie jest. Zawieźcie tę młodą damę do szpitala Świętego Andrzeja. I pomóżcie jej we wszystkim, o co poprosi.

– Tak jest.

Policjanci byli uzbrojeni w pałki i broń. Strażnicy czasu jednak nie próżnowali. Ponieważ Amanda i pozostali zakładnicy im uciekli, robili wszystko, by ich odnaleźć.



Kiedy Jane dotarła po lekarza, a potem do szpitala, znalazła Henry’ego w ciężkim stanie. Leżał w dusznej sali, blady, proszący o łyk wody.

– Henry! Boże! Co z tobą? Zabieram cię stąd, braciszku. Doktorze, proszę mi pomóc.

– Trzeba się spieszyć, panienko Jane. Tutaj liczba zarazków może go zabić.

Doktor Raiver nie zwlekał, a szpital nie stawiał przeszkód. Jeden pacjent mniej był dla nich mniejszym obciążeniem.

– Boję się o niego. Doktorze, niech go pan ratuje.

– Spokojnie, najpierw go stąd wywieźmy. Źle, że tu trafił.

– Co pan mówi? – Jane była bliska płaczu.

– Pomogę mu, spokojnie, panienko Jane.

Przetransportowany powozem do rodzinnego domu Henry został poddany najlepszej opiece. Niestety rana wyglądała coraz gorzej i ropiała.

– Wdało się zakażenie – oznajmił Raiver następnego poranka.

– Zakażenie? Czy to niebezpieczne? – Jane nie odstępowała łóżka Henry’ego.

– Niestety tak.

– Proszę go ratować...

– Zrobię mu okład z maści ziołowej. Jeśli to nie pomoże, trzeba będzie próbować inaczej – wyjaśnił Jane, ale ona wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć. – Czy dobrze się panienka czuje?

– Nie, ale niech pan robi, co musi. Henry musi żyć. Niech go pan ratuje. Błagam.

Okłady jednak nie pomogły. Henry dostał w nocy bardzo wysokiej gorączki. Majaczył. Susanne i Jane zmieniały mu opatrunki i przykładaly okłady.

– Amanda... Amanda... Gdzie jesteś?

– Henry, to ja, Jane. Masz wysoką gorączkę.

– Panienko Jane, widziałam już podobne stany. Ta rana... – Susanne zapragnęła pomóc.

– Co z nią?

– Jest opuchnięta. I ta ropa. Jak na mój gust to nie jest dobrze. Ranę powinno się otworzyć i oczyścić. – Susanne w przeciwieństwie do Jane nie miała problemu z opatrywaniem chorych.

– Jak to otworzyć?

– Normalnie. Rozciąć i przemyć.

– Doktor Raiver zrobił, co mógł.

– Nie miałam na myśli nic złego, panienko, ale panicz Henry może umrzeć. Niech mi panienka uwierzy. Widziałam już coś podobnego.

– Gdzie? Mów, co wiesz.

– Mój brat miał podobne objawy. Rana cuchnęła. Miał wysoką gorączkę.

– I?

– Pomógł mu znachor. Lekarze twierdzili, że nic już nie da się zrobić.

– Znachor? Jaki znachor? – Jane patrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Mieszka w starej chacie nad Tamizą. Mówią na niego uzdrowiciel. Inni z niego drwią, ale ja wiem jedno. Uleczył mojego brata, gdy lekarze wywróżyli mu już śmierć. Maść ziołowa tu nie pomoże.

– Posłuchaj, Susanne, jeśli on może pomóc Henry’emu, to warto go tu sprowadzić. Możesz się tym zająć?

– Mogę.

– Nie wiem, czy nie postradałam zmysłów, ale nie czas na takie rozmyślania. Weź powóz. Zapłacę temu człowiekowi, ile trzeba.

– On nie bierze pieniędzy. Po prostu pomaga za jedzenie.

– Dam mu, co zechce. Jedź już!



Minęła godzina. Potem kolejna. Detektyw Thomas wrócił do swego domu, jednak nakazał funkcjonariuszom policji pilnować domu Oldmannów.

Jane tymczasem nerwowo chodziła od okna sypialni do łóżka, w którym leżał majaczący Henry. Gorączka nie mijała. Miejsce zszycia rany wyglądało coraz gorzej. Każdy dotyk, zmiana opatrunku przyprawiały mężczyznę o niemiłosierny ból.

– Gdzie oni są? Och, Susanne, pospiesz się, błagam.

Doktor Raiver przyjechał do Oldmannów na nocny dyżur.

– Trzeba czekać, panienko. Ten okład powinien pomóc. Mogę jedynie ponownie go naciąć.

– Nie! Nie trzeba.

– Jak to?

– Posłałam już po kogoś. Nie mogę czekać, aż będzie za późno.

– Pani mi nie ufa?

– Nie o to chodzi, doktorze. Muszę ratować brata.

– Kogo ma pani na myśli? – Doktor Raiver był wyraźnie niezadowolony, wręcz urażony.

– Znachora znad Tamizy.

– Znachora? To żart?

– Nie, to nie żart. – Dziewczyna odwróciła zmęczoną twarz w stronę okna. Powóz właśnie podjechał pod dom.

Roztrzęsiona Jane zbiegła schodami.

– Susanne?! Przywiozłaś go? – dopytywała, wybiegając przed dom.

– Tak.

Z powozu powoli wysiadł starszy mężczyzna z brodą po pas i tajemniczą torbą. Obrażony doktor Raiver, opuszczając dom Oldmannów, minął go tuż przy głównych drzwiach. Jane jednak nie zważała na to. Ratowała brata, jak umiała. Kiedy znachor go ujrzał, od razu potwierdził słowa Susanne.

– Ten, kto go zszywał, nie zważał na czystość. Muszę rozciąć ranę i zobaczyć, co się tam dzieje. Tutaj liczy się czas. Czy panienka się zgadza? – Spojrzał na załamaną Jane.

– Tak. Susanne, proszę cię jeszcze o jedno. Niech woźnica powiadomi naszą matkę. Powinna wiedzieć, w jakim stanie jest jej syn.

– Oczywiście.

W tym czasie znachor zwrócił się do Jane:

– Jest nieprzytomny?

– Nie, ale jest z nim coraz gorszy kontakt. Majaczy...

– Proszę szybko przynieść wszystkie świece, jakie ma pani w domu. Rozetną szwy. Pani poda mu morfinę. Ta rana jest pełna ropy i zarazków, muszę ją przemyć. Jest w tym domu spirytus?

– Tak, chyba tak...

Jane pobiegła do salonu. Ojciec dawniej trzymał w kredensie różne wódki, by je popijać, kiedy miał ochotę.

– Mam! – Wpadła uradowana do sypialni.

– Niech pani otworzy okno. Trzeba tu wpuścić świeże powietrze.

Jane pozapalała wszystkie świece. Znachor wyjął z torby skalpel i zdezynfekował go spirytusem. Potem przyłożył do opuchniętej rany i przeciął ją. Wyłynęła krew i mnóstwo ropy. Zapach wydobywający się z rany przypominał fetor. Jane z trudem wytrzymała to wszystko.

– Lekarze... – Znachor kłął pod nosem, po czym naciął ranę głębiej. Wtedy zaklął jeszcze głośniejszym głosem, po czym wyjął z sączącej się rany kawałek materiału. – To nasz powód całego zamieszania.

– To było w jego ranie?

– Jak pani widzi. Ten, kto go zszywał, z pewnością nie był fachowcem. Pani brat otarł się o śmierć. Teraz powinno być już dobrze. Niech pani nie płacze. Jeżeli gorączka nad ranem zacznie spadać, to jest nadzieja, że przeżyje.

Po zszyciu rany znachor chciał już opuścić dom.

– Proszę zaczekać. Chcę się panu odwdzięczyć za pomoc. Proszę zostać ze mną na kolacji. Nie lubię jadać sama.

– Dawno nie jadłem mięsa. – Mężczyzna chętnie przystał na propozycję Jane.

– Zaraz powiem, by nakryto do stołu. Nie wiem, jak się panu odwdzięczę. Ja... – Jane zaczęła nagle płakać. Tłumione od kilku dni emocje, strach i przerażenie wykańczały ją emocjonalnie. – Przepraszam...

– Za co?

– Moja matka nie przyjechała. A pan bezinteresownie zostawił wszystko, by ratować obcego człowieka.

– Jestem ulicznym lekarzem, znachorem, jak niektórzy mnie określają. I widziałem już wiele, niech mi pani wierzy.

– Jak się pan nazywa?

– Jestem Irlandczykiem. Nazywam się Bairre MacGowan. Przypłynąłem do Anglii dawno temu z moją żoną i dziećmi. Dziś byłyby już dorosłe. Ale życie nas nie rozpieszczało. Wszyscy zmarli, gdy wiele lat temu cuchnąca odchodami Tamiza stanowiła największe źródło zakażeń i chorób. Pani tych czasów nie pamięta, jest pani za młoda – westchnął ciężko. – Zatruli się tą paskudną wodą. Wszyscy ją pili...

– Na co zmarli?

– Na co? Na cholere. Na epidemię i tamtejszy smród nie było mocnych. Cóż... Nie sądziłem, że przybywając tutaj, stracę moich najbliższych. Wie

pani, co było najgorsze?

– Bezradność?

– Przeogromna. I obwinianie się o to, że ich tu zabrałem. Mieliśmy tu żyć szczęśliwie. Godnie. Tymczasem patrzyłem, jak umierają, i nic nie mogłem zrobić. Mogłem ze sobą skończyć. Tylko tyle mogłem. Ale nie poddałem się. Zacząłem się uczyć. Sam. I zostałem ulicznym lekarzem. I wiem, że czystość jest najważniejsza. Niech pani o tym pamięta.

– Bardzo mi przykro. Strata najbliższych jest najboleśnieszka.

– Nic jej nie przebije. Śmierć własnych dzieci i żony. – Pokiwał tylko głową.

Jane dotknęła jego ręki.

– Niech pan coś zje. Właśnie podano do stołu.

Po kolacji pod dom Oldmannów podjechał powóz z matką Jane i Emily Taylor. Tej drugiej Jane się nie spodziewała.

– Gdzie on jest? Czy mój syn żyje? – Margaret Oldmann wpadła do domu niczym huragan.

– Jest w swojej sypialni. Śpi. Niech go mama teraz nie budzi.

Kiedy pani Oldmann weszła do pokoju, przeraziła się.

– Boże mój! On wygląda jak nieżywy! Moje dziecko...

– Teraz już będzie dobrze. Susanne zmierzyła mu temperaturę. Gorączka powoli ustępuje.

– Jane – pani Oldmann spojrzała na córkę z powagą – mów zaraz, co się tu dzieje. Skąd ta rana? Mów, na litość boską! – Chwyciła ją za ramiona i zaczęła potrząsać.

– Nie wiem, mamó. Amanda nagle zniknęła. Wszyscy próbowaliśmy ją znaleźć. Henry po prostu wybiegł z domu, by jej szukać. Umierałam z niepokoju. Widać musiał wdać się w jakąś bójkę lub został napadnięty.

– Wiedziałam. To ta dziewczyna. To przez nią.

– Przestań, mamó, to twoja synowa.

– Synowa... – Pani Oldmann nabrała głęboko powietrza. – Doktor Raiver się sprawił.

– To nie on. Henry by umarł, bo wdało się zakażenie. To znachor otworzył ranę i ją oczyścił.

– Jaką ranę? – Do sypialni wkroczyła przerażona Emily, która niecierpliwie czekała pod drzwiami. – Henry? – Dopadła do jego łóżka i zaczęła lamentować.

– Cicho bądź! – Nagle Jane ostro jej przerwała. – Obudzisz go. Mój brat potrzebuje teraz spokoju.

– Ale on... Co mu jest?

– Mamo, proszę, zabierz ją stąd. Henry ma żonę, która się nim zajmie.

– Tak? To gdzie ona jest? Jakoś nie widzę, by czuwała przy jego łóżku. – Emily stawała się natrętna.

– Amanda jest bardzo dobrą i troskliwą żoną. A Henry ją uwielbia. – Jane wymownie spojrzała na Emily.

– Więc gdzie ona jest? – Emily nie ustępowała. – Ukrywasz coś, Jane, widzę to.

– To nie powinno cię interesować. A teraz wyjdź z mojego domu. – Jane się nie poddawała. – Małżeństwo Henry’ego to zdecydowanie nie twoja sprawa.

– Nie moja? – zakpiła.

– Tak. Nie twoja. Już sama dawno temu powinnaś wyjść za mąż. Gdyby Henry chciał cię poślubić, zrobiłby to wtedy.

– Jane! – Margaret Oldmann poczerwieniała. – Nie poznaję cię. Jesteś co najmniej niegrzeczna.

– Trudno. Ja przynajmniej nie chodzę po cudzych domach i nie zaglądam nikomu do sypialni. A już na pewno nie tam, gdzie mnie nie chcą. – Buntowniczo spojrzała Emily w oczy. Te płonęły gniewem i urazą.

– Zapamiętam sobie, jak tu potraktowano moją troskę. – Emily z gniewem opuściła sypialnię, a potem dom.

– Przepraszaj ją – zabrzmiał zdecydowany ton matki.

– Nie, mam. Nie zrobię tego. I dziwię ci się, że nie oponujesz przeciw jej ciągłym gierkom.

– Jane!

– Nie jestem już tą naiwną, głupiutką kobietką, której zawsze mówiłaś, jak ma siadać, jeść, śmiać się czy witać gości. Wychodzę za męża. I chcę żyć po swojemu, tak jak to zrobił Henry.

– Gdyby ojciec żył...

– Ojciec mnie kochał. I jego też.

Margaret Oldmann umilkła.

– Skoro, jak twierdzisz, wszystko jest w takim porządku, to co robią przed naszym domem funkcjonariusze policji?

– Pomogli mi przywieść Henry’ego ze szpitala.

– Postawiłaś na nogi całą londyńską policję. – Spojrzenie matki tym razem wyrażało dumę i wdzięczność. – Dbaj o niego. – Dotknęła jej dłoni. – Będiesz dobrą żoną i matką.

– Mam, ja...

– Wiem. Kocham cię, nawet jeśli sądzisz, że jest inaczej. Zawsze chciałam dla was jak najlepiej. Zostanę przy Henrym przez noc. A ty idź i odpocznij.

– Czy to dobry pomysł? Sama źle się czujesz.

– To mój syn. A ty wyglądasz na przemęczoną. Idź się wyśpij, inaczej twój narzeczony ucieknie gdzie pieprz rośnie. A ja chcę wreszcie doczekać się wnuczka.

– Nigdy się nie zmienisz, mam.

– Ani myślę – odparła, posyłając córce wymuszony uśmiech. – Jane...

– Tak?

– Ten człowiek. Zapłaciłaś mu?

– Mówisz o znachorze? Zaprosiłam go na kolację. On nie przyjmuje pieniędzy.

– Dziwaczne. Cóż. Daj mu, co zechce. Teraz ty tu rządzisz, córeczko.

Pani Oldmann rozsiadła się w fotelu i czuwała przy Henrym aż do rana. Tymczasem nikt z rodziny nie zdawał sobie sprawy, że strażnicy czasu obserwowali ich i szykowali się do ataku. Byli wściekli, że odnaleziono ich kryjówkę i odbito więźniów. Nigdy nie odpuszczali tym, którzy bezkarnie bawili się czasem. A już na pewno nie tym, którzy uciekali przed przesłuchaniem i karą. Machina czasu rządziła się swoimi prawami, a oni czuli się jej wysłannikami, sprawującymi pieczę nad odmierzonymi cicho minutami.



Mijały kolejne dni. Henry powoli dochodził do siebie. Gorączka odpuściła, a rana zaczęła się zablizniać.

– Henry. Powiedz mi wreszcie, gdzie jest Amanda. – Jane czuła, że wydarzyło się coś dziwnego. Niebezpiecznego. – I skąd ta rana? Kto ci to zrobił? Gdzie jest twoja żona?

– Ciii... Im mniej wiesz, siostrzyczko, tym dla ciebie lepiej. Detektyw Thomas... Czy możesz go tu sprowadzić?

– Ale Henry. Nie musisz kłamać. Ci policjanci. Są tu, bo strażnicy nie odpuszczają, prawda? Czy coś nam znowu zagraża? Henry, na litość boską!

– Tak! Zagraża! Co mam ci powiedzieć? – uniósł się w końcu, dając upust swym obawom i przerażeniu. – Zabrali ją. Musiałem coś zrobić.

– Amandę?

– Tak.

– I to oni cię ranili?

– Tak, i pewnie są w pobliżu. Chcą mnie. I jej. Dlatego sprowadź tu sir Thomasa. Muszę mieć pewność, że Amanda bezpiecznie dotarła do Portrush.

– Do jakiego Portrush? Henry... Czy ona?

– Tak, wróciła do siebie. Do naszej przyszłości, czyli do swoich czasów. Teraz wiesz już wszystko.

– Czyli twoja Amanda przybyła z naszej przyszłości?

– Tak.

– Ale pasowała do nas. Przysięgam! To niemożliwe!

– Jane. Poznałem ją w Portrush, gdy mieszkałem tam kilka miesięcy po mojej podróży w czasie. Wylądowałem w dwa tysiące dwudziestym roku w Irlandii Północnej.

– Teraz rozumiem. Jej włosy...

– Co z nimi?

– Gdy ją pierwszy raz przyprowadziłeś, miała proste, rozpuszczone włosy. U nas to nie do pomyślenia. Czy tamtejsze kobiety nie układają włosów w kok?

– Czeszą się, jak chcą, i ubierają swobodnie. To inny świat. Nie możesz sobie tego wyobrazić.

– Kiedyś mnie tam zabierzesz. Obiecuj.

– Zapomnij o tym. Wystarczy mi już jedna podróżniczka, uparta do granic możliwości. O mało jej nie straciłem. Amanda nie rozumiała, jak bardzo niebezpieczna może być ta wyprawa.

– Bardzo ją kochasz?

– Bardzo... – Henry przymknął oczy. Wyobrażał sobie, jak wtula swoją twarz w jej długie, miękkie włosy, pachnące wiatrem.

– W takim razie gdzie ona jest?

– Miała mnie posłuchać i wrócić do Portrush przez zegar przejścia. Ale muszę mieć pewność, czy to zrobiła. Amanda bywa niepokorna. Chadza własnymi ścieżkami i często wpada w kłopoty, a ja tak bardzo ją Kocham. Nie darowałbym sobie, gdy coś jej się znowu stało.

– Henry, nie miałam pojęcia, że ona jest z przyszłości. Musi cię bardzo kochać, skoro nie bała się wsiąść do wehikułu i zaryzykować tak wiele.

Przecież nie miała pojęcia, co ją czeka. Jest naprawdę odważna. Polubiłam ją. I co teraz będzie? A jeśli jej się nie udało?

Henry spojrzał na siostrę z niepokojem.

– Nie mów tak. Nie mogę jej stracić.

– Zaraz sprowadzę tu detektywa, niech to sprawdzi. Ja też ją pokochałam, Henry. – Chwyliła go za rękę, jakby chciała zatrzymać wszelkie troski.

ROZDZIAŁ VII

Irlandia, Portrush, współcześnie

Dziś ocean był wyjątkowo niespokojny. Jakby północne wiatry przywiały coś złego. Amanda siedziała samotnie na plaży. Wsłuchiwała się w odgłosy rozbijanych o klif fal. Pieniste falbany rywalizowały ze sobą o to, która będzie wyższa i która mocniej zaszumi. Amanda czuła się jak w zawieszeniu. Nie należała ani do tego świata, ani do tamtego. Należała do tego, gdzie był on. Henry. Jednak każdy kolejny dzień dłużył się niemiłosiernie i nie przynosił efektu. Każdego dnia po pracy wchodziła na klif i czekała. Na jakiś znak, coś nietypowego, innego, dziwaczного. Na cokolwiek, co mogłoby zwiastować powrót Henry'ego. Dziś też to zrobi. Wejdzie tam i będzie go wypatrywała. Niepewność była najgorsza. Wstrzymywacz czasu skrzętnie schowany przed niepożądanym wzrokiem wścibskich ludzi dodawał jej nadziei. Nagle z dala dostrzegła Jessicę. Szła plażą. Trzymała w rękach deskę surfingową i zdawała się ją obserwować. Amanda podbiegła do niej.

– Jessica. Cześć! – krzyknęła do przyjaciółki, lecz ta nie zareagowała. – Jess?

– Czego chcesz?

– Przywitać się. Sądziłam, że mnie odwiedzisz.

– Nie, nie odwiedzę cię. To ty odeszłaś. Naprawdę sądzisz, że to ma sens? Przesiadujesz na plaży albo mieszkasz na zatechłym strychu, wypatrując swego ukochanego. Oszukujesz się. On się nie zjawi, a wiesz dlaczego?

– Przestań, nie mów tak!

– Bo się tobą znudził. Ma gdzieś naiwną blondynkę, która pewnie i tak już mu się oddała.

– Jesteś okrutna! Dlaczego to robisz?

– Ratuję cię z opresji. Otwórz oczy, ocknij się. Faceci tacy już są, nigdy nie wracają – rzuciła chłodno, po czym wbiegła z deską do wody. Zaczęła płynąć przed siebie, szukając wysokiej fali.

Amanda zagryzła mocno wargę. Bała się, a po tym, co teraz usłyszała, strach zaczął przejmować nad nią kontrolę. Patrzyła, jak Jessica płynie pod falę. Bez mrugnięcia okiem wylała na nią swą całą gorzkość. Amanda miała dość. Zaczęła biec w stronę klifu. A jeśli ona ma rację? Jeśli Henry nie wróci? Jeśli tylko tak powiedział, bo chciał się jej pozbyć? A jeśli on nie żyje? Im wyżej wbiegała, tym północny wiatr mocniej wiał, obwieszczając, że to on tu rządzi. W końcu strudzona, wręcz wyczerpana dotarła na szczyt.

„Henry, błagam wróć do mnie. Żyj i wróć do mnie”. Zrezygnowana położyła się wśród wysokich traw. Początkowo nie czuła chłodu. Jednak gdy ochłonęła, zrozumiała, że jeśli nie wróci do domu, to zmarznie. Temperatura o tej porze roku dochodziła tutaj do sześciu, siedmiu stopni, a przez większość dnia pojawiały się wiatr i deszcz.

„On by tego nie pochwalił...”

Drżała, przegnana wiatrem. I nagle zapagnęła napić się gorącej czekolady. Pomyślała o Starym Jacku i uśmiechnęła się pod nosem. Gdy zaczęła schodzić z klifu, nieoczekiwanie spotkała Igora. Chłopak wyglądał, jakby czegoś szukał.

– Igor? Co tu robisz? Czy już zawsze będę cię tu spotykała?

– Trudno się nie domyślić, gdzie możesz być. – Przebiegł po niej wzrokiem. – Widziałem cię na plaży. Moja siostra nie była dla ciebie miła. Ostatnio mocno jej odbija.

– Podśluchiwałaś? Nie widziałam cię tam.

– Mam swoje sposoby... Z nią nikt nie wytrzyma.

– Myślę, że ona cierpi. To dlatego. Coś u niej jest nie tak, ale nie wiem co.

– Ty naprawdę tu na niego czekasz?

Amandę przeszył nieprzyjemny dreszcz.

– O czym mówisz?

– Dobrze wiesz. Ale nie jestem twoim wrogiem. Uważam, że niepotrzebnie czekasz na kogoś, kto cię zostawił.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Henry mnie nie zostawił. On do mnie wróci.

– Spokojnie. Tylko rozmawiamy.

– Nie mam ochoty na podobne rozmowy. Mówisz o czymś, o czym nie masz najmniejszego pojęcia.

– Jasne. Tak. Głupi, arogancki Igor. Dobry tylko, by cię czasem podwieźć tu czy tam.

– Daj spokój. – Amanda próbowała go wyminąć, lecz on zaszedł jej drogę.

– Jesteś bardzo ładna i bardzo cwana. Ale ja nie jestem głupi. Tamtej nocy, gdy chciałem cię stąd zabrać. Ja wszystko pamiętam, Amando.

– Niby co takiego? – Zadrżała, z niepokojem rozglądając się wokoło.

– Wsiedliście do tego śmiesznego wehikułu i zniknęliście. Powiesz teraz, że to bzdury, że coś mi się pomieszało w głowie, bo zostałem ranny. Ale wiem, co widziałem. Wszystko świetnie pamiętam.

– O co ci tak naprawdę chodzi?

– Zniknął z nim. Tak po prostu. I ten ogromny, jasny błysk. Byłaś z nim w podróży, dalekiej, a teraz on nie może tu wrócić. Ciekawe dlaczego, co?

– Tak, masz rację, byłam z nim w podróży. I wiesz co? To była najszczęśliwsza podróż w moim życiu. I tak, kocham go i nigdy nie przestanę. – Jej zbuntowany wzrok kazał spuścić mu z tonu.

– Kocham cię, Amando. Wiesz o tym. Szaleję za tobą. Dlaczego nie wybierzesz mnie?

– Ale ja już ci mówiłam.

– Co? Że nigdy mnie nie pokochasz, czy tak?

Igor zaczął niebezpiecznie zbliżać się do granicy klifu.

– Co robisz? Oszalałeś? Możesz spać.

– I co z tego? Wiem, że zabrałaś zegarek z mojego samochodu. Przydał się? Ty naprawdę masz mnie za kretyna.

– Powiedz lepiej, skąd go masz. – Amanda nie miała już nic do stracenia.

– Jak ktoś nie pilnuje takich rzeczy, to nie powinien ich posiadać.

– Tak, zabrałam go. Podobał mi się. Ale masz rację, nie powinnam tego robić. Może mi go sprzedasz? – Próbowała grać na czas.

– Jest zbyt cenny. Proszę, byś mi go oddała. – Wyciągnął do niej rękę. Amanda głośno przełknęła ślinę.

– Nie mogę. Odkupię go. Ile za niego chcesz?

– Nie jest na sprzedaż. I jeśli mi go nie oddasz, będę musiał zabrać ci go siłą.

Amanda naprawdę zaczynała się bać. Widziała, że Igor nie żartuje. W dodatku byli na klifie, a więc mogło zdarzyć się wszystko.

– To tylko zegarek. – Próbowała go udobruchać. – Kupię ci inny.

– Oddaj go po dobroci.

– Nie mogę – odparła, po czym, robiąc sprytny unik, rzuciła się do ucieczki. Igor nie tracił czasu i zaczął ją ścigać. Włosy Amandy przypominały teraz jasne skrzydła ptaka falujące na wietrze. Broniła swego. I jedynym, co przyszło jej do głowy, była ucieczka. Nie mogła stracić wstrzymywacza czasu. Był zbyt cenny. Obejrzała się za siebie. Igor ją doganiał. I wtedy wpadła na śmiertelnie niebezpieczny pomysł. Skoczy do oceanu. Tak. Zrobi to. Ten pomysł, choć diabelski, miał sens. Amanda skręciła nagle w lewo. Zaczęła biec w stronę brzegu klifu. Słyszała za sobą ciężki oddech Igora. Dopadał ją. Resztkami sił dobiegła do urwiska i na moment przystanęła. Igor zdołał tylko zrobić przerażoną minę. Amanda była jednak zdeterminowana. Jej rozwiane na wietrze, jasne włosy i zaróżowiona od wysiłku twarz. Tak ją widział, zanim zdołała skoczyć. Z przerażeniem podbiegł do krawędzi. I wtedy zawołał na cały głos:

– Amando, nie! Nie! Coś ty zrobiła?!

Spadała. A po kilku sekundach poczuła uderzenie i obezwładniającą falę zimna. Odmęty wody wciągały ją głębiej i wypychały. Jej ciało bezwolne dryfowało wraz z nurtem oceanu i siłą fal. I wtedy uderzyła głową o skałę. Tępy ból i niepamięć rozproszyły strach oraz widmo śmierci. Teraz widziała w oddali Henry’ego. Płynął do niej, lecz coś mu przeszkadzało. Niewidoczna ściana mroku czasu.



Jessica z trudem zdołała dopłynąć z Amandą do brzegu.

– Ocknij się, błagam cię, Amando! – Uderzała ją w policzek. Potem sztuczne oddychanie. Nic. – Błagam, niech mi ktoś pomoże! – wołała, widząc krew sączącą się z głowy przyjaciółki.

Wtedy podbiegł do nich Aidan, który właśnie podjechał na plażę samochodem.

– Pomóż! Ona nie oddycha! Spadła z klifu. Aidan, ratuj ją... – Jessica była rozdygotana. – Zobaczyłam, jak spada, więc zanurkowałam.

– I sama zdołałaś ją wyłowić?

– To chyba z przyływu adrenaliny... Nie wiem...

Aidan przystąpił do reanimacji. Nie było jednak efektu.

– Na fotelu w samochodzie leży mój telefon, dzwoń natychmiast po pomoc!

Jessica pobiegła do auta. Aidan kontynuował oddechy i masaż serca. Amanda wciąż nie reagowała.

– Nikt nie odbiera!

– Dawaj, dziewczyno! Zaczynj oddychać. No już! Nie poddawaj się, błagam! – krzyczał, nie rezygnując.

– Amando, proszę! Wybacz mi! Słyszysz? Wróć do nas! Przecież masz czekać na Henry’ego! Amando! Co mu powiem, jak on wróci, a ciebie nie

będzie? – Zrozpaczona Jessica chwyciła zimną dłoń przyjaciółki. I wtedy poczuła słaby ucisk. A po chwili kaszel i zachłyśnięcie wodą.

– Amanda! Bogu dzięki.

Aidan usiadł na piasku i pochylił głowę, chowając ją w dłoniach.

– Dziewczyno, takich rzeczy się nie robi. Jak mogłaś spaść z klifu? Chciałaś się zabić? Co z tobą?

– Daj jej spokój. Przed chwilą jej nie było. Niech dojdzie do siebie. – Jessica w myślach dziękowała Bogu, że Amanda żyje.

– Dzwonię jeszcze raz po pogotowie. – Aidan też z trudem odzyskał równowagę.

Amanda jeszcze długo leżała na piasku. Była gotowa na wszystko, byle zatrzymać przy sobie wstrzymywacz czasu. I właśnie to udowodniła. Był dla niej alternatywą na sytuację, w której być może przyjdzie jej się jeszcze znaleźć. Była już raz w rękach strażników czasu i świetnie wiedziała, że to nie zabawa. Że tu chodzi o jej życie. I o życie Henry’ego. Po jakimś czasie na plaży pojawił się przerażony Igor.

– Igor, a co ty tu robisz? – Jessica ze zdziwieniem przyglądała się bratu. – Dziwnie wyglądasz. Ty na plaży? Wiesz, co się stało Amandzie? Nie uwierzysz. Spadła z klifu. Gdyby nie Aidan...

– Ale ona żyje, tak? – Jego blada twarz zdradzała przerażenie.

– Tak. Ale długo nie dawała żadnych oznak. Skąd się tu wzięła?

Gdy chłopak upewnił się, że Amanda przeżyła skok, odszedł bez słowa. Jessica nie była w stanie zrozumieć jego dziwnego zachowania. Uznała jednak, że skoro przyjaciółka była sympatią brata, to musiał to mocno przeżyć. Kiedy Amanda powoli wracała do sił, Jessica była przy niej, nie odstępując na krok.

– Wybacz mi. Byłam dla ciebie podła. – Okryła ją kocem. – Nie mówiłam szczerze. Przemawiały przeze mnie złość i zazdrość.

– Zazdrość? – Głos Amandy brzmiał jak chrypka. Ból głowy wciąż dawał się we znaki.

– Tak. Nie rozumiesz? Ty masz swojego Henry’ego. I on pewnie do ciebie wróci, choć dla mnie nadal jest dziwakiem. Ale się kochacie. A ja?

– Och, Jess, gdyby to wszystko mogło być prostsze.

– Igor tu był.

– Czego chciał? – spytała chłodno.

– Martwił się o ciebie.

– Przyszedł sprawdzić, czy żyję.

– Jak to? Skąd miałby wiedzieć, że ty...

– O nic nie pytaj, Jess.

– To jego wina, prawda? – Pokiwała nerwowo głową. – To dlatego odszedł bez słowa? Co się wydarzyło? Powiedz mi.

– Nic. Daj spokój.

– Mój brat to jednak prawdziwy gnojek. Kiedy on wreszcie da ci spokój?

– Nie gniewaj się, ale nie chcę go więcej widzieć. Jest nieobliczalny i za każdym razem, gdy go spotykam, mam przez niego kłopoty.

– To przez niego skoczyłaś z klifu? Wiesz, ile miałaś szczęścia?

– Broniałam się.

– Porozmawiam dziś z nim i powiem o wszystkim rodzicom. To się musi skończyć!

– Nie rób tego, Jess. Błagam. To tylko pogorszy sprawę. Nie można nikogo do niczego zmusić, on to kiedyś zrozumie.

– Nie mówisz mi całej prawdy, wiem o tym. Ale to twoje życie. I nie chcę się wtrącać.

Amanda spojrzała na posmutniałą Jessicę.

– Masz rację. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, bo po prostu nie mogę. Powiedz tylko Igorowi, że jeśli jeszcze raz mnie zaatakuje, będę naprawdę musiała się bronić. A teraz powinnam już iść.

– Nie wolno ci! Aidan dzwonił po pogotowie, już tu jadą.

– Ale ja muszę iść do Starego Jacka. Muszę coś sprawdzić.

– To niemożliwe. Posiedź tu. Dopiero co wyłowiłam cię z oceanu. Nie możesz tak ryzykować.

– Masz rację, nie mam siły się nawet podnieść. – Po tych słowach przymknęła oczy i zaczęła miarowo oddychać, a przyjaciółka wciąż jej pilnowała. W końcu na plażę dotarło pogotowie. Lekarz zasugerował, że u Amandy mogło dojść do obrzęku płuc, zabrano ją więc na kilkugodzinną obserwację do szpitala.



Tego dnia Jessica wróciła na plażę. Wciąż przeżywała dzisiejsze zdarzenie. Nagle Aidan pojawił się w pobliżu z kubkiem latte.

– Napijesz się?

– Chętnie. Dziękuję za dzisiejszą pomoc.

– Nie ma sprawy. To ty byłaś wspaniała. Uratowałaś swoją przyjaciółkę. Ludzie giną, spadając z klifu. Ją ochroniło dziś coś niezwykłego. Sam nie wiem. Ta dziewczyna ma dużo szczęścia.

– Dzięki Bogu... A myślałam, że to ja jestem szalona. – Jessica próbowała żartować.

– W zasadzie to chciałem jeszcze o czymś porozmawiać... Ostatnio źle cię traktowałem. Czy dasz mi jeszcze kiedyś drugą szansę?

– Muszę sobie wiele spraw przemyśleć, Aidan. Kilka rzeczy zrozumiałam.

– Wtedy mnie poniosło. Chciałem zbyt wiele i za szybko. Teraz to wiem. Lecz przywykłem do tego, że w życiu wszystko mi łatwo przychodzi. Sądziłem, że z tobą też tak będzie.

– No właśnie. Oboje się gdzieś rozminęliśmy. Chcę dalej surfować z tobą. I chcę cieszyć się wolnością.

– Chyba cię rozumiem. Dajesz mi kulturalnego kosza. – Uśmiechnął się pod nosem.

– Nie. To nie tak. Nie jesteś mi obojętny, lecz trochę to wszystko wymknęło się spod kontroli. Poczekajmy, co przyniesie jutro. O ile chcesz czekać...

– Tak się składa, że mam sporo czasu wolnego – odparł, zerkając w stronę oceanu.

Jessica również wpatrywała się w jego toń. Cieszyła się, że Amanda była szczęściarą, której śmierć się nie ima.



Wieczorem po obserwacji wypuszczono Amandę ze szpitala do domu. Lecz miała na siebie uważać i odpoczywać jeszcze przez kilka dni.

Gdy siedziała w swoim nowym pokoju przy oknie, wpatrując się w klif nad oceanem, do pokoju zapukał Stary Jack.

– Czy taki starzec jak ja może tu wejść?

– Jasne, przecież to twój pokój.

Przysiadł tuż obok niej. Wyglądał na zmęczonego.

– Martwiłem się o ciebie. Kiedy zobaczyłem pogotowie pod moim domem, przestraszyłem się.

– Przepraszam cię, Stary Jacku.

– Powiesz mi, co się właściwie dziś stało? I jak się czujesz?

– Tak, lecz najpierw mi o czymś powiedz.

– Tak?

– Czy ten zegarek ma też inne właściwości? – Amanda trzymała go w dłoni jak bezcenny skarb.

– Dlaczego pytasz?

– Obawiam się, że mógł stracić swoją moc. Wpadłam z nim dziś do oceanu. Wybacz mi. Nie planowałam tego.

Stary Jack spojrzał na nią podejrzliwie.

– Do oceanu? To już wszystko staje się jasne. Ale jak to możliwe?

Amanda początkowo milczała.

– Skok był jedyną rzeczą, jaka przyszła mi do głowy.

– Przed kim uciekałaś?

– Przed Igorem.

– Znowu on? Ten chłopak cię prześladowuje. Wystarczy już tego. Jutro pójdę do jego rodziców.

– Ty naprawdę się o mnie martwisz. – Amanda spojrzała na niego ze wzruszeniem.

– Oczywiście, że się martwię. Mam tylko ciebie. I wychodzi na to, że cię polubiłem.

– Jesteś kochany. – Przytuliła się do niego z czułością.

Stary Jack zaniemówił. Był wyraźnie poruszony reakcją dziewczyny.

– Nie każdy przeżyłby upadek z klifu. Wiem, o czym mówię...

– No właśnie o to w zasadzie pytam: czy wstrzymasz czasu mógł mnie ochronić?

– A dlaczego spadał z klifu? Odpowiedz, ale szczerze.

– Już mówiłam. On chciał mi go zabrać.

– Czyli zdecydowałaś się na ten desperacki krok w ochronie tego magicznego zegarka, czy tak?

– Tak – odparła, po czym ją oświeciło. – Ochroniłam go, ryzykując życie.

– A on ochronił ciebie. Ratując twoje. Rozumiesz już, jak to działa?

– Dobro za dobro.

– Właśnie tak. Jak to i w życiu. – Stary Jack się uśmiechnął. – Już ci mówiłem. Uważaj na tego chłopaka. Wygląda na to, że cię śledzi. Powinnaś to zgłosić, moje dziecko. Na policji.

– Nie chcę. Jess by mi nie wybaczyła. To jej brat. Stary Jacku, on wie więcej, niż przypuszczałam.

– Czyli? Co wie?

– Wszystko.

– To niedobrze. Może nam zaszkodzić. – Stary Jack zmarszczył czoło.

– Boję się, że kiedy Henry wróci, on znowu będzie chciał go zabić. Nie wiem, co robić. Tak bardzo się boję.

– Tacy jak on to w rzeczywistości zwykli tchórze. Nikt wartościowy nie pozwoliłby takiej dziewczynie jak ty skoczyć do oceanu. No już, otrzyj łzy.

– Jestem wściekła i taka bezradna. – Wytarła nos. – Co mogę zrobić? Jak się bronić? On mnie wciąż prześladowuje.

Stary Jack na chwilę zamilkł.

– Jeśli on jest zdolny do skrzywdzenia ciebie lub Henry’ego, to musisz się bronić.

– Ale jak?

– Dawno temu, gdy byłem w twoim wieku, parałem się z nudów magią i bawiłem w wyszukiwanie tajemniczych ksiązek. Jedną z nich zapamiętałem do dziś. Jej autor twierdził, że zna zakłęcie czasu. Ponoć miało ono niezwykłą moc.

– Jaką?

– Wypowiedziane na głos rozpraszało czas rzeczywisty, a tego, na którego padało, przenosiło w inny wymiar czasu. Jednak to tylko książka i nigdy tego nie próbowałem.

– Chętnie bym ją poczytała. Gdyby to zakłęcie naprawdę działało, wysłałabym, wiesz kogo, w sam kosmos!

– Naprawdę? Cóż, to chyba świetny pomysł. – Uśmiechnął się. – Coś mi się zdaje, że chyba gdzieś ją tu mam. – Stary Jack wstał i podszedł do regału. Na półce leżało kilka niedbale położonych ksiązek. – To chyba ta. Tak. Poznają tę okładkę.

Amanda podeszła do niego z zainteresowaniem.

– Masz. Jeśli interesuje cię magia, to ją poczytaj. Ale pamiętaj. Niektóre słowa rzucone do innych ludzi mogą mieć większą moc, niż sama sądzisz.

Okładka książki oprawiona w przybrudzoną skórę ciekawiła ją niezmiernie. Amanda niczego tak nie pragnęła jak poczucia miłości, spokoju i bezpieczeństwa.

- Jest dość gruba.
- Z tego, co pamiętam, miała rozdziały.
- Och, a jak ty się czujesz? Nawet cię nie spytałam.
- Różnie, dziś boli mnie w boku.
- Jak się goi twoja rana? Mogę ją zobaczyć?
- Nie jesteś lekarzem, moje dziecko.
- Ale mam w sobie dobro – zaśmiała się – i moc.
- Bok się goi, ale starość nie ustępuje. Na to nie ma leku, moja droga.
- Ani na śmierć. – Pomyślała o swojej mamie i o tym, jak bardzo jej teraz potrzebuje. Jak bardzo przydałyby się jej rady i troska.
- To prawda. I tak powinno być, moja Amando. Świat, życie kierują się własnymi, naturalnymi prawami. Tak samo powinno być z czasem.
- Gdybym miała zegar, który cofa czas...
- Nie ma takiego zegara. A nawet gdyby taki istniał, to uwierz mi, nie dałby ci niczego za darmo. Przekonałaś się już na własnej skórze, czym grozi podróż w czasie. Wiem, do czego zmierzasz. Ale nie przywrócisz matce życia. Zmarli potrzebują spokoju. I nawet nie próbuj szukać niczego, co mogłoby dać ci złudną nadzieję. Miłość, przyjaźń, zdrowie, to najcenniejsze dobra. Pamiętaj o tym. Zawsze.
- To co mam zrobić? Myślę o tym, by wrócić do Londynu, po Henry’ego.
- To niemożliwe. Stąd nie ma przejścia w czasie. A ryzyko jest zbyt duże.
- Ale...
- Posłuchaj mnie uważnie. I tak nie możemy czuć się bezpieczni. Myślisz, że strażnicy czasu tak łatwo ustąpią? W końcu nas wytropią. Może już to robią.
- Nie przerażaj mnie, Stary Jacku. Na samo wspomnienie o nich...
- Spokojnie. Użyjesz wtedy wstrzymywacza czasu. Co w ciągu tej jednej, magicznej godziny postanowisz, będzie zależało tylko od ciebie. Tak

to działa. Pamiętaj, że dzięki niemu możesz kogoś uratować. A teraz odpoczywaj. To rozkaz!

Amanda znowu zaczęła wpatrywać się w klif otoczony chłodnymi wodami oceanu. Trzymała w dłoniach tajemniczą książkę, której treść niezmiernie ją intrygowała. Nie życzyła nikomu źle, ale teraz, gdy nadchodziły niepewne, niespokojne dni, zamierzała walczyć o swoje.

ROZDZIAŁ VIII

Londyn, początek XX wieku

Henry z wielką niecierpliwością czekał na przyjazd detektywa.

– Czyli mówi pan, że Amanda weszła do zegara przejścia? – Henry poczuł niewysłowioną ulgę.

– Tak. – Detektyw Thomas wciąż wyglądał na przejętego. – Tyle mogę panu odpowiedzieć. I kazała przekazać, że co dnia będzie czekała na pana na klifie. Tylko pozazdrościć takiej żony i oddania. Jest pan szczęściarzem, Henry Oldmannie.

– Wiem. Amanda jest wyjątkowa. Muszę do niej wrócić, ale...

– Oni już tu są. Wie pan o tym? Nie mogę w nieskończoność trzymać tu moich ludzi. Musi pan coś postanowić.

– Wiem. Narażam wszystkich dookoła. Siostrę, matkę, pana, a może nawet pracowników w manufakturze. Jeśli teraz przekroczę czas, będę wolny, ale strażnicy nadal będą szukać. Boję się, że pojmą Jane. I że...

– Świetnie pana rozumiem. I pewnie ma pan rację, ale któregoś dnia podjął pan pewną decyzję, która ma swoje konsekwencje. Wsiadł pan do maszyny czasu, a dalej pan już wie.

– Gdyby nie Amanda, wszystko byłoby prostsze. Ale bez niej nic nie miałyby smaku. Po co miałbym rano wstawać z łóżka? Dla fabryki, z którą mam same problemy? Z pracownikami, którzy upominają się o swoje prawa i mają rację?

Detektyw Thomas wpatrywał się w Henry'ego jak w obraz.

– Moje życie powoli dobiega końca. Przeżyłem już swoje, łącznie z wielką miłością, która dziś siedzi w bujanym fotelu i robi mi na szydełku

skarpety. Ale kocham ją i nie zamieniłbym mojego życia na inne. Ma pan wybór, Henry Oldmannie. Niełatwy, ale chyba oczywisty. Portrush jest ponoć piękne...

– Bardzo piękne. I już wiem, że to moje przeznaczenie. Ona tam na mnie czeka. Muszę wrócić do Amandy. To pewne.

– Życzę więc panu powodzenia.

– Proszę nie odchodzić zbyt daleko. Niech mi pan da jeszcze kilka dni.

– Kilka dni. Zgoda. Wie pan, gdzie mnie znajdzie.

– Mam plan, w którym musi mi pan pomóc. Czy mogę mieć ostatnią prośbę?

– Zrobię, co będę mógł. Pańska sprawa jest najosobliwsza ze wszystkich, które prowadziłem. Bóg mi świadkiem. – Detektyw Thomas usiadł przy łóżku Henry’ego i dyskutowali do późna.



Nazajutrz zjawiała się Jane.

– Tak się cieszę, że lepiej się czujesz. Mama przyjedzie do ciebie po południu. Czy to nie cudownie?

– Posłuchaj mnie, Jane. – Henry zaczął poważnie.

– Coś z Amandą? Co się dzieje?

– To musi pozostać między nami. Dla twojego dobra, siostrzyczko.

– Henry? Zaczynam się martwić.

– Tak. Chodzi o Amandę. Ja muszę z nią być. Chcę z nią być.

– Coś kręcisz. Czuję to.

– Zawsze byłeś mądra i bystra. Jane, ja muszę wrócić do Portrush. A teraz posłuchaj mnie uważnie. Wyjdiesz za męża, jak planujesz, i przejmiesz wszystko. Wszystko, łącznie z majątkiem i fabryką. Ja oficjalnie umrę, będzie trumna i pogrzeb. A nieoficjalnie wrócę do Portrush.

– Co ty mówisz? – Jane pobladła. – Co znowu wymyśliłeś?

- Posłuchaj. Amanda nie jest z naszych czasów. Już o tym wiesz.
- Wiem, ale...
- Zakochałem się w niej bez pamięci. Uwierz mi, że nie szukałem miłości, a już na pewno nie z innego wymiaru czasowego.
- Ona tam już na ciebie czeka, to chcesz mi powiedzieć? – Jane, choć to rozumiała, z trudem powstrzymywała płacz.
- Tak, właśnie to chcę powiedzieć.
- Naprawdę nie możesz poślubić Emily? Nie lubię jej, ale byłbyś tutaj, z nami.
- Nie kocham jej. Byłbym nieszczęśliwy, a ona jeszcze bardziej ze mną. Czy tego chcesz?
- Nie, oczywiście, że nie. Wybacz mi, plotę głupoty. – Jane otarła łzy. – Ale to takie trudne. niesprawiedliwe.
- To nie wszystko. Strażnicy czasu. Mogą was prześladować. Dlatego sprzedasz ten dom i wyjedziesz.
- Co? Nie sprzedam ojcowizny. Co powie mama?
- Mam się o ciebie ciągle martwić? Nie będę mógł tak żyć.
- Nie musisz. Poradzę sobie.
- Nie znasz ich, nie wiesz, do czego są zdolni. Nie mogę spokojnie wrócić do Amandy, wiedząc, że może czekają u tych drzwi.
- Życie składa się z decyzji i wyborów. Czasem niełatwych jak ten. Ty już wybrałeś, bracie. – Jane dotknęła jego policzka. – Zrobię dla ciebie wszystko. Wróć do niej i nie martw się o nas. W razie czego powiem im, że szukasz swojej miłości poza czasem. Czy to coś złego?
- Nie, Jane. Powiesz im, że umarłem, i pokażesz mój grób. Rozumiesz? Inaczej to się nigdy nie skończy.
- Tak, chyba tak.
- Mam wyjątkową siostrę. Lecz musisz też wiedzieć, że w razie zagrożenia, gdyby było bardzo źle, znajdziesz zegar przejścia u starego zegarmistrza przy Fleet Street 7. On wciąż tam jest.

- Nie, Henry. To nie dla mnie. Nie chcę nic więcej wiedzieć.
- Wiem, teraz się boisz. Ale chciałaś tego, jak ja. W głębi duszy. Prawda?
- Wszystko się zmieniło. Kocham cię, Henry. Ale to, co mówisz, to zbyt wiele. Próbuję to wszystko poukładać w logiczną całość.
- Tu nie ma logicznej całości. Ja podróżuję w czasie. Logikę zostawmy...
- Ale twój pogrzeb? Mama się załamie. Dlaczego w ogóle wynalazłeś tę przeklętą maszynę? Dlaczego nie możesz być normalnym bratem? – Jane nie wytrzymała. Widać było, że ma ochotę wybiec z pokoju.
- Jane! Poczekaj! – Henry przymknął oczy i westchnął. – Wiem, że namieszałem. Wybacz mi, że jestem taki niepokorny. Myślisz, że jest mi łatwo?
- Wybrałaś sobie takie życie. Tego już nie zmienisz.
- Siebie nie zmienię. – Spuścił głowę. – Nie wiem, jak to będzie. Bez ciebie. Ale musimy żyć dalej, najbardziej szczęśliwie, jak to możliwe.
- Najbardziej, jak to możliwe... – powtórzyła, spoglądając ze smutkiem w okno.



Nazajutrz Henry'ego odwiedziła Emily Taylor. I choć Jane ostatnio ostro ją odprawiła, ta pozostawała nieugięta.

- Witaj, Henry. Znacznie lepiej wyglądasz, mój drogi. A gdzie twoja żonka? Jakoś ostatnio jej nie spotkałam.
 - Co cię sprowadza, Emily? – Henry przywitał ją chłodnym tonem.
 - Troska o twoje zdrowie.
 - Dziękuję, już mi lepiej. Ślicznie wyglądasz, jak zawsze.
 - Dziękuję. To miłe.
- Strojna suknia w kolorze brzoskwini podkreślała jej urodę.
- Tak mnie wychowano. Na dżentelmena. Ale...

– Tak?

– Jestem ci winien przeprosiny. Tamtego wieczora na balu ponoć oczekiwałaś moich oświadczyn.

Emily się zmieszała.

– Było, minęło. Zawsze można to naprawić, czyż nie? – Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Przykro mi, ale to już niemożliwe. Jestem żonaty i dobrze o tym wiesz. Rozmawiałaś przecież z moją żoną. Wspominała mi o tym.

– Doprawdy, Henry. Jednak brak ci manier. Stawiasz mnie w kłopotliwej sytuacji, ale wybaczam ci. Nawet to, że tak niefortunnie się ożeniłeś.

– Niefortunnie? – Zgromił ją wzrokiem.

– Daj spokój. Widziałam jej nędzną suknię. Mogłeś przynajmniej ją odziać. Czy ona pochodzi ze slumsów?

Henry podniósł się z fotela, po czym zbliżył do Emily i chwycił ją mocno za rękę.

– Nigdy więcej nie obrażaj Amandy. Nie jest ze slumsów, jest Polką. A nawet gdyby była ze slumsów, to i tak nic nie zmieni tego, jak bardzo ją kocham. Ale wy, Taylorowie, całe życie wysługujecie się ludźmi i żerujecie na nich, powiększając swój majątek na wyzyskiwaniu innych.

– Puść, to boli.

Henry rozluźnił uścisk, lecz na jej nadgarstku pozostał ślad.

– To mnie tu obrażono i nie pozostawię tego tak sobie. Jestem Taylor i pożałujesz tego, że zdecydowałaś inaczej.

Czerwona ze złości aż po uszy chwyciła za swój jedwabny szal, po czym opuściła salon. Henry czuł, że ta wizyta przysporzy mu kolejnych kłopotów.

– Susanne!

Do salonu weszła pokojówka.

– Tak, proszę pana?

– Powiedz woźnicy, żeby uszykował powóz. Wybieram się na przejażdżkę.

- Oczywiście. A dokąd się pan wybiera, jeśli wolno spytać?
- Jadę odwiedzić starych przyjaciół.



Tajne laboratorium było jego ostoją. Henry przypomniał sobie moment, kiedy zniknął w wehikule czasu tamtego dnia, na Trafalgar Square. Sentyment do tego miejsca nigdy go nie opuści. Przecież sam je stworzył. I był tu z Amandą. Tylko ona jako jedyna kobieta poznała to sekretne miejsce. Nie chciał nigdzie chodzić ani nikogo odwiedzać. Wciąż był słaby. Poprosił woźnicę, by pozostawił przyjaciołom liściki z informacją, że ich tu dziś oczekuje. Jednak po godzinie żaden z nich się nie zjawił. W końcu gdy Henry miał odejść, w drzwiach laboratorium stanął Marcus.

– Henry, przyjacielu, ty naprawdę żyjesz? – Uścisnęli się jak za dawnych czasów.

– Tak, jak widzisz. Przyjdzie też John, zostawiłem mu liścik.

– John nie przyjdzie, Henry.

– Jak to? Dlaczego?

– John zmarł. Nic nie wiedziałeś?

– Co ty mówisz? Jak to zmarł? Co się stało?

– Kiedy zniknąłeś wtedy na Trafalgar Square, John pozazdrościł ci sukcesu. Zresztą zawsze z tobą trochę rywalizował, sam wiesz.

Henry milczał, przytłoczony tym, co słyszy.

– Zbudował swoją maszynę. Bez niczyjej pomocy. Bardzo podobną do twojej, niemal identyczną. Ale rozbił się. Coś poszło nie tak. To ustrojstwo wzniosło się do góry, a potem roztrzaskało się wraz z nim. Jane nic ci nie mówiła? Pewnie nie chciała cię martwić.

– Nie miałem pojęcia. Czy on...?

– Cierpiał? Zginął na miejscu. Henry, jak zdołałeś wrócić? Jak tam było? No, opowiadaj, stary. Codziennie się nad tym zastanawiałem. Czy ci się

udało. Czy przeżyłeś.

– Wiele się wydarzyło od tamtej chwili. Trafiłem do dwa tysiące dwudziestego roku, do Irlandii Północnej.

– Aż do dwa tysiące dwudziestego? No a podróż? Jak to jest?

– To jakbyś płynął w srebrzystej łunie światła. Wszystko wokół się kotłuje. Masz poczucie, jakbyś żył już tysiąc lat. Wciąga cię potężna siła, nie panujesz nad niczym. To zwyczajnie samo się dzieje. Ale potem rozbiłem się, na klifie.

– Ale udało ci się. Żyjesz!

– Jakimś cudem tak.

– A dwa tysiące dwudziesty? Jak tam jest? – Oczy Marcusa błyszcząły z podniecenia.

– Nie wyobrażasz sobie nawet. To inny świat. Piękny i dziki. Spokojny. Czujesz tam powiew wiatru i świeże powietrze. Nikt tam nie jeździ końmi. I jest tak zielono. Ogromny ocean zalewa strome klify. I ten szum fal.

– Nie poznaję cię, Henry. Jesteś jakiś inny.

– Bo poznałem smak innego życia. Inny wymiar. Nie wiedziałem, że można się tak czuć i tak żyć.

– A czym tam jeżdżą, skoro nie używają koni?

– Samochodami. Stały się dużo bardziej dostępne, niż są teraz. Marcus, mówię ci.

– A kobiety? Jak wyglądają? Są piękniejsze niż nasze?

– Milion razy piękniejsze...

– Gdybym cię nie znał, tobym pomyślał, że się zakochałeś. – Marcus spojrział na przyjaciela uważniej. – Skoro twoja machina się rozbiła, to jak wróciłeś?

– Naprawiłem ją. Mnie się udało. Ale teraz czuję się winny. Gdyby nie moje pomysły, John by żył.

– Nie masz racji. John był niespokojną duszą. Byliście tacy podobni. Ale on był niecierpliwy. Ostatniej śrubki nie dokręcił, a już chciał latać. Tak się

nie da, Henry, sam wiesz.

– Był taki młody.

– Jak i my. Młody i naiwny, myślał, że zmieni świat. A ty? Zmieniłeś świat, Henry? No powiedz.

– Ja się zmieniłem, Marcusie. Zmieniłem się. Wszystko się zmieniło.

– Słabo wyglądasz.

– Wracam już do sił. Ale witałem się ze śmiercią. – Uśmiechnął się do przyjaciela.

– Wariat, jak zawsze. – Marcus poklepał go po ramieniu. – Opowiesz mi coś jeszcze? Nie żałujesz tego szaleństwa? Obawiałem się, że już nie wrócisz albo rozbijesz się gdzieś, gdzie nikt cię nie znajdzie.

– Nie żałuję. Poza czasem wszystko jest możliwe. I zaraz niemożliwe. Bliskie i dalekie. Jesteś swój, ale obcy. W nie swoim świecie, wymiarze. Nigdzie nie pasujesz, choć chcesz być blisko. Zapłaciłem za tę podróż wysoką cenę, ale było warto. Perspektywa czasu pozwala inaczej spojrzeć na trwającą chwilę. Żyję tutaj, ale ciągle jestem też tam. Jakbym miał dwa życia.

– Gadasz jak filozof, po tym względem nie zmieniłeś się nic a nic. Cieszę się, że wróciłeś na dobre, Henry.

– Nie zostanę tutaj, ja wracam tam. Do Portrush.

– Co?! Co ty mówisz? Oszalałeś? Chcesz powtórzyć los Johna? Nie zgadzam się! Twoje miejsce jest wśród przyjaciół w cholernym, śmierdzącym Londynie!

– Nic nie rozumiesz. Zakochałem się. Ona tam na mnie czeka.

– Nie mówisz poważnie. Zakochaj się tutaj, wielkie mi co! Nie stracę kolejnego przyjaciela. – Marcus podszedł do niego i pochwycił za poły marynarki. – Nie pozwalam ci, słyszysz?

– Ma na imię Amanda i dla niej zrobię wszystko.

– Zwariowałeś. Dla jakiejś panny? Nie będę patrzył na twoje kolejne szaleństwo.

– Marcus. Poczekaj, aż sam się zakochasz. Jane wie. Ja jestem z Amanda szczęśliwy. Nie sądziłem, że potrafię tak kochać. Chcę być tylko z nią. Znasz mnie i wiesz, że jeśli tak mówię, to jest to szczere i przemyślane.

Marcus głęboko oddychał. Przetrawiał dawkę wieści od szaleńca, którego kochał jak brata.

– A niech to. Jeszcze powiedz, że mam ci pomóc zbudować kolejne ustrojstwo? Tak?

– Tak. Bez ciebie nie dam rady. I nie mam wiele czasu. Ktoś mnie śledzi.

– Kto?

– Nie chcę wmieszać cię w coś, co może być niebezpieczne.

– Wmieszałem się w to wszystko z chwilą, gdy cię poznałem, Henry Oldmannie. Od ilu lat się przyjaźnimy? Jak możesz wątpić?

– Miałem nadzieję, że będę mógł na ciebie liczyć.

– To jaka jest ta twoja Amanda? Oszalałeś, bracie, kompletnie.

– Oszalałem, to fakt. Jej jasne włosy pachną dzikimi trawami porastającymi północny klif. Jej skóra jest jasna, a oczy niebieskie jak nieskalane chmurą niebo.

– Jeszcze poeta się z ciebie zrobił. Wiesz, że wszystko dla niej ryzykujesz?

– Wiem i jestem na to gotów. Ona też dla mnie ryzykowała i czeka tam na mnie każdego dnia. Muszę tam wrócić.

– Świat się kończy. Henry Oldmann się zakochał! – Marcus krzyknął, po czym zaśmiał się w głos.

– Poczekaj, będziesz następny. – Henry wskazał na niego palcem.

– Ja? Nigdy.

– Też tak mówiłem. To co, zaczynamy? – Henry z podniecenia zatarł rękę.

– Ma być taka jak poprzednia?

– Dokładnie taka sama, a nawet lepsza.

ROZDZIAŁ IX

Portrush, Irlandia, współcześnie

Pożółkłe kartki książki wprowadzały Amandę w świat magii i przekraczania czasu. Zakłęcie czasu. Brzmiało to fantastycznie, wręcz nierealnie. Jednak od kiedy poznała Henry'ego, jej życie stało się odrealnione. I wiedziała, że już nigdy nic nie będzie jak wcześniej. Ta miłość miała swoją cenę. I swój niepowtarzalny smak, i swoją siłę.

– Jeśli będę musiała, zrobię to. Wypowiem je, a ty zginiesz w otchłani czasu i wiesz co? Nie będzie mi cię żal. Nie pozwolę ci już skrzywdzić siebie ani Henry'ego, Igorze. Będę bezlitosna. Wiesz dlaczego? Bo kocham i za żadną cenę nie pozwolę sobie odebrać tego skarbu. – Amanda wypowiedziała waleczne słowa, przewracając kolejne kartki. Książka pachniała wilgocią, ale to tylko dodawało jej uroku i niezwykłości.

„Gdzie to zakłęcie?”. Niecierpliwie szczytywała kolejne zdania.

– Rozdziały! – Nagle przypomniała sobie, że Stary Jack o nich wspominał. – Może dzięki nim szybciej je znajdę.

Czuła, że jeśli pozna zakłęcie, będzie silniejsza. Nie będzie się tak bała, gdy nadejdzie najgorsze. A miała przeczucie, że nadejdzie.

W końcu dostrzegła jeden rozdział inny od wszystkich. Bez tytułu, jakby wycięty z całości. Teorie, badania, niuanse i zakłęcia. Amanda drgnęła z podniecenia. To musi być to. Przesuwała palec po kolejnych akapitach. Było na końcu. Samotne. Niezwykłe. I z ostrzeżeniem:

Kto zaklina czas, musi robić to z czystego serca. Pamiętaj, zakłęcie zadziała tylko wtedy, gdy nie masz wyjścia, a na szali stawiasz życie swoje lub innych. Pamiętaj, że dobro i zło zataczają swój krąg. Jeśli mimo to gotowa jesteś je wykorzystać, wypowiedz te słowa:

Zaklinam czas, wstrzymując północ i południe.
Niech na chwilę wszystko się zatrzyma.
Niech nie drgnie nawet liść.
Dobry losie, podaruj mi swe moce, bym mogła wbrew czasowi iść.
Niech zaraz zniknie zło w przestrzeni mej,
wyślij je, gdzie chcesz...
Niech zniknie wreszcie z oczu mych ten, co burzy mój słodki sen.

Amanda czuła, jak głos jej drży. Czy to może mieć sens? Miała przy sobie wstrzymywacz czasu i to przedziwne zaklęcie, które mogło być nieprawdziwe. Chociaż, jeśli faktycznie miało swą moc, może warto było je zapamiętać? Zamknęła książkę i odłożyła na półkę. Jednak ciemne myśli jej nie opuszczały. Otworzyła ją więc ponownie i nauczyła się zaklęcia na pamięć.



Klif pociemniał wraz z nadejściem nocy. Jasny księżyc i gwiazdy rozświetlały mrok. Amanda wypatrywała znaku. Co noc. Teraz też. Ale i tej nocy nie wydarzyło się nic szczególnego. Wciąż żadnego znaku od Henry'ego. A jeśli minie rok, a potem kolejny? I jeszcze kolejny. Czy miłość taka jak ta przetrwa bieg czasu?

Amanda zatopiła się w myślach. Czuła, że momentami tonie lub spada w przepaść. Lecz czy ktoś ją złapie? Czy nie żyje w ułudzie? Henry, gdzie jesteś? Wtedy nad Portrush zagrzmiało. Nad klifem można było ujrzeć paletę szarych, gęstych, mrocznych chmur. Towarzyszące im pioruny pojawiały się na niebie co kilka minut. Wyglądały niesamowicie. Jak pojawiająca się i znikająca ogromna srebrna pajęczyna.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

– Amando? Śpisz?

– Stary Jack? – Podeszła do drzwi, by je otworzyć.

– Też to widziałaś? Tę łunę?

– Łunę? Nie, nic nie widziałam. A ty?

– Nie słyszysz, jak grzmi? Przyszła okropna burza nad Portrush.

– Zamyśliłam się. – Amanda spojrzała w okno. – Kiedy zaczęło tak padać?

– Chwilę temu. Oni tu są, Amando.

– Kto? O kim mówisz?

– Strażnicy czasu. Kobieta i mężczyzna. Widziałem, jak wychodzili z łuny światła. Tam, na klifie.

– Co? Skąd wiesz? Byłeś tam?

– Mam lunetę, widzi za mnie. I to nie żarty. Musisz natychmiast uciekać.

– Nie, nigdzie się nie ruszę. Jeśli oni się tu przedostali, pojawi się i Henry. Obiecałam, że będę na niego czekała.

– Nadal nic nie rozumiesz? Namierzyli cię. A Henry jest hektoprzestrzenie czasu stąd. Kocham cię jak córkę i nie pozwolę, byś znowu wpadła w ich ręce.

– On się zjawi. Zobaczysz. Muszę pobiec na klif.

– Jego tam nie ma, Amando. Jeśli wpadniesz w ich ręce, nie będę mógł ci pomóc.

– Wstrzymywacz czasu... – Drżącymi dłońmi wyjęła go z kieszeni.

– Strzeż go pilnie, bo może ci się przydać szybciej, niż sądziłaś. Nie wychodź stąd pod żadnym pozorem. Czekał tu. Obiecuj mi to.

– Obiecuję – odparła z przerażeniem w oczach. – Obiecuję...

Wtedy tuż obok antykwariatu piorun uderzył w drzewo. Amanda krzyknęła z przerażenia. Mieszkańcy wybiegli z domów w koszulach nocnych. Do Portrush wkroczył mrok.

ROZDZIAŁ X

Londyn, początek XX wieku

Henry zaszył się wraz z Marcusem w ich laboratorium. Teraz było im znacznie łatwiej. Prototyp maszyny sprawdził się w jego rękach idealnie.

– Co poszło nie tak z maszyną Johna? Dlaczego się rozbiła? Przecież znał wszystkie szczegóły...

– Nie wiem. Myślę o tym każdego dnia, ale nie wiem, co naprawdę poszło nie tak. Wydawało się, że wehikuł działa i jest kompletny. John musiał coś przeoczyć. Do wszystkiego było mu spieszo.

– Tak, taki właśnie był. A tutaj nie można sobie pozwolić na najmniejszą pomyłkę. – Henry przypomniał sobie, jak się roztrzaskał na klifie. Przypomniał sobie Portrush. Pomyślał o Amandzie i tym chłopaku, który do nich strzelał. Przebiegły go nieprzyjemne ciarki. A jeśli on wciąż ją prześladowuje? Jeśli nadal jest nachalny? Henry musiał przyspieszyć prace.



Wieczorem Jane oznajmiła, że jutro bierze ślub.

– Wspaniale. – Henry ucieszył się, lecz nie potrafił się pogodzić z tym, że jego siostra nie będzie miała hucznego wesela, na jakie zasługuje.

– Pamiętasz naszą rozmowę, Henry? Długo o tym wszystkim myślałam. Nie mogę wciąż liczyć tylko na ciebie. I boję się. Mama różnie się czuje, ojca już z nami nie ma. A Chris mnie kocha. Jest dobry, współczujący i solidny. Wiem, że będzie dobrym mężem i ojcem dla naszych dzieci.

– Och, Jane. Jesteś pewna swojej decyzji? Wiem, że też ci to sugerowałem.

– Tak. Jestem pewna. – Spojrzała na niego tak dorośle.

– Wiesz, czasem naprawdę mnie zaskakujesz.

– Przestań się wreszcie o mnie martwić. I lepiej znajdź swoją Amandę. Będę spokojniejsza, wiedząc, że jesteście razem.

– A twoja suknia ślubna?

– Wszystko jest gotowe. Chcesz zobaczyć?

Kiedy Jane pokazała mu sukienkę, Henry zaniemówił.

– Będiesz w niej pięknie wyglądała.

I faktycznie tak było. Jane w dniu ślubu miała na głowie biały, koronkowy czepek z wpiętymi żywymi kwiatami i skromny tren z białego tiulu. Suknia idealnie skrojona z kremowego jedwabiu podkreślała jej talię osy i zgrabny biust. Wykończona bufiastymi rękawami i koronką u szyi sprawiała, że panna młoda wyglądała wspaniale. Pan młody podarował jej bukiet z białych róż. Skromny ślub odbył się w kościele Świętej Małgorzaty, górującym nad Tamizą strzelistymi kształtami. Piękny witraż pośrodku zdawał się chronić młodą parę.

– Czyli teraz nazywasz się Donovan? – Po ceremonii Henry chwycił siostrę pod rękę.

Margaret Oldmann zdawała się niepokieszona faktem, iż jej córka nie ma wystawnego ślubu na salonach. W czasie ceremonii i później chodziła ze skwaszoną miną, wachlując się i narzekając. Uznawała się za elitę Londynu i z tego powodu nie mogła tego wszystkiego przeboleć.

– Tak. – Jane promieniała. – I przeprowadzamy się z Chrisem do jego domu. Na Kynance Mews w Kensington.

– Ponoć to najpiękniejsza ulica. Myślę, że to rozsądna decyzja. Dobrze to wymyśliłaś, tym bardziej że matka chce mieszkać sama.

– Jeszcze z nią nie rozmawiałam, ale sprzedam nasz dom. Tak jak mówiłaś.

– A fabryka?

– Podobnie. Chcę ci pomóc, Henry. I ciebie tu już nie będzie. A ja nie nadaję się na zarządcę. Chris ma swoje rodzinne sprawy, które już przejął. A z fabryką są same problemy. Myślisz, że nie wiem? Majstrowie, czeladnicy, uczniowie, szwaczki, pracownicy, maszyny parowe i prądnicze, wrzeciona. A sufrażystki? Te kobiety walczą o swoje prawa, ja...

– Moja kochana Jane, dziś twój ślub. Twój wielki dzień. Odpuśćmy to. Nie sądziłem, że te sprawy cię interesują. I nie wiem, co na to powie mama. Pewnie nie będzie chciała wszystkiego sprzedać. Jest taka konserwatywna. Ale musimy zrealizować nasz plan.

– Nie będzie miała wyjścia, Henry. Przekonam ją. Taty już nie ma. Przyszedł czas na zmiany, sam wiesz. Ty je przecież zapoczątkowałeś. Musisz wrócić do Amandy. Ona na ciebie czeka.

Jane wraz z Chrisem jeszcze tego samego dnia wyjechali w podróż poślubną do domku wiejskiego pod Londynem. Margaret Oldmann, o dziwo, dobrze przyjęła propozycję dzieci, by wszystko sprzedać. Ostatecznie zdecydowała, że zamieszka z Jane w jej nowym domu, ze względu na cudowną okolicę i – co najważniejsze – dobre usytuowanie.



Wszystko zdawało się dobrze układać. Aż do następnej nocy, gdy nagle wybuchł pożar w fabryce włókien Oldmannów. Było po północy, kiedy Susanne wpadła do sypialni Henry'ego jak oszalała.

– Manufaktura! Wszystko się pali, paniczku. To straszne!

– Co ty mówisz?! To niemożliwe. – Henry był wstrząśnięty.

– Pali się fabryka. Proszę się pospieszyć!

Henry wyskoczył z łóżka, zarzucił na siebie, co miał pod ręką. Zbiegł schodami, po czym wypadł z domu. Wsiadł do powozu, by popędzić do fabryki. Już z daleka widać było wysokie płomienie i dym. Manufaktura

płonęła. Kiedy Henry dotarł na miejsce, zaczął pomagać przy gaszeniu pożaru, choć była to walka z wiatrakami.

– Panie Oldmann! To nic nie da!

Henry patrzył bezradnie, jak dorobek życia, jego ojcowizna, ginie na jego oczach. Płonęło wszystko. Sprzęt, materiały, nici... Na szczęście ludzie nie pracowali o tej porze. Wtedy ktoś do niego podszedł.

– Henry Oldmann? – Mężczyzna wyglądał niechlujnie i wyzywająco.

– Tak – odparł, ocierając spocone czoło.

– Powiem ci jedno. Kto igra z czasem i nie ponosi za to winy, ten płaci najwyższą karę. Popatrz na swój dom. Za chwilę dym, który zaczyna go dławić, będzie stąd widoczny.

– Co? – Henry odskoczył na bok i spojrzał za siebie. Na ciemnym niebie od południa można było dostrzec kłęby dymu i pojedyncze języki ognia. Płonął rodzinny dom Henry’ego przy Beaufort Gardens 30. Dzwony rozdzwoniły się, alarmując miasto o zagrożeniu.

– Mój dom... Och, nie!

– A nie mówiłem?

– Co to ma znaczyć? Kim jesteś?!

– Sądzisz, że ucieczka tej dziewczyny poszła w niepamięć? My, strażnicy czasu, bierzemy wet za wet. Nauczka spotka i ciebie, i ją. I to już niebawem. – Mężczyzna zaśmiał się szyderczo. – Tymczasem proszę, dom elity londyńskiej płonie. Kto wie, może upiekę sobie kiełbaskę na ogniu?

– Czego chcesz?! Zostawcie ją w spokoju! Weźcie mnie, a ją zostawcie! – Henry chwycił go za koszulę.

– Za późno, Henry Oldmannie. Moi ludzie są już w Portrush. Nadeszli wraz z burzą... I wraz z burzą odejdą.

– A niech cię! – Henry rzucił się na niego, lecz ten nagle rozmył się przed nim jak we mgle.

– Co u licha? – Henry rozejrzał się wokoło. Nadeszło to, czego najbardziej się obawiał.

Dźwięk uderzających dzwonów przyprawiał o ciarki. Henry dziękował Bogu, że Jane wyjechała w podróż, a matka mieszka na razie u siebie. Ich dom rodzinny płonął. Płonęło wszystko, co miało materialne i sentymentalne znaczenie. Kiedy dotarł na Beaufort Gardens, ludzie krzyczeli z przerażenia i biegali z wiadrami z wodą. Straż pożarna jeszcze nie przybyła. Większość strażaków pomagała przy pożarze w manufakturze. Nic nie było w stanie zatrzymać płonącego dramatu.

– Susanne! – wołał na służbę, mając nadzieję, że nikt nie zginął tej nocy w płomieniach.

– Panie Henry... – Susanne stała pod drzewem i zasłaniała twarz chustą. – Widziałam, jak ktoś kręcił się pod domem. Ale bałam się wyjść przed budynek.

– Wiem, Susanne, dziękuję ci. Nic ci nie jest?

– Nie, ale co teraz ze mną będzie, proszę pana? Nie mam już pracy. Och! – Dziewczyna zaczęła płakać.

– Nie mamy już nic. To prawda. Pojedziesz do mojej siostry. Jane cię przyjmie.

– Och, dziękuję panu. – Zaczęła go całować po rękach, ale Henry nie zważał na to. Nie czuł nic poza palącym go od środka żalem i bezradnością. Złość i chęć zemsty. To przemawiało do niego najbardziej, krzyczało w nim. Do rana wszystko się dopali, a potem zostanie czarne, śmierdzące gruzowisko. Londyńskie dzwony nie ustawały w wygrywaniu swego alarmu.

– Paniczu Henry? – Kiedy woźnica do niego podszedł, ten wpatrywał się w otchłań ognia.

– Jedź do mojej siostry, do Jane. Do wiejskiego domku. Powiedz jej o wszystkim i że ma zrobić tak, jaka była umowa. I że muszę się pożegnać na zawsze szybciej, niż sądziłem.

– Jak to pożegnać? Co panicz mówi?

- O nic nie pytaj. Ona będzie wiedziała. Zginąłem, gasząc nasz dom. To masz jej powtórzyć. I zachować to dla siebie.
- Ja dla panicza zrobię wszystko.
- Wiem i dziękuję ci. Zostań u niej. Zabierz ze sobą Susanne.
- A panicz?
- Ja ruszam w drogę. I Bóg mi świadkiem, że nie mam czasu.



W laboratorium panowała ciemność. Kiedy Henry dotarł na miejsce, Marcus wszedł tuż za nim.

- Słyszałem o pożarze. To okropne.
- Nie ma o czym mówić, nic nie zostało. Straciliśmy wszystko. To miało być dla Jane, na jej przyszłość. Miała wszystko sprzedać. – Ogorzała twarz Henry’ego mówiła sama za siebie.
- Jak to stało? Coś już wiadomo?
- Marcusie, to było podpalenie. Ale nie mówmy już o tym. I tak wystarczająco mnie to boli. Posłuchaj. Muszę uruchomić maszynę. Amanda mnie potrzebuje. I nie mam już czasu, rozumiesz?
- Oszalałeś? Nie jest w pełni gotowa!
- To nic, zaryzykuję. – Henry wsiadł do środka i zaczął zapinać pasy.
- Słyszałeś, co mówię? Chcesz zginąć jak John? Henry!
- Ja już zginąłem. Popatrz, co się stało. I to wszystko przeze mnie!
- Co ty mówisz?
- Niczego już nie mam. A bez Amandy ginę, rozumiesz? Zresztą nie wiesz wszystkiego, przyjacielu, i niech tak dla twego dobra pozostanie. Nie można bezkarnie wędrować w czasie. Wszystko ma swoją cenę.
- Nawet miłość?

– Zwłaszcza miłość. Sam się przekonasz, ale życzę ci wybranki z twojego wymiaru czasowego.

– Powiedz, kiedy wrócisz.

– Ja nie wrócę, Marcusie. I nie zdziw się, gdy wywieszą nekrolog z moim nazwiskiem. To dla moich bliskich, by byli bezpieczni.

– W coś ty się wplątał?

– Któregoś dnia odpaliłem pewien wehikuł, coś ci to mówi? – Henry spojrział na przyjaciela ze wzruszeniem.

– Tego już nie zmienimy. Fakt. A w miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone.

– Właśnie tak. Jeśli cię o mnie pytają... umarłem. Zginąłem w płomieniach. Chodź na mój grób. Proszę. To musi być wiarygodne.

– Już pytali...

– Kto, kiedy?

– Henry, wybacz, nie miałem wyjścia. – Marcus pochylił głowę. Wtedy do laboratorium weszło dwóch mężczyzn. Cuchnęli tak samo jak tamci z londyńskich podziemi.

Henry w pierwszej chwili spanikował. Nie winił Marcusa, domyślił się, że go zaszantażowali. Siedząc w maszynie, jedną ręką upewnił się, że w kieszeni marynarki ma pistolet, a drugą przekręcił dźwignię, modląc się w duchu, by wehikuł zadziałał. Ten jednak nie reagował.

– Wychodź albo cię wyciągniemy siłą. – Strażnicy niczym chytre lisy rozglądali się po laboratorium. – Ładnie się tu urządziłeś. Swoją drogą, niezły pożar dziś wznieciliśmy w Londynie. Co nie?

Prowokowali go, by wreszcie wyszedł z wehikułu. Jedynie myśl o jego Amandzie pozwalała znieść mu te wszystkie upokorzenia i zło, którego doświadczyli jego bliscy i on.

– On się nas chyba boi – drwili dalej, gdy maszyna nagle zaskoczyła.

– Co jest? – zawołał jeden z nich i zaczął biec w stronę Henry'ego. – Nigdy więcej nie przekroczysz granicy czasu, już my się o to postaramy.

Wtedy Marcus, który dotąd stał przerażony w kącie, chwycił za metalowy pręt i podchodząc do drugiego strażnika od tyłu, zadał mu cios w głowę. Mężczyzna padł z jękiem na kamienną podłogę. Jego towarzysz zatrzymał się w pół drogi do wehikułu, wyciągnął broń i strzelił do Marcusa.

– Nie! Marcus! – Henry nie wytrzymał. Wskoczył z maszyny, by pomóc przyjacielowi. Ten się mocno zachwiał i przewrócił na podłogę. Wtedy Henry wyciągnął pistolet i strzelił do strażnika, który ranił Marcusa. W oddali słychać było, że zbliżają się kolejni.

– Musisz lecieć ze mną, oni nadchodzą. Zginiesz, jeśli cię stąd nie zabiorę.

– Nie chcę. To nie dla mnie, przyjacielu. Nie trać czasu.

– Nie zostawię jedyne go przyjaciela na oczywistą śmierć. Wstawaj, pomóż mi. Machina się uruchamia. Wrócisz do Londynu, obiecuję ci to, ale teraz musimy stąd uciekać.

Marcus z krwawiącym bokiem, opierając się o ramię Henry'ego, zdołał dotrzeć do wehikułu. Tymczasem kolejni strażnicy wdarli się do środka. Machina odmierzała ułamki sekund. Ale kiedy się uniosła, jeden z mężczyzn wskoczył na nią, łapiąc za uchwyt. Na szczęście nagły, oślepiający błysk powstrzymał pozostałych strażników. Wędrówka w czasie znowu się rozpoczęła...

ROZDZIAŁ XI

Irlandia, Portrush, współcześnie

Uderzeniu pioruna towarzyszył ogromny grzmot. Mieszkańcy okolicznych domów w strachu zerkali przez okna. Burza nie ustępowała. Amanda nie wiedziała, co robić. Stary Jack wyszedł przed antykwariat sprawdzić, czy budynek nie ucierpiał. Takiej burzy i piorunów nie pamiętał w Portrush, jak długo żył. Zerknął w górę. W oknie siedziała przestraszona Amanda. Straż podjechała po chwili, by ugasić płonące drzewo.

Wszystko, co się działo tej nocy, było przedziwne i niepokojące. Amanda nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Zbiegła schodami prosto do pokoju Starego Jacka. Luneta. Mówił, że widział przez nią dwoje ludzi na klifie. Strażników. Musiała to sprawdzić. Na biurku leżała jeszcze ciepła fajka. Lubił ją sobie popalać. Luneta stała pod oknem. Ustawiona centralnie na klif. Była piękna, zabytkowa. Dziewczyna podeszła do niej i spojrzała przez wizjer. Wtem dostrzegła ponowną łunę światła. Wytężyła wzrok. Luneta wyraźnie pokazywała, że coś dziwnego dzieje się na klifie. Jakby coś spadło z nieba. Spojrzała ponownie. I poczuła w sercu ukłucie.

– Henry...

Bez zastanowienia zarzuciła na głowę kaptur i wybiegła przed antykwariat. Padało, lecz nie miało to znaczenia. Coś jej mówiło, że to on. Że to jego widziała przez lunetę. Bez zastanowienia wybiegła z domu i udała się w stronę klifu.

– Dokąd biegniesz? Wracaj, tu zaraz! Amando! – Wołanie Starego Jacka jej nie zatrzymało. Domyślał się, dokąd biegła. I tego bał się najbardziej.

Wtedy do Books & Cafe przyjechała Jessica. Domańscy już wiedzieli, że uderzył tu piorun.

– Ja do Amandy! – krzyknęła, wychodząc z samochodu.

– Pobiegła na klif. Zupełnie oszalała. Nie mogłem jej zatrzymać. – Stary Jack bardzo się niepokoił.

– Ale po co tam pobiegła? W taką burzę?

Jessica rozejrzała się dookoła. Na ulicy panowały chaos i panika. W dodatku niebo przypominało energetycznie naładowaną bombę. Dziewczyna kątem oka dostrzegła biegnącą w dali Amandę. Dobrze знаła tę bluzę. Bała się, że przyjaciółka znowu pcha się w kłopoty. Pobiegła więc za nią. Krzyknęła. Amanda spojrzała za siebie. Kiedy dostrzegła Jessicę, kazała jej zawrócić:

– Wracaj do domu, Jess! To zbyt niebezpieczne!

– Co ty robisz? Wracaj!

– Nie mogę!

– W co się znowu wplątałaś? Dlaczego nie mogę ci pomóc?

– Błagam, Jess, posłuchaj mnie! I wracaj do domu!

– Nie rób głupstw!

– Muszę tam pobiec, proszę! Zaufaj mi!

Jessica w końcu przystanęła. Moknąc w deszczu, patrzyła, jak jej przyjaciółka wbiega w nocy na klif w samym środku burzy.

– Co ty wyprawiasz, Amando? Na litość boską, chcesz się zabić?

Nagle pojawił się samochód Igora.

– Co tu robisz w największą burzę i to na środku drogi? Co ty wyprawiasz, Jess?

– A ty co? Śledziłeś mnie?

– Widziałem, jak wyjeżdżasz z domu w nocy. Jestem w końcu twoim bratem.

– Nie rozumiem jej... – Jessica rozłożyła ręce.

– Kogo, co się dzieje?

– Amanda chyba oszalała. Właśnie wbiega na klif, a tam jest środek burzy. Igor, ona się zabije!

– Wracaj do domu. Zajmę się tym – odparł, z niepokojem zerkając na bure niebo nad klifem. Bez względu na to, co nim kierowało, stanowczo nie chciał zostawić Amandy w spokoju.



Rozległy ocean zdawał się ryczeć. Porywisty wiatr nie ustawał. Ale najgorsze było niebo. Tylu wyładowań atmosferycznych naraz nikt tu jeszcze nie widział.

– Dam radę, dam radę... – Amanda szeptała, umierając z przerażenia.

Miała wrażenie, że te wszystkie grzmoty i błyskawice szaleją właśnie nad jej głową. W kieszeni spodni miała jedynie schowany wstrzymywacz czasu. Mały zegarek, który mógł tak wiele. Z nieba lał się deszcz, więc była przemoczona. Jednak myśl o tym, że być może na klifie jest jej ukochany powodowała, że to wszystko wokół nie miało najmniejszego znaczenia. Chciała znowu usłyszeć jego głos i poczuć smak jego ust. Tak bardzo za nim tęskniła. Droga wydawała się dłużyć w nieskończoność, aż w końcu Amanda ujrzała przed sobą łunę światła. I usłyszała krzyki.

– Henry! – zawołała. Zdawało jej się, że go słyszy, więc przyspieszyła.

Światło było coraz bliżej. W końcu przez ścianę deszczu ujrzała go. Jakiś mężczyzna walczył z drugim, trzeci leżał na ziemi.

– Henry! To ty?

Mężczyzna odwrócił się, ale było ciemno. Ten, z którym walczył, nagle rozproszył się jak we mgle. Znowu zagrzmiało.

– Amanda? – Mężczyzna postąpił dwa kroki przed siebie.

– Henry... – Wreszcie ujrzała jego twarz i była już pewna. Podbiegła do niego, rzucając się mu w ramiona. – Wiedziałam, że to ty. Wiedziałam...

– Moja Amanda. Kochana moja. – Przyciągnął ją do siebie, po czym pocałował tak mocno, że aż zaboląło.

– Jesteś cały? Wróciłeś! Czekałam na ciebie każdego dnia! Myślałam, że oszaleję.

– Wiesz, co musiałem zrobić, by tu wrócić? Tyle się wydarzyło. Ale udało się! – Pocałował ją i objął jej twarz dłońmi, jakby nie chciał jej już nigdy z nich wypuścić.

– Jesteś cały, tak się bałam.

– Tak, ale Marcus. Nie wiem, co z nim. Jest ranny.

– Marcus? Kto to?

– Mój przyjaciel. Kiedy wehikuł wylądował, Marcus z niego wypadł. Marcus! – W szalejącej burzy głos Henry’ego stawał się mało słyszalny.

– Poszukamy go razem. Powiedz mi, z kimś walczyłeś. Widziałam, jakbyś się z kimś miotał.

– To strażnik czasu, zdołał przedostać się z nami.

– I co teraz zrobimy?

– Czekałaś na mnie. To najważniejsze.

– Mówiłam, że będę czekała. Wiesz, jak się bałam, że już nie wrócisz? Że już nigdy cię nie zobaczę?

– Wiem. Też się bałam. Ale jestem. – Przybliżył swe usta do jej warg.

– Proszę, proszę, jak namiętnie. – Ktoś nagle szyderczo zachichotał, wychodząc zza wysokich traw.

– To strażnicy. – Amanda zdążyła zaledwie szepnąć, sztywniejąc ze strachu. W ułamku sekundy powróciło wspomnienie z podziemi. Obłeśne twarze, cuchnące oddechy, strach i przerażenie. Odruchowo wymacała w kieszeni zegarek. Był na miejscu. To jej nadzieja, a zarazem ostatnia deska ratunku. Wystarczy go użyć. Ale jeszcze nie teraz. Za chwilę.

– Spokojnie – szepnął Henry, wycofując się. Mocno trzymał drżącą dłoń Amandy.

– Nic wam z tego nie przyjdzie. W imieniu Straży Czasu zostajecie pojmani. Traficie do podziemi Miasta Czasu i tam osądzeni. Otchłań krzycząca lękiem i nicością już na was czeka – usłyszeli wyrok

wypowiedziany przez jednego ze strażników. Kobieta z jasnorudymi włosami świdrowała ją wzrokiem.

„Mężczyzna i kobieta”, myślała szybko Amanda. „Stary Jack miał rację”.

Strażnicy kierowali się w ich stronę. Wtedy Amanda wyciągnęła z kieszeni wstrzymywacz czasu i przekręciła jego tarczę w lewo. Nagle wszystko wokół nich zaczęło wirować, by po kilku sekundach się zatrzymać. Strażnicy czasu także trwali bez ruchu, jakby orbitowali nad klifem.

– Udało się! Mamy godzinę. Henry, słyszysz mnie?

– Co to jest? Co zrobiłaś?

– To wstrzymywacz czasu.

– Czy oni...?

– Tak. Są zawieszeni w czasie. Nie widzą nas ani nie słyszą. Nie mogą się też ruszyć. Tyle że nie wiem, co dalej. Dokąd pójdziemy? Znajdą nas w Portrush.

– Jesteś niesamowita. Skąd go masz?

– Od Starego Jacka. Henry, co teraz?

– Mówisz, że mamy godzinę?

– Tak. Nie zdążymy im uciec. A czas biegnie.

Henry spojrzał jej głęboko w oczy. Jednak mogli tylko uciec.

– Chwila! – krzyknęła nagle. – Zakłęcie czasu! Cofnij się, Henry.

– Jakie zakłęcie?

– Jeśli ono działa, to pozbedziemy się ich raz na zawsze.

Amanda stanęła na wprost strażników. A z jej ust zaczęły uwalniać się słowa zaklęcia, które zapamiętała z książki o magii. Wypowiedziała je bez wahania:

Zaklinam czas, wstrzymując północ i południe.

Niech na chwilę wszystko się zatrzyma.

Niech nie drgnie nawet liść.

Dobry losie, podaruj mi swe moce, bym mogła wbrew czasowi iść.

Niech zaraz zniknie zło w przestrzeni mej,

wyślij je, gdzie chcesz...
Niech zniknie wreszcie z oczu mych ten, co burzy mój słodki sen.

Po tych słowach nad klifem zbudziły się północne wiatry wiejące z taką siłą, że Amanda i Henry z trudem zdołali ustać. Wichura miotła nimi, wyjąc przeraźliwie. Wiatry pochwyciły strażników, unosząc ich z siłą tornada i zabierając w ciemną otchłań. Potem wszystko ustało. Amanda i Henry opadli z sił. Leżeli na trawie, ciężko oddychając. A kiedy spojrzeli na siebie, zaczęli się głośno śmiać.

– Chyba się udało, jesteśmy wolni!

– Wolni do czasu, aż nie pojawią się następni. Ale to może się nigdy nie zdarzyć. Czyli teraz...

– Tak? – Amanda leżała na klifie wśród mokrych traw.

– Teraz – Henry przybliżył się do niej – możemy się wreszcie pobrać.

– Czy to mają być oświadczyzny? Leżymy na mokrej trawie, przemoczeni, a ty...

– Oświadczam ci się. Czy zawsze musisz wszystko analizować i tyle mówić?

– Już tak mam. Ale czy dasz radę ze mną żyć, Henry Oldmannie? – Jej oczy śmiały się do niego.

– Czyli mówisz: *tak*, Amando Janas?

– To zależy... – Zrobiła tajemniczą minę.

– Na litość boską! Od czego?

– Obiecaj mi, że raz na zawsze zapomnisz o wehikułach czasu i podróżach między orbitami równoległymi.

– Nie podróżowałem między żadnymi orbitami – droczył się z nią. – Ale jedno mogę ci obiecać.

– Co takiego?

– Że zawsze będę cię kochał, aż do skończenia świata i dłużej. – Henry objął jej twarz, a potem całowali się w deszczu, pod gromami nieba. – Tak

bardzo cię pragnę. – Amanda poczuła na sobie jego uważne, ciepłe spojrzenie.

– Wiesz, jak ja tego pragnę?

– Dotąd kochałem i pożyłem tylko przygód, wehikułów i tego, co nieznane. Teraz Kocham to, co mi znane. Ciebie, Amando.

Amanda czuła, jak w brzuchu latają jej tysiące motyli.

– Tak – szepnęła czule.

– Tak?

– Wyjdę za ciebie, Henry Oldmannie. Ufam ci i Kocham. Do końca życia i dłużej.

– Czyli jutro ślub! – krzyknął na całe gardło. Deszcz lał się z nieba, lecz im to nie przeszkadzało.

– Jutro? Ty wariacie – zaśmiała się i ogarnęło ją przeogromne szczęście.

– Tak, jutro, a co?

– No nic. Niech będzie jutro. – Przyciągnęła go do siebie. – Schowajmy się gdzieś, bo pada...

Wtedy zjawiał się on. Nie mogli wiedzieć, że obserwował ich od jakiegoś czasu z ukrycia.

– No proszę. – Igor niczym posępny duch pojawił się na klifie. – Ukochany powrócił z zaświatów. Wspaniały Henry, czy tak?

Oboje z Amandą spojrzeli na siebie z przerażeniem.

– Igor? Co tu robisz? – Amanda wiedziała, że jego nadejście nie zwiastuje niczego dobrego. – Co trzymasz w ręce?

– To tylko pistolet – zaśmiał się szelmowsko. – Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał cię skrzywdzić. À propos, złaż z niej i powiedz, skąd się tu wzięłaś. Myślałem, że już się cię pozbyłem. – Igor wyzywająco spojrzał na Henry'ego. W jego wzroku było coś niepokojącego.

– Nie powinno cię tu być, ale widać, gdy tylko się zjawiam u boku mojej ukochanej, ty pojawiaasz się natychmiast jak posępny cień. Czego chcesz

tym razem? – Henry próbował zachować spokój. – Ostatnio było ci za mało?

– Cóż. Jak widzisz, żyję. I chcę Amandy. Kocham ją. Szaleńczo.

Amanda milczała. Podniosła się powoli, trzymając Henry'ego za rękę.

– Igor, wracaj do domu. Kocham Henry'ego. I nic ani nikt tego nie zmieni.

– Nie zrezygnuję z ciebie. Nigdy. – Podniósł rękę wyżej, trzymając w niej pistolet. Niebezpiecznie zbliżył się do nich, aż w końcu przystawił lufę do skroni mężczyzny. – To ja się ożenię z Amandą. Ty za chwilę odbędziesz swoją kolejną podróż, ale w jedną stronę.

Henry czuł, jak pulsują mu skronie. Amanda początkowo sparaliżowana strachem, w końcu przypomniała sobie o magicznym zegarku. Musiała chronić ukochanego. Ponownie więc sięgnęła po wstrzymywacz czasu. Wyjęła go z kieszeni i skierowała wskazówkę tarczy słonecznej wprost na Igora. Przekręciła ją, a ten zdążył tylko krzyknąć: *nie!* Wszystko wokół zawirowało. Szary pył okrył ich dookoła, wstrzymując czas na godzinę. Igor stał się bezbronny. Był zawieszony w czasie.

– Udało się! Mamy tylko godzinę. Muszę to zrobić, Henry. Jeśli teraz nie wypowiem magicznego zaklęcia i nie wyślę go jak strażników czasu do otchłani, on nigdy już nie da nam spokoju. – Spojrzała na niego ze smutkiem w oczach. – Wiem, że to brat Jessiki. Ale ja nie chcę tak żyć. Bać się ciągle o nas, o ciebie...

Wtem z dala doszły ich czyjeś nawoływania.

– Marcus! – Henry podbiegł do przyjaciela. – Żyjesz?

– Henry? Udało się nam?

– Tak. Przeszliśmy tunel czasu. Jesteś w Portrush, w Irlandii Północnej.

– Który to rok?

– Dwa tysiące dwudziesty.

– Niesamowite. – Oddech Marcusa stawał się coraz płytszy.

– Marcus? Co z tobą? Jesteś ranny?

– Nie wiem. Nie mogę oddychać.

Wtedy na klif przybiegła Jessica.

– Amanda? Co się tu dzieje?

– Przyjaciel Henry’ego nie oddycha. Jess! Co robić?

Henry próbował mu pomóc.

– Odsuńcie się. – Jessica podbiegła do niego i zaczęła reanimację.

W końcu po zdecydowanych uciskach klatki piersiowej i sztucznym oddychaniu Marcus zaczął się dławić, aż wypluł źdźbło trawy.

– Oto nasza przyczyna niedoszłej tragedii.

– Jakiej tragedii? – Marcus spojrzał na Jessicę, która nachylona nad nim delikatnie muskała jego tors włosami. – Bogini... – wyszeptał z przeszczęśliwą miną.

– Słucham?

– Jesteś jakąś boginią, tak? – Jego ciemne, wpatrzone w nią oczy rozbawiły Jessicę, ale i Henry’ego z Amandą.

– Co to za jeden? – Jessica ze zdziwieniem spojrzała na przyjaciółkę.

– To przyjaciel Henry’ego, Marcus.

– On chyba jest nie z tego świata.

– W sumie można tak powiedzieć – przytaknęli z Henrym.

– Tylko lekko mnie drasnęli. Nic mi nie jest. – Marcus wracał do sił.

– A gdzie jest Igor? – Wtedy Jessica dojrzała unoszącego się bezwładnie brata. – Amanda? Co mu zrobiliście?

– Uspokój się. Miał broń i groził Henry’emu. Musiałam coś zrobić. Zawiesiłam go w czasie. Nic mu się nie stanie.

– Co takiego? Jesteś jakąś czarownicą? On wygląda jak nieżywy. Igor! Zaczarowałaś go czy co?

– Jess, posłuchaj. Chyba już czas, bym wyznała ci całą prawdę. – Amanda chwyciła ją za rękę.

– Jaką prawdę? Co się tu dzieje? – Jessica rozglądała się wokoło zaniepokojona.

– Powiem ci o wszystkim. Teraz już mogę.

– Czy to rozsądne, Amando? – Henry nie był pewien.

– To moja przyjaciółka. Poza tym wróciłeś i teraz wszystko będzie już normalnie.

– Przestańcie wreszcie! Może za chwilę usłyszę, że jesteś podróżnikiem w czasie? – Jessica nie należała do cierpliwych osób.

– Skąd wiedziałaś?

– O czym?

– Właśnie tak się składa, że Henry jest podróżnikiem w czasie.

Jessica złapała się za brzuch i zaczęła się śmiać bez opamiętania. Trwało to chwilę, lecz kiedy spojrzała na twarz Amandy, zrozumiała.

– Wy tak serio?

– Serio. Owszem.

– A niech mnie. Wiesz, że zawsze powtarzałam, że on jest nie z tego świata.

– Pamiętam. – Amanda uśmiechnęła się pod nosem. – I bardzo kocham tego podróżnika. Kiedy tak nagle zniknęłam, byłam z nim.

– Czyli? – Oczy Jess stawały się coraz większe ze zdziwienia.

– W Londynie z początku dwudziestego wieku – wyznał Henry. – Ale musisz to zachować tylko dla siebie.

– Zabiorę cię tam, moja bogini. – Marcus przysłuchujący się całej rozmowie w końcu wstał na nogi.

– Jesteś przystojniejszy, niż sądziłam. – Jessica od razu przeszła do sedna. – Ale nie w moim typie. I te ciuchy. Taki trochę Henry dwa – dorzuciła swoje, zerkając ukradkiem na Marcusa.

– Czy tutejsze kobiety nie noszą sukien, Henry?

– Noszą, ale nie na co dzień.

– Czy on też jest z twojego Londynu?

– Tak, a co?

– No nic. Bardzo jestem ciekawa waszych czasów. Jakie są tamtejsze kobiety?

– Nie tak piękne jak wy. Henry, miałeś rację. – Marcus śledził każdy ruch Jessiki.

– Chętnie dałabym się porwać tamtejszemu życiu.

– Powiedz: *tak*, a twe marzenie się spełni.

– Naprawdę? – Jessica dalej flirtowała z Marcusem.

– Nie poznaję cię, przyjacielu. – Henry podśmiechiwał się pod nosem.

– Oprowadzę cię po Londynie, zabiorę na bal, a potem poślubię. – Marcus nie próżnował. Zbliżył się do Jessiki i pochwycił jej dłoń, by ją pocałować.

– O, co to, to nie! Nigdy nie wyjdę za mąż. Zaufać wam, facetom, to zginać marnie. Dziękuję, ale nie.

Marcus zawiesił na niej wzrok. Jessica wyraźnie go intrygowała, zauroczyła. Wtedy nieoczekiwanie Igor zaczął wybudzać się z zawieszenia.

– Czas mija! – Amanda krzyknęła z przerażenia. – Nic nie zrobiliśmy.

– Spróbuj z zaklęciem. – Henry chciał podbiec do Igora i zabrać mu broń, lecz było za późno. Igor ponownie w niego wycelował.

– Nie mogę mieć pewności, że teraz zadziała. – Amanda wpadała w panikę.

– Igor? – Jessica oniemiała. – Co ty wyprawisz? Schowaj tę broń. Oszalałeś? Nie poznaję cię.

– To nie ja oszalałem, ale wy. Nie dam się dłużej zwodzić – odpowiedział siostrze, po czym zwrócił się do Henry'ego: – Oddasz mi Amandę albo cię zastrzelę.

– Nie! – Przerażona Amanda krzyknęła. Podbiegła do Henry'ego, zasłaniając go swym ciałem. I zaczęła wypowiadać magiczne zaklęcie. Jednak zanim wiatry północne ponownie przybyły nad klif, Igor zdążył strzelić. Henry cofnął się o krok, lecz i tak oberwał w ramię. W tym czasie siły wiatrów otoczyły Igora, porywając go do swej otchłani.

– Igor! – Jessica chciała go zatrzymać, lecz nie zdołała. Upadła na ziemię, wołając jego imię.

– Jess, wybac mi. Nie miałam wyjścia. – Amanda spojrzała na zrozpaczoną przyjaciółkę.

– Henry, nic ci nie jest!?! – Marcus był wstrząśnięty, widząc rannego przyjaciela.

– Tylko mnie drasnął.

– Dokąd go zabrali? Co to było? – Jessica wpatrywała się w stronę oceanu, gdzie zniknął jej brat.

– Musiałam rzucić na niego zakłęcie. Zabiłby Henry’ego. Sama widziałas.

– Zakłęcie? To mój brat! Co ty zrobiłaś?

– Wysłałam go do otchłani czasu.

– Jak mogłaś? To okrutne!

– On miał broń! Co miałam zrobić? Pozwolić się gnębić? Pozwolić zginąć Henry’emu, teraz gdy wreszcie go tu mam? I gdy mogę być szczęśliwa?

– Tak. Masz rację. Igor był szalony. Ale kocham go i tak. To mój brat!

– Jeśli chcesz, pomogę ci go odszukać – zaproponował Marcus.

– To niemożliwe. – Amanda nie ustępowała. – Nie zgadzam się. Igor na to nie zasługuje.

– Henry coś wymyśli. Prawda? – Jessica wyczekiwała jego przyzwolenia. – Obiecuję, że on już nikogo nie skrzywdzi. Ani ciebie, ani Amandy. Dopilnuję tego.

– W moich czasach wyzwałbym go na pojedynek. Nawet jeśli zdołam cokolwiek zrobić, to przeniosę go do dawnego Londynu. Wybac, Jessico, ale chcę, by Amanda czuła się tu bezpieczna.

– Niech będzie Anglia i Londyn, cokolwiek. Ale pomóż mu. Obiecujesz? – Jessica patrzyła na niego z nadzieją. – Choć Igor jest uparty, to jednak jest moim bratem. Nie chcę, by tak cierpiał.

– Zobaczą, co się da zrobić, ale najpierw ślub.

– Ślub? – Marcus spojrzał wymownie na Jessicę.

Henry podszedł do Amandy, by objąć ją całym sobą. Znowu poczuć i pocałować.

– Trzeba opatrzyć ci ranę. Krwawisz – szepnęła.

– To nic.

– Kocham cię, mój podróżniku. Do szaleństwa.



Tydzień później na klifie w Portrush odbył się ślub. Przyjęcie weselne zaplanowano w antykwariacie Starego Jacka. Tutaj również Amanda i Henry dostali swój kąt, dopóki się nie urządzi. Choć Stary Jack zapewniał, że mogą tu mieszkać na dobre, bo i tak zapisze im wszystko w spadku.

Tego dnia słońce ogrzewało całe miasteczko. Nawet ocean zdawał się spokojniejszy. Henry we fraku czekał już na pannę młodą wraz z księdzem i świadkami. Amanda wyglądała zjawiskowo. Rozpuszczone włosy zdobił wianek upleciony z tutejszych traw i kwiatów. Długa suknia, biała jak śnieg, poruszyła serce Henry'ego bardziej, niż mógł przypuszczać. Ciepłe bolerko – prezent od Jessiki – grzało ją od zewnątrz.

– Śniłaś mi się. Ale nawet we śnie nie byłaś taka piękna. – Rozmarzony wzrok Henry'ego łaskotał jej wnętrze.

– Nie boisz się nowego życia? – dopytywała, gdy ksiądz zaczynał czytać przysięgę.

– Z tobą nigdy...

KONIEC